

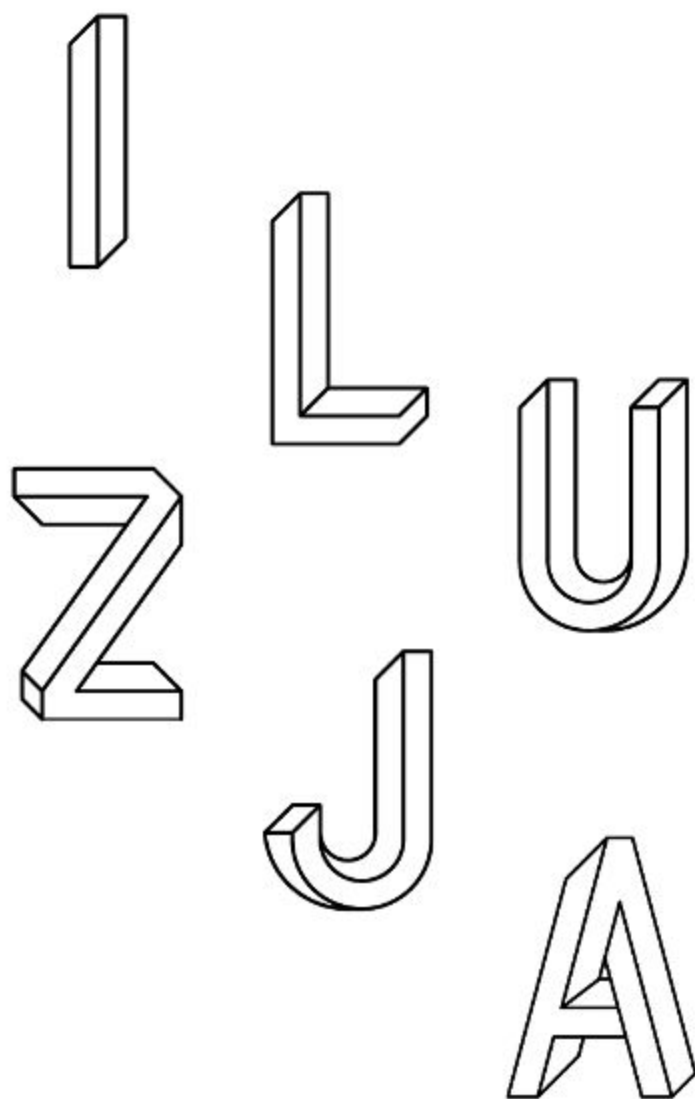
MARTA MALINOWSKA

1
1
Z
U
J
A

*Był tylko jeden początek, kiedy zapłonął czas,
i jeden będzie koniec, gdy pożar wygaśnie*

SON
imaginatio

MARTA MALINOWSKA



KRAKÓW 2019

Copyright © by Marta Malinowska 2019
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2019

Redakcja
Joanna Mika

Korekta
Paweł Wielopolski

Projekt typograficzny i skład
Joanna Pelc

Okładka
Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Grafika na okładce
kenall / 123rf.com, Hanna Zasimova / 123rf.com



Wydanie I, Kraków 2019

ISBN EPUB: 978-83-8129-433-1
ISBN MOBI: 978-83-8129-432-4

SPIS TREŚCI

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

O Autorce

Michał Cetnarowski prezentuje: Fantastycznie nieobliczalni

Rozdział I Widząca

Rozdział II Król

Rozdział III Imię

Rozdział IV Panorama skazańców

Rozdział V Most

Rozdział VI Bunt

Rozdział VII Sen

Rozdział VIII Władczyni

Rozdział IX Czarodziejka

Rozdział X Zakon

Rozdział XI Po latach

Rozdział XII Pęknięcie

Rozdział XIII Bohaterstwo

Rozdział XIV Przyjaźń

Rozdział XV Zjawy

Rozdział XVI Vera

Rozdział XVII Łzy

Rozdział I Widząca

Mijał siedemdziesiąty drugi dzień, odkąd Ren Urtyjczyk, który chętnie przyznawał się do przydomku „Cudotwórca” nadanego mu niegdyś przez pewną małą dziewczynkę, trafił za udział w buncie do Zielonego Kamieniołomu, najcięższego więzienia w Królestwie Diogorii.

Dwa i pół miesiąca to właściwie niewiele, ale wystarczyło, by doprowadzić Rena do stanu uprzejmego zadziwienia tą częścią własnej osoby, która wciąż chciała żyć i która zmuszała omdlewające mięśnie do unoszenia kilofu i uderzania nim w jasnoszarą skałę, zupełnie jakby coś mogło się jeszcze zmienić, jakby miał przed sobą jakąś przyszłość, jakby Kamieniołom nie oznaczał śmierci za życia, a w odrobinę dalszej perspektywie – po prostu śmierci.

Siedemdziesiątego drugiego dnia pobytu Rena w tym miejscu okazało się jednak, że pragnienia owej części były zasadne.

W pierwszej chwili nie poczuł nawet ręki, która wylądowała na jego obolałym ramieniu. Dopiero kiedy go szarpnięto, zorientował się, że coś jest nie tak. Coś przełamało rutynę.

Było to tak szokujące, że przez moment po prostu wpatrywał się w osłupieniu w siwowłosego mężczyznę, który obrócił go twarzą do siebie. Potrzebował chwili, by dostrzec jego towarzysza – potężnego Diogorczyka o tępej, lecz przystojnej twarzy, którego kojarzył ze względu na jego wyjątkowe okrucieństwo.

– Powiem to raz – oświadczył siwowłosey strażnik. – I powinienes wiedzieć, że nie muszę tego robić. Chcę dać ci szansę na rozsądne zachowanie. Więc powiem to raz. A jeśli twoja reakcja mnie rozczaruje, zrobi się nieprzyjemnie. – Zamilkł i popatrzył na Rena, jakby chciał się upewnić, czy ten zrozumiał. – Mamy w lochu Widzącą w transie. Nie wiemy, kiedy się zaczęło, ale znaleźliśmy ją mniej więcej godzinę temu.

Więzień zeszywniał.

To mógł być blef. To musiał być blef, bo jeśli nim nie był, Ren decydował się właśnie na coś bardzo złego.

– Przykro mi – powiedział, chyba nawet dość sucho. „Panie” pchało się w usta, wylądowało nawet na końcu języka, ale udało mu się je powstrzymać. – Ale co ja mam z tym wspólnego?

Mężczyzna przez moment patrzył na niego w milczeniu.

– Kontakt i tak ją wybudzi – stwierdził wreszcie i skinął na swojego towarzysza. – Idziemy.

Drugi ze strażników zabrał więźniowi kilof, rozkuł mu nogi i popchnął do przodu. Ren poddawał się tym zabiegom spokojnie, wręcz z ośpieniem, i dopiero drwiące spojrzenie szarych oczu uświadomiło mu, że właśnie wpadł.

Powinien się wyrywać, zębami i pazurami trzymać tej ściany, kilofa, czegokolwiek, bo gdyby nie był Przewodnikiem, właśnie szykowano by mu los gorszy od śmierci. Widzące nie potrzebowały tak naprawdę wiele, by się ocknąć, wystarczał im najdrobniejszy kontakt z rzeczywistością, z jakimkolwiek umysłem. Tyle że niewyszkolony umysł po udzieleniu Widzącej takiej pomocy nigdy nie wracał już do normalności.

Ren zaczął więc protestować i się wyrywać, nawet dość przekonująco, ale było już za późno.

Wyprowadzili go z niecki, w której pracował, i skierowali w stronę budynku więzienia. Potem, kiedy Ren myślał o Kamieniołomie – a zdarzało się to częściej, niżby sobie życzył – widział go właśnie tak, jak zobaczył go wtedy. Poranne słońce odbijało się w ośnieżonych wierzchołkach gór, a cienie były głębokie i długie. Ciemna, ostra sylwetka wykutego bezpośrednio w zboczu góry kompleksu dominowała nad otoczeniem, choć przecież okoliczne szczyty pięły się o wiele wyżej niż najwyższe z wież.

Kamieniołom był prostszy niż większość diogorskich budowli, na które można było zazwyczaj patrzeć godzinami i wciąż znajdować nowe, zachwycające detale. Mimo tej prostoty zachwycał pięknem i musiał to przyznać nawet Ren. Każdy musiał to przyznać i być może dlatego smukła bryła wyglądała tak, jak wyglądała. Prędzej czy później trzeba było się zastanowić, jak można chcieć szkodzić nacji, która potrafi budować takie rzeczy.

Cóż, Ren chciał. Chciał i nie zamierzał przestać chcieć, bez względu na to, jak piękne klatki budowali i jak oplakany los szykowali tym, którzy do nich trafiali.

Wnętrze Kamieniołomu też miało w sobie surowe piękno – wysoko sklepienie, wąskie korytarze, zapach zimnego kamienia – ale nie to zwróciło

uwagę Przewodnika. Nie mogło zwrócić jego uwagi, bo prowadzono go w dół. Po setkach schodów.

Zaklął w duchu.

Mógł się tego spodziewać. Oczywiście, przy warunkach panujących w Kamieniołomie nietrudno było o przebudzenie talentu Widzącej, ale w podziemiach...

On sam na szczęście nigdy tam nie trafił, udało mu się sprzedać bajkę o tym, że po prostu chwycił za widły, kiedy zaczęły się walki. Nie było to trudne – jego sposób bycia wybitnie działał Diogorczykom na nerwy, zawsze trudno im było pojąć, że osoby zachowujące się niezgodnie z ich standardami mogą pełnić jakieś ważne funkcje, nie przesłuchiowano go więc szczególnie dogłębnie. Zdarzało mu się jednak leczyć ludzi, których Diogorczycy przesłuchiwali naprawdę. Wiedział też, że w Kamieniołomie tak nisko pod ziemią trzyma się więźniów, z których bardzo chce się coś wydobyć. I oczywiście takich, z których wydobyć coś trudno.

Nie miał więc dobrych przeczuć.

Schodzili i schodzili, zdawało mu się, że temu schodzeniu i przemierzaniu korytarzy nie będzie końca, więc był naprawdę zaskoczony, kiedy wielka łapa młodszego ze strażników zacisnęła się na jego ramieniu i pociągnęła do tyłu.

– Gdzie leziesz? To tu.

Ren spojrzał na drzwi celi.

– Panie, proszę – zwrócił się do starszego Diogorczyka. – Młody jestem, popracuję jeszcze parę miesięcy, na pewno jest ktoś...

– Nie jesteś przekonujący – przerwał mu beznamyślnie mężczyzna.

– Panie...

Szare oczy patrzyły na niego z niezmaconym spokojem.

– Nie rozumiem, czemu nie zrobiono tego wcześniej.

Ren pobladł i tym razem przeraził się naprawdę.

Nie było żadnej Widzącej, a oni wiedzieli, kim jest, ten siwowłosy się domyślił.

W oczach strażnika dostrzegł błysk satysfakcji.

– Hornak, otwórz.

Olbrzym puścił jego ramię i zaczął gmerać przy kółku z kluczami. Ren zerknął w stronę schodów.

– Nie zdążysz.

Jasne, że by nie zdążył, ale może...

– I nie będziemy mieli powodu, żeby cię zabić. Zresztą...

Drzwi otworzyły się, a Ren zamarł. Powiódł po strażnikach – którzy najwyraźniej nic nie czuli... oczywiście, że nie czuli – zszokowanym spojrzeniem.

– To nie trwa od godziny – wydusił.

Nie było już sensu udawać, a przede wszystkim nie miał prawa tego robić.

– To nie trwa od godziny – powtórzył, obcym, głębokim głosem dochodzącym gdzieś z trzewi.

– Możliwe – odparł ten starszy. – Nie wiemy, ile trwa. Przy porannym obchodzie już była w transie, mogła weń wpaść nawet kilka godzin wcześniej.

Ren zacisnął usta, szybko wszedł do celi i uklęknął przy kobiecie. Nie wziął od strażników lampy, ale nie była mu potrzebna, widział przecież dwa niewielkie półkola ciepłego, pomarańczowego blasku tak samo dokładnie jak towarzyszący mu mężczyźni. Oczy Widzącej. Były zamknięte, pewnie zaciśnięte, ale spod powiek i tak dobywało się światło. I w tym świetle powoli dostrzegał inne szczegóły. Kładło się na policzkach właściwie bardziej cieniem rzęs niż czymkolwiek innym, odbijało w ciasnych spiralach kręconych włosów, w kroplach potu, którymi pokryta była skóra Schanianki. Bo dziewczyna musiała być ze Schan, widział to już teraz, tylko oni mieli takie czaszki. Ze Schan, czyli pewnie z powstania. Syknął.

Usłyszał – może poczuł? – ruch za plecami. Do nikłego blasku z oczu Widzącej dołączyło światło lampy – strażnicy stanęli w drzwiach.

Tak, Schanianka. Włosy, które sprawiały teraz wrażenie, jakby ciemność nie tyle została rozproszona, ale zbiegła się w jedno miejsce, zgęstniała i skręciła w drobne spirale, skóra ciemna jak dębowa kora, wydatne kości policzkowe – nie tylko dlatego – że musieli ją głodzić – i ciało ćwiczone od dziecka, jeszcze nie zdążyli go zniszczyć. Piękne mięśnie, wszystkie napięte. Smukłe dłonie obejmujące głowę, zaciśnięte w pięści na włosach.

Może była akrobatką – cyrki w Schan były znane na całym świecie, wokół nich koncentrował się opór, to by się zgadzało... Coś mu jednak nie pasowało do tej koncepcji, coś w jej twarzy. Wojownicza?

Z drugiej strony teraz wszyscy mieli takie twarze – wszyscy, którzy trafili do Kamieniołomu, zanim Diogoria nie wypłukała z nich odrębności, pozostawiając tylko jałową rezygnację.

Ren chciał ująć jej głowę w dłonie, ale gdy tylko jego skóra zetknęła się z jej, zamarł, wciągając gwałtownie powietrze.

Nigdy dotąd nie czuł czegoś takiego. Zwykle wejście w trans wiązało się z pewnym wysiłkiem, z koniecznością skupienia, a teraz wizje wyły gdzieś na granicy słuchu, wołały go, wyła też dziewczyna, tak mu się zdawało, chociaż to było przecież niemożliwe. Jeśli coś wymagało w tej sytuacji wysiłku, to utrzymanie się tutaj, na zewnątrz, na powierzchni.

– Przydałby się... – mruknął pod nosem.

– Co?

Przewodnik gwałtownie odwrócił głowę, zaskoczony i wściekły, głównie na siebie samego – niemal zapomniał o strażnikach i mało brakowało, by zaczął przy nich, a to by się dla nikogo dobrze nie skończyło. Dzikich transów nie można było przeprowadzać przy świadkach.

– Nic – odparł ostro i cicho. – Nie ma na to czasu. Zostawcie nas. To potrwa... – przeniósł wzrok na dziewczynę, wziął głęboki oddech i ostrożnie pogładził ją po głowie – ...kilka godzin. Niewykluczone, że do wieczora.

– Chcemy, żebyście potem...

Ren westchnął i spojrzał na mężczyznę ponuro.

– Nie ma czasu – powtórzył, powoli i dobitnie. – I nie gwarantuję, że dla niej, albo dla mnie, skoro o tym mowa, będzie jakieś „potem”. Im dłużej tu jesteście, tym mniej jest to prawdopodobne. Trzeci raz nie powtórzę. Zostawcie nas.

W chwilę później drzwi się zamknęły, a Ren wreszcie mógł przestać się opierać.

Kiedy usłyszał dzikie wycie i poczuł silny podmuch na twarzy, miał jeszcze zamknięte oczy. Nie otworzył ich jeszcze także wtedy, gdy poczuł, jak świat się rozpada, ani wtedy, kiedy zobaczył, jak gwałtowny, porywisty wiatr porywa fragmenty rzeczywistości.

Przypominało to obraz zamrożony w tafli rozbitego zwierciadła, którego fragmenty unosiły się teraz w powietrzu. Brzeg jeziora, klif wyszarpnięty ze świata razem z korzeniami – Ren nie chciał widzieć, jak wiruje w przestrzeni, jak sypie się z niego ziemia. To było złe, przyprawiało go o mdłości, nie chciał tej wiedzy i tego uczucia, jego umysł odrzucał je tak, jak żołądek odrzuciłby truciznę, nie chciał widzieć, więc otworzył oczy.

I widział nadal.

Klif wirował tuż przed nim, rozwijał się, rozbudowywał. Stała na nim ciemnoskóra dziewczyna, potem biegła, skakała do wody, poskręcana sosna walczyła o przetrwanie na skalistym podłożu, rosnąc i kurcząc się, trafiał w nią piorun i płonęła, ktoś się na niej wieszał, raz była tylko wątłą krzewinką, innym razem rozsadzała klif korzeniami. Ten wreszcie pękł, wybuchł z hukiem rozdzieranej skały, Ren wrzasnął przerażony i nie krzyczał sam.

Taki był początek.

Kiedy się zorientował, że jego głos nie jest jedynym, przypomniał sobie, gdzie się znajduje i po co tu przyszedł. Nadal krzyczał, bo świat przed jego oczami wciąż eksplodował i odbudowywał się na nowo, ale jakaś część jego umysłu, ta wytrenowana przez lata uciążliwych ćwiczeń, splatała jego krzyk z tym drugim, kobiecym, niewiarygodnie wściekłym. Była w nim rozpaczliwa determinacja i żądza mordy, groźba zniszczenia wszystkiego, co stało jej na drodze, wszystkiego, co ją tak urządziło.

Wściekała się, czuł to coraz wyraźniej, na samą siebie, na własną bezsilność. Na rozpacz i zwątpienie, które powoli zamieniały całą siłę, jaką w sobie miała, w muł, czarną, bezwładną, martwą masę.

W śmierć. Stał w niej po kolana i zapadał się coraz głębiej.

Najważniejsze w tym momencie było nie wpaść w panikę. Zachować spokój. „Po kolana w śmierci” – to nie to samo, co: „po szyję w śmierci”, Ren miał przecież spore pole manewru. Splatał swój krzyk i strach z krzykiem i strachem Widzącej już od dobrej chwili – więź nie była może silna, ale niezwykle intensywna; złota nić, jasny włos na ciemnym atłasie. Wystarczyło się jej trzymać. Wystarczyło za nią iść.

Nie wiedział potem – zanurzył się, zapadł w tym beznadziejnym mule, czy wyrwał do góry, niesiony przerażeniem i wściekłością? To był trans, więc możliwe, że tak naprawdę zrobił obie te rzeczy naraz. Przebił dno bagniska i jego powierzchnię, spadł jak kamień i wystrzelił w górę, pomknął za więzią, za złotą nicią, wewnątrz złotej nici – w obie strony.

Cokolwiek się stało, było ruchem. A kiedy ten ruch się zakończył, Ren stał naprzeciwko Widzącej.

Odskoczyła, gdy się przy niej pojawił, wylądowała kilka kroków dalej, niemal na krawędzi wyspy, tej resztki świata, na której się znaleźli. Uparty, wciąż bardzo silny wiatr szarpał jej włosy, przysłaniając nimi twarz, ale nie zwracała na to uwagi – skupiona, czujna i wściekła wlepiła w Przewodnika spojrzenie zmrużonych oczu o niepokojąco jasnych,

lśniących białkach. Jej dłonie bezwiednie powędrowały do bioder w poszukiwaniu broni, której nie było.

Niedobrze, powinna go rozpoznać, przecież więź już istniała.

– Spokojnie – powiedział, powoli unosząc ręce.

Milczała przez chwilę, przyglądając mu się uważnie i nie zmieniając pozycji, ale nim zdążyła zrobić cokolwiek więcej, żółta ziemia pod ich stopami się zatrzęsła. Ren usłyszał trzask, jakby coś pękło, a dziewczyna jęknęła, tyleż rozpaczliwie, co boleśnie, i na moment osunęła się na kolana, obejmując głowę rękami, zupełnie jak w celi, gdzieś tam, w innym świecie. W następnej chwili rzuciła się, niezbyt pewnie, w bok, tam, gdzie pojawiła się szczelina w gruncie, gdzie ten grunt już zaczął odrywać się od ich wyspy. Rozpaczliwie chwyciła krawędź piaskowej kry, ale ziemia sypała jej się spod palców, rozpadała na kawałki, by zaraz poszybować w ciemną nicość. Kobieta zawyła z frustracją, zaciskając pięści.

– Pomogę ci – powiedział Ren cicho, wiedząc, że ona i tak usłyszy. – Mogę ci pomóc.

Odwróciła się gwałtownie, jej włosy zatańczyły w powietrzu.

– Kłamiesz – wypluła zachrypniętym głosem, z wściekłością, pod którą kryła się nadzieja.

– Nie kłamię – odparł, robiąc ostrożny krok w jej stronę.

– Nie zbliżaj się! – wrzasnęła. – Nie zbliżaj się, zabiję cię, zabiję cię, zabiję, przysięgam, jeszcze jeden...

Jęknęła, zachwiała się, uniosła dłoń do skroni, zacisnęła zęby – i kolejna szczelina, która już zaczęła się wyrysowywać kilka kroków od Przewodnika, nagle się zamknęła. W ciemnych oczach dziewczyny zabłysł triumf.

– No, kurwa – rzuciła, uśmiechając się nieprzyjemnie.

Ren westchnął w duchu. Powinien się spodziewać, że po tak długim czasie w tym stanie Widząca nie będzie pamiętać o niczym na zewnątrz – wystarczająco wiele wysiłku musiało ją kosztować utrzymanie własnej jaźni we względnej całości.

Trzeba więc było jej przypomnieć.

– Co tu robisz?

Gwałtownie odwróciła głowę, jakby na nowo przypominając sobie o jego obecności. Podchwycił jej spojrzenie, to wzmacniało więź. Chwilę później patrzyła mu w oczy nieco spokojniej, trochę jak zahipnotyzowana.

– Ja... – zaczęła niepewnie i urwała.

– Co to za miejsce? – drążył Ren.

– Nie...

– Gdzie byłaś wcześniej?

Przygryzła wargi, a w jej ciemnych oczach zabłysła złość.

– A po co ci to wiedzieć?!

– Kamieniołom – spróbował Przewodnik. – Pamiętasz Kamieniołom?

Cofnęła się chwiejnie, szerzej otwierając oczy, po czym jej twarz znów wykrzywił grymas nienawiści. W jednej chwili znalazła się znowu przy nim, złapała za koszulę, przyciągnęła do siebie.

– Co to jest?! To jakieś ich sztuczki, tak?! – krzyczała mu prosto w twarz ze łzami w oczach. – No więc słuchaj uważnie, padalcu: to nie działa! Nic mi nie zrobicie, nie dostaniecie, nic wam nie powiem, pierdolę wasze napary, wasze eliksiry, wasze... – Urwała gwałtownie, rozejrzała się. Wiatr już nie wył, a pękająca w powietrzu ziemia nie ogłuszała hukami. – Co się stało? – zapytała tonem zupełnie innym niż wcześniej.

– Zatrzymaliśmy to – wymamrotał z trudem Ren, nie puszczając jej nadgarstków, na których zacisnął palce, kiedy tylko pojawiła się po temu okazja. – Uspokój się. Skup. To nie żaden napar. To trans. Jesteś Widzącą.

Szerzej otworzyła oczy, cofnęła się.

– Czekaj, nie zrywaj kontaktu – powiedział szybko, spanikowany. – Potrzebujemy go.

Zatrzymała się, przynajmniej tyle, ale utkwione w nim spojrzenie wciąż było zszokowane i zagubione.

– Widzącą?

– Przykro mi.

– Ale ja nie mogę, mam...

– Nic już nie masz. – Nie przeszło mu nawet przez myśl, że może powinien być mniej brutalny. Z nią trzeba było tak czasem postępować, wiedział to już, czuł dzięki więzi. – Nie miałaś jeszcze przed transem, złapali cię przecież. Zabrali do Kamieniołomu.

Zamknęła oczy i odchyliła głowę, przygryzając dolną wargę i powstrzymując płacz. Przesunęła rękę w uścisku Przewodnika, tak żeby złapać go za dłonie.

– Jak ci na imię? – zapytał. – Popatrz na mnie, proszę. Będzie nam łatwiej.

– Vera – wychrypiała.

– Jestem Ren. Miło mi cię poznać, Vera.

Skrzywiła się. Płakała bez szlochu, po prostu łzy płynęły jej ciurkiem po policzkach i pociągała nosem.

– Ciebie nie – odparła, a potem zamilkła na moment. – Co teraz?

Uśmiechnął się lekko, pokrzepiająco.

– Teraz? Teraz będzie lepiej. Masz osłonę. Masz Przewodnika.

Więź skrzyła się mocniej, zestaliła, a dziewczyna zachwiała na nogach.

Nikt do końca nie pojmował, jak to działało, ale fakt pozostawał faktem – te słowa o osłonie, o Przewodniku, były jak klucz. Wiedza o tym, na czym polega widzenie, co można, czego nie, gdzie są granice i jak z nimi igrać, drzemała gdzieś w dotkniętych tym darem kobietach. Potrzebowały tylko, żeby ją wydobyć.

A może nie drzemała, może wchłaniały ją przez więź, podobnie jak znane Przewodnikom języki i, czasem, niektóre bardzo silne wspomnienia. Tak czy inaczej – działało. Działo najwyraźniej w sposób bardzo wyczerpujący dla poszarpanego transem umysłu Very, bo dziewczyna poruszyła dłonią, jakby znów chciała ją unieść do głowy, i jęknęła. Ren skupił się, sięgnął poprzez więź, wzmocnił ją nieco.

– Ćśś. Spokojnie. To normalne.

– Nic tu nie jest normalne.

– Nieprawda. To nadal trans. Zdecydowanie za długi, nie będę cię okłamywał, ale jesteś Widzącą. Nie ma dla ciebie nic normalniejszego.

– Wszystko jest normalniejsze – odparła gorzko, ochryłym głosem i patrząc jakby przez Rena. – Co teraz będzie?

Doskonale wiedział, o co pytała, i nie rozumiał czemu udaje, że jest inaczej. Idiotyczny, ludzki odruch z powierzchni, ze świata, w którym można było mieć nadzieję że da się uniknąć odpowiedzi na niewygodne pytania.

Rozejrzał się po otoczeniu. Wiatr tam nadal wiał, a zawieszone w przestrzeni fragmenty gruntu wciąż się zmieniały, wirowały i przekształcały, ale wszystko to zdawało się przebiegać wolniej i spokojniej niż wcześniej.

– Teraz, kiedy będziesz gotowa, wpuszczimy wizję, a potem...

– Ren.

Westchnął.

– Nie wiem, skarbie. Powinnaś przeżyć, skoro tak długo się utrzymałaś. To nie wpływa na ciało.

– A na... resztę?

Pokręcił głową.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Nie wyjdiesz z tego bez szwanku, tego jestem pewien, ale co się stanie... – Urwał, widząc, że dziewczyna go nie słucha. Wciąż patrzyła przez niego, gdzieś w przestrzeń. Nagle zogniskowała spojrzenie na nim i przez mgnienie oka było pełne żalu, straszliwie smutne.

– Mogło być gorzej – szepnęła, a potem się podniosła. Kiedy usiedli na brudnożółtym, wilgotnym piasku? Ren nie wiedział. Tu czasem tak było. – Chodź. Pokaż mi tę wizję.

Popatrzył na nią uważnie, również wstając.

– Jesteś pewna? Gotowa?

Miał nadzieję, że tak, bo trzymanie tego wszystkiego w kupie sporo go kosztowało i nie był pewien nie tylko tego, co będzie z nią, kiedy się obudzi – nie wiedział też, co będzie z nim.

– Ja? – Posłała mu ten charakterystyczny dla Widzących uśmiech kogoś, kto wie zbyt dużo i odpowiada na pytanie zupełnie inne od tego, które mu zadano. Wciąż płakała. – Tak. Tak, Ren.

– Świetnie. Daj rękę.

– Nie puściłam jej.

– Och. – Ren zamrugał. – No to lecimy, skarbie.

– Vera – poprawiła, jakby to było niezwykle ważne.

– Lecimy, Vera – poprawił się posłusznie.

Skinęła głową, więc zabrał się do zdejmowania zasłony, która oddzielała ich od wizji. Robił to delikatnie, najstaranniej, jak umiał, i prawie nie zauważyli, kiedy ich stopy oderwały się od ziemi i poszybowali ku jednej z zawieszonych w powietrzu wysp, ku przyszłości.

Rozdział II

Król

Mijał czwarty rok, odkąd Jorg Astenis, mężczyzna, który zaprowadził Rena do Widzącej, tym samym odmieniając losy świata, trafił do Zielonego Kamieniołomu, najcięższego więzienia w królestwie Diogorii.

Rzeczą, z której buntownicy w Kamieniołomie nie zdawali sobie sprawy, był fakt, że ich nadzorcy również są uwięzieni. Występowały różnice w warunkach życia, obowiązkach czy statusie prawnym, ale w ostatecznym rozrachunku zarówno ci, którzy pracowali nad siły, łupiąc kamienie czy wydobywając z nich trycyt, jak i ci, którzy ich pilnowali, byli odcięci od świata. Zresztą jedni i drudzy trafiali do Kamieniołomu za karę lub w konsekwencji nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. Tak dla jednych, jak i dla drugich nie było powrotu na wolność.

Aż do tego dnia. Był to jeden z wielu powodów, dla których serce oczekującego na audiencję Jorga biło jak oszalałe.

Głównym powodem była, rzecz jasna, sama audycja. Spotkanie sam na sam z królem stanowiło w Diogorii niewiarygodny zaszczyt i Jorgowi nigdy wcześniej nie przyszło do głowy, że mógłby go dostąpić. To, że władca przebywał właśnie w Kamieniołomie z tradycyjną, składaną co roku wizytą, stanowiło niezwykle szczęśliwy zbieg okoliczności – albo splot przeznaczenia.

Gdyby jednak chodziło tylko o zaszczyt – albo tylko o zaszczyt i ogromną liczbę schodów, które żołnierz musiał przemierzyć, by znaleźć się przed salą audiencyjną – Jorg zdołałby opanować się na tyle, by zignorować łomotanie własnego serca. Może zresztą nie łomotałoby wtedy aż tak bardzo.

Prócz samego faktu audycji i liczby schodów była jednak jeszcze kwestia konsekwencji rozmowy z królem. Jorg miał już swoje lata i potrafił rozpoznać szansę, kiedy się przed nim pojawiała, wiedział, kiedy życie zaprasza go do gry. Wiedział też, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa właśnie zrobiło to po raz ostatni i że, jak w większości ostatnich gier, stawką było wszystko.

Mógł odzyskać honor, wolność, odpowiedzialność, mógł nawet zyskać możliwość zemsty i wyrwać się z Kamieniołomu. Musiał tylko dobrze wszystko rozegrać.

Dlatego serce waliło mu jak młotem i dlatego starał się wyglądać na bardziej opanowanego niż zwykle. Nie było to łatwe, zwłaszcza gdy drzwi komnaty, przed którą czekał, otworzyły się i kiedy wyszła przez nie gwardzistka.

– Jego wysokość czeka – oznajmiła.

Jorg oszczędnie skinął głową i wszedł do pomieszczenia. Ukląkł, tak jak nakazywały zwyczaj i jego własne serce, poczekał, aż król pozwoli mu wstać, a zrobiwszy to, wyprężył się jak struna.

Sala audiencyjna była przestronna i piękna. Wyposażono ją w dwa rzędy wysokich, wąskich okien, przez które wpadało światło księżycy, kładąc się na kamiennej posadzce jasnymi plamami, poprzecinanymi szerokimi liniami czarnych kolumn. Cienie wprowadzonych w okna żeliwnych ozdób rysowały w tym wszystkim harmonijne węzowe wzory. Strzeliste sklepienie ginęło gdzieś w mroku.

W sali nie było tronu – nie w diogorskim rozumieniu tego słowa – było natomiast krzesło. Wysokie, żeliwne, z ażurową konstrukcją, która sprawiała, że zdawało się bardziej oprawą dla powietrza niż czymkolwiek innym. Wyposażono je w trzy metalowe schodki, po których trzeba było się wspiąć, by na nim zasiąść, oprzeć plecy o wysokie oparcie, kształtem przywodzące na myśl błoniaste skrzydło nietoperza, i pozwolić dłoniom spocząć na podłokietnikach wykutych na kształt kół zębanych.

Południowcy mawiali, że serca Diogorczyków nigdy nie przyspieszają, że kiedy ci bladzi, wysocy, milczący ludzie z północy coś gwałtownie przeżywają, ich krew zaczyna płynąć wolniej. Coś musiało w tym być, ponieważ Jorg miał wrażenie, jakby jego serce na moment się zatrzymało.

Na krześle siedział bowiem Vabris Emet Diogor, trzydziesty z kolei władca kraju, którego nazwa pochodziła od nazwy jego dynastii, i przyglądał się Jorgowi z kamienną twarzą.

Wyglądał tak, jak powinien wyglądać budzący szacunek diogorski przywódca. Miał blade, poznaczone drobnymi zmarszczkami, surowe oblicze i zimne, przenikliwe, jasnobłękitne oczy. Czarne, siwiejące na skroniach włosy zebrał w misterny warkocz, którego splot znany był od wieków tylko członkom rodziny królewskiej – Diogorowie nie nosili koron, bo żadna korona nie mogłaby się równać z tym uczesaniem. Pamiętnej

nocy, gdy zebrali się, by poprzysiąc zemstę swym ciemężycielom i obiecać wielkość swym potomkom, kiedy Diogoria, mimo podeszłego wieku obdarzona umysłem ostrym jak brzytwa, tłumaczyła rodzinie plan działania, tak właśnie uczesała wszystkie swoje dzieci.

„Nie mamy nic prócz własnych ciał i własnych umysłów – miała wtedy powiedzieć. – A zatem z naszych ciał i umysłów będą wyrastać nasze insygnia”.

Słowa te – podobnie jak wszystkie inne, które wypowiedziała tamtej nocy – nadawały państwu kształt przez następnych sześćset lat i zanosiło się na to, że będą go nadawać do końca świata.

Diogor nie nosił więc korony i nie miał berła, a odkąd rozpoczął podbój Południa, nie zakładał ozdobnych ubrań – chodził w zbroi, która nie różniła się od tej przywdziewanej przez przeciętnego żołnierza. Cała jego królewskość pochodziła tylko z niego. To wystarczało.

– Naczelnik powiedział mi, że w czasie obchodu znalazłeś Widzącą w transie – odezwał się władca – i że szybko wyposażyleś ją w Przewodnika. Czy to prawda?

– Tak, Wasza Wysokość.

– Skąd wiedziałeś, że to Przewodnik? Dlaczego tylko ty?

– Nie wiedziałem, Wasza Wysokość – odparł szczerze Jorg. – Podejrzywałem jedynie na podstawie pewnych zachowań. Nie dawano jednak wiary moim podejrzeniom, dlatego więzień pracował w kamieniołomie.

– Jakie zachowania masz na myśli?

– Drobne rzeczy, Wasza Wysokość. Budzi się od razu w pełni przytomny, zna języki. Stara się by nikt o tym nie wiedział, ale widać po nim, że rozumie. Znać po nim wykształcenie, lecz próbuje je ukryć.

Król skinął głową z aprobatą.

– Dlaczego tu trafiłeś?

Jorg poczuł, że coś przewraca mu się w żołądku. Minęło już pięć lat, a nadal z trudem przychodziło mu myślenie o tamtych wydarzeniach.

– Straciłem oddział w Schan, Wasza Wysokość. – Udało mu się sprawić, by jego ton brzmiał spokojnie i rzeczowo. – Nie wiem, w jakim stopniu Wasza Wysokość jest zaznajomiony z przebiegiem tamtej kampanii...

– Nie pamiętam szczegółów.

– Opór koncentrował się wokół wędrownych cyrków, szczególnie wokół pokazów tak zwanych siffango. To były bardzo widowiskowe walki na

scenie, widownia uważała, że są prawdziwe. Dwoje pośród siffango okazało się niezwykle inspirującymi dla ludu. Wierzyłem, że zabicie ich to zły pomysł, uczyniłoby z nich jedynie męczenników, generał Mavros się ze mną zgodził. Zaaprobował też mój plan, który polegał na publicznym ujawnieniu tego, że pokazy to z góry przygotowane występy. Wiedzieliśmy od naszych szpiegów, że tak jest. Plan się powiódł, dowiedliśmy, że to wszystko jest sztuczne, tyle że w wypadku tamtej dwójki nie była to prawda. Oszukali nas, dopadli, kiedy czuliśmy się bezpiecznie, podpalili kwatery, pokazali, że faktycznie potrafią walczyć w sposób, któremu trudno dorównać. Niewielu z moich ludzi to przeżyło.

– Niewielu z twoich ludzi przeżyło atak dwóch osób – powtórzył król po chwili milczenia.

– Tak, Wasza Wysokość. Gdy kampania się zakończyła, przeniesiono mnie i jednego z moich podwładnych tutaj.

– Rozumiem.

– Ta Widząca, Vera... jest jedną z tej dwójki.

Diogor uniósł brwi.

– Jesteś pewien? Schanianki są do siebie dość podobne.

– Nie zapomina się oblicza porażki, Wasza Wysokość.

– To prawda – przyznał władca. – Co możesz mi o niej powiedzieć?

Jorg odetchnął głęboko.

– Nie będzie przydatna, Wasza Wysokość. To bardzo prosta, niezbyt rozbudowana dziewczyna, zaślepiona ideą. Widziałem, jak ją przywieźli, byłem przy jednym przesłuchaniu. Jeśli zmieniła się jakoś przez te lata, to tylko na gorsze, stała się bardziej zaciekle. Miała rodzinę, Wasza Wysokość, przynajmniej jedno dziecko i męża. Nie widzę możliwości, by poszła na współpracę.

Król pokiwał głową w zamyśleniu.

– Wiesz, jak długo trwał ten jej trans? – zapytał.

– Przewodnik dał nam do zrozumienia, że zbyt długo. Zdawał się być w szoku, nie sądzę, by kłamał. Wspomniał, że mogą oboje nie przeżyć.

Diogor znów skinął głową.

– Dobrze.

Jorg czekał przez chwilę na ciąg dalszy, kiedy jednak ten nie nastąpił, postanowił się odezwać. Było to zachowanie balansujące na granicy etykiety, ale pokazywało jego zaangażowanie i żądzę wiedzy, poza tym na trzymaniu się z dala od granic nie mógł w swojej sytuacji nic ugrać.

– Wasza Wysokość?

– Widzące zostają Widzącymi, ponieważ obdarzone są wolą wystarczająco silną, by trans jej nie rozerwał – rzekł król. Jorg wiedział o tym, każdy Diogorczyk o tym wiedział: to był przecież powód, dla którego w Diogorii przeprowadzono Ryt Krwi. Z racji wychowania pojawiała się tam po prostu zbyt wiele Widzących. – O ile mi jednak wiadomo, ta silna wola nie niweluje całkowicie niszczącego wpływu transu. Jeśli dziewczyna to przeżyje, może się okazać bardziej spolegliwa niż wcześniej.

– Rozumiem, Wasza Wysokość.

– Doskonale – uznał król. – To wszystko, czego chciałem się od ciebie dowiedzieć. Możesz odejść, w razie potrzeby zostaniesz wezwany.

„Daleko od granic nic nie osiągniesz – powtórzył Jorg w myślach. – Nie zyskasz nowego pola, nie odbijesz starego”.

– Wasza Wysokość, jeżeli mogę...

Diogor pozwolił, by na jego twarzy odmalowało się uprzejme, pozbawione nagany zdziwienie.

– Nie mamy pewności, czy uda się ją po wszystkim nakłonić do współpracy – zaczął Jorg ostrożnie. Myśli i skojarzenia gnały przez jego umysł, błyskawiczne i nieuchwytnie. Lubił ten stan, choć na dłuższą metę był on męczący i irytujący. Nienawidził mówić, dopóki nie minął, dopóki wszystko się nie zatrzymało i nie wyklarowało. Teraz jednak nie miał wyboru, nie miał czasu nawet na obawy, że jego wywód okaże się mętny.

– Istnieje co prawda pewna szansa – ciągnął – lecz niewielka, ponieważ Widząca będzie prawdopodobnie miała oparcie w Przewodniku. Wasza Wysokość... – Tak. Zatrzymały się. Zastygły w zachwycającej konstrukcji i Jorg wiedział, że dokładnie tak powinny wyglądać. Było w nich światło.

– Nie powinniśmy jej do niczego namawiać ani nakłaniać, Wasza Wysokość. Powinniśmy mieć ją, jej upór, głupotę i fanatyzm, na własność. Po wyjściu z transu będzie otumaniona i zdezorientowana. Pogłębmy ten stan, a potem podajmy pomocną dłoń, wyprowadźmy na ścieżkę, wyjaśnijmy, kim jest. Wiem, że jeden z więźniów zajmował się wcześniej alchemią. To człowiek, który z radością podejmie z nami współpracę. Alchemików i lekarzy szkoliło się w Zakonie Przewodników, zatem ów więzień z pewnością wie, jak nie zrobić jej krzywdy. Odpowiednie narkotyki, jeśli zaczniemy podawać je bezpośrednio po transie, moim

zdaniem powinny umożliwić ukształtowanie Widzącej w dogodny dla nas sposób.

Diogor przez chwilę patrzył na żołnierza w milczeniu, z kamienną twarzą. Potem z uznaniem pokiwał głową.

– Zajmij się tym – powiedział. – Niech ci sprowadzą tego więźnia. Kiedy trans dobiegnie końca, natychmiast rozdziel Widzącą i Przewodnika, na razie nie chcę, by mieli kontakt większy niż to konieczne. Poinformuję naczelnika o twojej nowej pozycji i obowiązkach.

Jorg nie uśmiechnął się – nie wypadało – ale kiedy padł na kolana i dotknął czołem podłogi, by wyrazić wdzięczność, emanował energią i werwą, jakich wcześniej trudno byłoby się dopatrzeć w jego ruchach.

– Dziękuję, Wasza Wysokość – powiedział i podniósł się na nogi. A podniósłszy, zamarł.

Piękny, jaśniejący model w jego głowie obrócił się lekko i okazało się, że jeśli spojrzeć pod trochę innym kątem, ziele w nim wielka, szpetna dziura. To musiało się odbić na jego twarzy, bo król się uśmiechnął – pobłaźliwie i pokrzepiająco.

– Nadasz jej inne imię – powiedział uspokajającym tonem. – To znaczy... będziesz nazywał ją innym imieniem. Widzenie eroduje więzi z żywiołami, przesuwają je. Zrywa, jak może wiesz, wszystkie przysięgi, które stają mu na drodze.

– Ale Wasza Wysokość...

Król pokręcił głową.

– To nie będzie kłamstwo, nie co do istoty. Ona jest Widzącą i będziemy nazywać ją Widzącą. Jej związek z imieniem jest teraz luźniejszy, drugorzędny. Możemy je więc pominąć.

– A Przewodnik?

– Zajmę się nim. Możesz odejść do swoich obowiązków, lahetan.

Serce Jorga zabiło mocniej. „Lahetan”.

To wszystko zmieniało. Oto w jednej chwili przestał być bystrym strażnikiem więziennym. Stał się specjalnym wysłannikiem władcy Diogorii, odpowiadającym jedynie przed nim.

Gdy opuścił komnatę audiencyjną, z trudem przychodziło mu powstrzymanie się od biegu korytarzami z pieśnią na ustach i obwieszczania każdemu, kogo napotka, że Jego Wysokość Król Vabris Emet Diogor przywrócił go do życia.

*

Tęsknił za tym.

To było pierwsze, o czym Ren pomyślał, kiedy odzyskał przytomność. Jego umysł odnotował wprowadzić wszystkie bodźce – zmęczenie, inną celę, porę, to, że był sam – i, tak jak go uczono, zinterpretował je od razu i złożył w spójny obraz – ale pierwsza myśl Przewodnika nie dotyczyła zaistniałej wokół sytuacji i jej możliwych implikacji, ale tęsknoty właśnie i ulgi związanej z tym, że minęła.

Jego poprzednia, pierwsza Widząca zginęła trzy lata wcześniej. Nie przez cały czas zdawał sobie sprawę z tego, jak samotny czuł się przez ten czas; z początku, pędzony nienawiścią, rozpaczą i żalem, w ogóle tego nie zauważał.

Lecz kiedy to sobie uświadamiał...

Czasem bał się, że już nigdy nie będzie w stanie stworzyć więzi, bo przecież zapomniał to uczucie. Wiedział, że istniało, ale nie potrafił go już sobie wyobrazić. Było tak, jakby stracił to miejsce, w którym była więź. Nie chodziło o pustkę, o dziurę czy ranę – po prostu o niemożność. Stworzenie więzi zdawało mu się czymś tak niewyobrażalnym jak złapanie powietrza pod wodą, jak próba wdrapania się na gładką, pionową ścianę.

Teraz mógł się tylko z tego śmiać – nie z niemożności, z niej by nie mógł, zbyt złe było to wspomnienie i zbyt go dotykało – lecz z tej obawy. Nie będzie mógł stworzyć więzi – dobre sobie! Zupełnie jakby to od niego zależało, jakby mógł to kontrolować. Jakby to nie była kwestia dwóch osób i tego, co pojawia się między nimi.

Na żywioły, jak tęsknił, jak straszliwie tęsknił!

A teraz obudził się i po prostu tam była – kaleka i zamglona, słaba, nie taka, jak powinna być, czuł to nawet teraz, ale to była więź. Nie był sam. Potrzebował kogoś, a ktoś potrzebował jego.

Teraz, kiedy ta rana została zaleczona, nawet Kamieniołom tracił coś ze swojej beznadziei.

Chociaż nie tylko ze względu na to. Było grubo po południu, od momentu, gdy zaprowadzili go do Widzącej, minęło niemal dwadzieścia godzin – Ren wiedział o tym, ponieważ, jak każdy Przewodnik, miał niewiarygodne poczucie czasu, w tym tego, który mijał, kiedy był nieprzytomny. Mimo późnej pory znajdował się w celi – nikt nie obudził go ze świtem i nie zagnał do roboty. Cella była zresztą niemalże luksusowa: pojedyncza, z pryczą zamiast wiązki siana, z oknem i nawet z jedzeniem

postawionym przy drzwiach. Ren nie rzucił się na nie jak dzikie zwierzę, miał swoją godność, ale musiał niestety przyznać, że zimna, wodnista polewka i suche kawałki chleba smakowały mu jak chyba nigdy nic innego. Wiedza o tym, co głód robi z wrażeniami smakowymi, wcale nie pomniejszała jego zachwyty. Trochę się tego przed sobą wstydził.

Wstydził się też ulgi, która wiązała się z tym, że nie próbowali zmusić go do pracy w kamieniołomie, i psiej niemal wdzięczności za celę.

Ale najbardziej wstydził się strachu, który skręcił mu trzewia, kiedy skomplikowany diogorski zamek zaczął się obracać, kiedy drzwi się otworzyły i kiedy stanęli w nich ci sami ludzie, którzy poprzedniego dnia zawiedli go do Widzącej. Ten młodszy i większy trzymał przed sobą balie z wodą, z nadgarstka zwisał mu płócienny worek.

– Nie śpisz. Dobrze – powiedział siwowłosy i skinął na towarzysza. Ten wszedł do celi i postawił balie na podłodze. Obok położył worek. – Umyj się. Jego Wysokość będzie z tobą rozmawiał.

Ren przez moment wlepił w mężczyznę nierozumiejące spojrzenie.

– Kim – zaryzykował wreszcie – jest Jego Wysokość?

Strażnik uniósł lekko kąciaki ust w sugestii drwiącego uśmiechu. Mimika Diogorczyków zazwyczaj tak wyglądała – sugestie zamiast wyraźnych grymasów.

– Królem Diogorii – odpowiedział w nauryskim, ojczystej mowie Rena. – Myślałem, że lepiej was uczą języków.

– Król Diogorii – powtórzył Ren powoli. – Tutaj? – upewnił się.

– Nie, nie będzie rozmawiał z tobą tutaj. Zabierzemy cię do komnaty audiencyjnej.

– Ale jak...? Dlaczego...? Co on tutaj...?

– Nikt nie będzie ci tłumaczył, dlaczego Jego Wysokość znalazł się w takim, a nie innym miejscu, więźniu – przerwał mu szorstko mężczyzna. – Umyjesz się sam czy mamy ci pomóc?

– Sam – odparł Ren. Nieco się uspokoił, ale nadal miał nieprzyjemne poczucie, że krew w jego żyłach ścięła się w lód.

– Doskonale. W torbie masz przybory i czyste ubranie. Wrócimy za... – żołnierz przyjrzał się Przewodnikowi krytycznie, najwyraźniej oceniając, ile może mu zająć doprowadzenie się do porządku – ...godzinę. Może trochę ponad godzinę.

To rzekłszy, ruszył do drzwi.

– Czeka! – zawołał Ren i zaraz się poprawił: – ...cie, panie! – Prawie się za to nie nienawidził, sprawa była bowiem na tyle ważna, że mógł zapomnieć o dumie. – Co z Verą? – Więż była zbyt słaba, żeby mógł to ocenić, i trochę go to niepokoiło, ale w gruncie rzeczy nie był tym zdziwiony: dziewczyna przebywała przecież w transie zdecydowanie zbyt długo.

Strażnik znów przywołał na twarz sugestię uśmiechu i było w niej coś, co zupełnie się Renowi nie podobało.

– Widząca śpi – oznajmił, a potem obaj zostawili Przewodnika samego w celi.

Na wodę i mydło – mydło! – rzucił się jeszcze bardziej łapczywie niż na jedzenie i dopiero w połowie golenia zorientował się, jak go załatwili.

Wystarczyła przynęta, odrobina, luksusu i oto jak gorliwy poddany szykował się do audiencji u króla, którego nienawidził i którym chciał gardzić. Takim go właśnie chcieli przed Diogorem postawić: poddanym, uległym, pokornym. Aż się zaciął z wrażenia. Nie był potem pewien, czy nie zrobił tego specjalnie.

Walką, którą stoczył ze sobą później – żeby nie skończyć się golić, żeby nie założyć na siebie czystych – na żywioły, Królowo, czystych! – ubrań, była tak trudna, że szarpaniny ze strażnikami, którzy uznali, że wsadzą go w te ciuchy, czy chce, czy nie, nawet nie zauważył. Nie udało im się jednak ogolić go do końca, toteż przed królem stanął z jednym policzkiem gładkim, a drugim pokrytym zarostem.

Spojrzenie, jakim obrzucił go władca, sprawiło, że momentalnie tego pożałował. Było w tym mężczyźnie, w jego postawie albo może oczach, coś, co nie pozwalało na lekceważenie go. Ren zrozumiał, że powinien okazać mu przynajmniej tyle szacunku, ile równemu sobie. Teraz tkwił w pułapce i mógł jedynie wybierać, czy pogorszy swoją sytuację bardziej, czy mniej. Tak naprawdę nie był to wybór – a na pewno nie szczególnie trudny. Przewodnik dobrowolnie ukląkł więc przed monarchą, pochylił nawet głowę, w gruncie rzeczy całkiem zadowolony, że może ukryć tę idiotycznie wyglądającą na wpół ogoloną twarz.

– Zostawcie nas – polecił król.

Kilka uderzeń serca później drzwi za żołnierzami się zamknęły.

– Podnieś głowę. Lepiej, jeśli będziemy na siebie patrzyli w czasie tej rozmowy.

Ren wykonał polecenie. Diogor przez chwilę mierzył go wzrokiem – nie była to długa chwila, Ren o tym przecież wiedział, ale wydawało mu się, że trwa wieczność.

– Potrzebuję od ciebie przysięgi krwi – oznajmił król. – Złożysz ją dziś w nocy, akurat jest pełnia. Przysięgniesz nie wypowiadać imienia Widzącej.

Ren po raz kolejny tego dnia odniósł wrażenie, że krew ścina mu się w żyłach. Cokolwiek zamierzył władca, musiało być obrzydliwe. I niebezpieczne, skoro wymagał od niego, by nie przywoływał pierwotnej, nadanej żywiołami tożsamości Widzą...

Skurwysyny. Na żywioły, co za skurwiele.

– Nie mogę tego zrobić, Wasza Wysokość. To osłabi więź, a ona i bez tego jest bardzo słaba.

Król ledwie dostrzegalnym gestem skinął na jednego z gwardzistów, kobietę. Ren ledwie zauważył jej ruch.

Cios w policzek – ten ogolony – nie był mocny, ale wyjątkowo dotkliwy. I upokarzający. Wszystko w tej komnacie było upokarzające.

– Nie próbuj mnie więcej okłamywać – powiedział spokojnie Diogor. – Widzenie działa w poprzek żywiołów, wiem o tym. Odsunęło jej imię, dziewczyna jest Widzącą w większym stopniu, niż jest Verą, umysł ma osłabiony tak, że uwierzy we wszystko, co jej powiemy, zwłaszcza jeśli pomożemy sobie narkotykami. Straciła pamięć, to też ułatwia sprawę. Nie przywołasz jej imienia.

– Nie mogę, Wasza Wysokość – powtórzył Ren, ale tym razem zdecydował się na prawdę. – Przysięgałem chronić Widzącę.

– Przysięga Przewodnika nie jest przysięgą żywiołów. O tym również wiem.

– Dlatego jest tak cenna, Wasza Wysokość.

Jednak dało się zdobyć przewagę w rozmowie z tym człowiekiem – Diogor spojrzał na Rena z szacunkiem. Przewodnik nawet nie próbował walczyć z dumą.

– Będziesz chronił Widzącę. Ze swoim imieniem jest dla nas bezużyteczna.

Świat oddalił się na moment.

Zabijają ją. Znowu ją zabijają.

To było dziwne, paskudne uczucie. Jakby wszystko wokół nagle okazało się zrobione z popiołu. Jakby on sam był z popiołu – popiół w ustach,

w gardle, w sercu, w żołądku. Ren nie zdziwiłby się gdyby jego oczy z brązowych zrobiły się szare, martwe, popielne.

Nie odpowiedział. Tylko popatrzył.

– Widzimy się dziś w nocy, jak rozumiem – powiedział król.

Przewodnik przez moment trwał w bezruchu. Wreszcie zmusił się do skinięcia głową.

Nic innego nie mógł zrobić.

– Doskonale. Pozostaje jeszcze kwestia tego, skąd cię do mnie przyprowadzą.

– Słucham. – Zdziwił się, jak matowo i płasko brzmiał jego głos.

– Tym razem stoisz przed wyborem, Przewodniku. Będziesz przeprowadzał ją przez transy, to jasne. Możesz przysiąc mi wierność i stać się wolnym człowiekiem, moim poddanym, cieszącym się zresztą większymi przywilejami, niż mógłby jakikolwiek inny Południowiec. Możesz też robić to jako więzień. Nie będę cię do niczego zmuszał, wydaje mi się jednak że wybór jest dość prosty.

„Mógłbym więcej – przemknęło Renowi przez głowę. – Mógłbym coś zrobić, pomóc jej, mógłbym...”

Spożywać normalne jedzenie. Spać na łóżku. Myć się codziennie. Nie nosić kajdan.

„Kradną jej imię”.

„Kradną jej imię”.

Zamknął na moment oczy.

– Jest, Wasza Wysokość.

Świat okazał się zbudowany z popiołu, tak, owszem.

Lecz świeży popiół, jeśli się postarać, potrafi się czasem zamienić w całkiem porządny ogień. A czasami nie trzeba się nawet starać – wystarczy odpowiednio silny podmuch wiatru.

„Kradną jej imię”.

– Jeśli to już wszystko, to sądzę, że ktoś powinien mnie teraz odprowadzić do celi.

Nie potrzebował mocy więcej. Nie potrzebował niczego robić. Nie chodziło o niego, chodziło o nich dwoje i to, co między nimi. Musiał tylko być obok. Stać się wyrwą w świecie, który chcieli skonstruować dla Very Diogorczy. Najbliższym jej człowiekiem, znajdującym się jednak po drugiej stronie barykady. Tylko to dawało szansę, że iluzja się posypie.

To w każdym razie powtarzał sobie potem w najmroczniejszych, najgorszych chwilach.

Rozdział III

Imię

Zimowe noce w diogorskich górach były piękne, a przy pełni, ze względu na światło odbijające się od śniegu, niezwykle jasne. Mroźne powietrze i srebrzysty blask księżyca splatały się w przedziwną jedność i miało się wrażenie, że wdzierają się w płuca, a potem żyją w człowieku, zamieniając ciemną, gęstą krew w coś lżejszego i czystsze, w płynny kryształ.

Absurdalne skojarzenie, lecz niezwykle silne.

Zresztą wszystko w tej nocy było w jakiś sposób absurdalne. Niemożliwe wręcz piękno, to mrowie gwiazd, oglądanych – mimo pełni! – z tarasu Kamieniołomu, gdzie miał się odbyć rytuał. Jak mogli istnieć jednocześnie – ludzie i gwiazdy, czymkolwiek tak naprawdę były?

Niebo. Niebo było absurdalne, ogromna zagadka żywiołów nad ich głowami, którą, z całym jej ogromem, uparcie ignorowali.

Nie niebo – oni. Oni byli absurdalni. Ludzie pod niebem.

Ren czuł to przez jedną, olśniewającą chwilę.

Potem odezwał się Diogor i owo poczucie znikło. Została wiedza, ona jednak nie wystarczała, by nadchodzący rytuał wydał się Przewodnikowi mały, nieważny, i jeśli tragiczny, to ze względu na swoją śmieszność i znikomą skalę.

– Tak, Wasza Wysokość. Jestem gotowy – powiedział.

Król z powagą skinął głową, po czym wskazał mu miejsce na środku tarasu. Hornak skończył właśnie rozstawiać tam czarki i teraz podpalał ich zawartość. Ren westchnął i zsunął kozuch z ramion. Zadrżał, zostawszy jedynie w koszuli, i czym prędzej zajął miejsce między płomieniami. Czary były trzy – po jednej na każdego świadka przysięgi.

Uklęknął i pochylił głowę, czekając, aż Diogor, Jorg i Hornak zajmą miejsca. Musiał wyglądać jak skazaniec – i tak też się czuł. W gruncie rzeczy przecież nim był: skazańcem i katem jednocześnie.

„Jeszcze cię z tego wyciągnę” – pomyślał. Potem mężczyźni stanęli wokół niego i rozpoczęli monotony zaśpiew – inkantację do żywiołów, nic

magicznego, Diogorczycy nie mieli magii innej niż ta rytualna – nie było już więc miejsca na takie myśli.

Rzeczywistość zgęstniała. Stała się bliższa, prawdziwsza, jakby wyżłobiona w kamieniu. Ren dostrzegł błysk noża o kościanej rękojeści, a potem król przeciągnął ostrzem po swojej bladej, jakby marmurowej skórze.

Przewodnik zorientował się, że do dźwięków wydawanych przez Diogorczyków dołączył jego własny pomruk.

Krew władcy spływała do kielicha, ciężka i gęsta. Spływała w umyśle i duszy Rena i wszystkich świadków przysięgi, rzeźbiąc głębokie koleiny w tym, czym byli i czym mieli być, i nadając im nowy kształt.

Przewodnik nie czuł rozpacz, nie czuło się rozpacz w czasie rytuałów, bo wszystko było wtedy takie, jak być powinno. Nie ma miejsca na bunt, kiedy twoje serce bije jednym rytmem z gwiazdami, kiedy twój głos dobywa się z gardła twojego brata, a głos brata – z twojego.

Ren rozciął skórę dłoni i obserwował, jak jego życie miesza się z życiem króla i dwóch jego żołnierzy.

Potem odebrano mu naczynie. Jorg wyjął fiolkę wypełnioną czerwoną cieczą i przelał jej zawartość do kielicha. Krew Widzącej.

Serce Przewodnika na moment zmyliło rytm i wiedział.

Obudziła się.

Krzyknęła.

*

Głos był obcy, nie znała go, a jednak zamarł, kiedy zamknęła usta. To też było straszne.

Wiedziała, że ta pustka nie trwała od zawsze, że istnieje coś poza nią, coś lepszego.

Nie pamiętała i nie widziała jednak nic poza pustką właśnie, poza tą chwilą i własnym ciałem.

Równocześnie miała wrażenie, że jest gdzieś indziej. Ktoś gdzieś indziej z niej korzystał – czymkolwiek była.

Księżyc. Księżyc miał z tym coś wspólnego – może dlatego nie mogła przestać na niego patrzeć? A chciała, naprawdę chciała, tyle że nie była w stanie, zbyt słaba, by się ruszyć.

Z jej szeroko otwartych oczu płynęły łzy.

*

Słowa narodziły się, jak nic innego na tym świecie, bezboleśnie. Wypłynęły z pomruku, naturalne jak oddech.

– Ja, Ren, Przewodnik urodzony w żywiole wody, Ren Urtyjczyk z miasta królowej Rony przysięgam...

*

Uniosła chude dłonie do włosów, palce miała rozcapierzone i zakrzywione, własny dotyk zdawał się obcy.

*

...na krew swoją, trzech świadków i mojej Widzącej...

*

Tym razem rozpoznała swój krzyk.

*

...nie wymawiać przy niej imienia Vera nadanego jej w żywiołach.

*

Krzyk nie był obcy, ale nie układał się w to słowo, w które powinien się ułożyć, nie znała go, nie pamiętała. Jej słabe ciało wygięło się w łuk, zawyla, szarpiąc się za włosy.

*

– Przysięgę przyjmuję – powiedzieli kolejno Diogor, Jorg i Hornak. Po raz ostatni odetchnęli we wspólnym rytmie. Ogień w czarach przygasł.

Przez więź zaś dotarł do Rena taki ładunek rozpacz, że aż zgiął się wpół.

*

Miejsce, w którym się obudziła, było, pamiętała to przecież, zalane srebrzystym, złym światłem księżyca.

Skąd więc taniec płomieni na ścianach?

To nie płomienie, to słońce zachodzi.

Słońce płonie,

czas płonie, żywioły płoną czasem.

(Był tylko jeden początek, kiedy zapłonął czas, kiedy żywiły się nim zajęły, i jeden będzie koniec, gdy pożar wygaśnie; czy można powiedzieć, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy pojedynczy płomień?)

Wszystko inne to momenty, na które chce się patrzeć w pierwszej albo ostatniej kolejności).

Coś w niej wiedziało, że teraz powinny się pojawić obrazy. Zapełnić przestrzeń, która się narodziła, a potem rozerwać wszystko wokół niej, bo nie istniała taka przestrzeń, która by je pomieściła, były przecież wszystkim. Coś innego w niej kuliło się ze strachu na samą myśl o tym i gardziła tym czymś, bo – nagle to wiedziała – zawsze gardziła strachem.

Jeszcze coś innego wiedziało, że tak naprawdę to nie ta przestrzeń, nie ten jej rodzaj. I że nie potok czasu wdrze się w tę szczelinę. Ktoś kiedyś o to zadbał.

*

Ren zamarł w progu izby Widzącej i przemknęła mu przez głowę zupełnie niestosowna myśl, że chyba wchodzi mu to w nawyk. Przywołał się do porządku. Pierwszy trans był zdecydowanie za długi. Wiedział o tym, oczywiście, ale teraz zaczął się zastanawiać, czy nie okaleczył dziewczyny bardziej, niż sądził – na poziomie samego Widzenia.

– Więźniu – odezwał się sucho Jorg. – Twierdziłeś, że czas jest tu kluczowy.

Ren kiwnął głową, nie zaszczycając strażnika odpowiedzią, ale do pomieszczenia wszedł powoli i ostrożnie. Przyklęknął przy łóżku i sięgnął do ciemnobrązowej, kurczowo zaciśniętej na czarnych kędziorach dłoni dziewczyny.

– Hej, królewno – powiedział cicho, łagodnie. – Już dobrze.

Usłyszał dźwięk zamykanych drzwi. Opuścił powieki i odetchnął głębiej, rozdzielając własne, rozszalałe po tej przeklętej przysiedze emocje od tych Widzącej, wygładzając je i splatając, a wreszcie zanurzając w więzi.

Pomyłkę zauważył, jak to często bywa, o mgnienie oka za późno, ale w gruncie rzeczy gdyby wiedział wcześniej, zachowałby się tak samo. Trans czy nie, nie mógł jej przecież tak zostawić.

Wrzeszczała.

Ren unosił się bezcieleśnie w czymś, co z braku lepszego słowa można było równie dobrze nazwać powietrzem, a jego Widząca klęczała na ziemi

wśród potrzaskanych ruin, obejmując głowę rękami i wyjąc. Przed nią stała Diogorka o czarno-czerwonych włosach zaplecionych w setki upiętych w misterną konstrukcję warkoczyków.

– Za wysokie progi... królewno – powiedziała.

Tak. To teraz musiał się tylko zorientować, co to, kurwa, było i jak się tego pozbyć.

„Myśl, Ren, myśl. Podobno czegoś cię nauczili w Zakonie. Spokój. Analiza sytuacji”.

To nie był trans, ponad wszelką wątpliwość. Tak jakby wpadł w środek wizji, ale nie czuł niczego na zewnątrz, jakby wszystko tutaj było poza czasem, jakby strzaskane mury odgradzały ich od wszystkiego, w podobny sposób co zamknięte drzwi i ściany prawdziwych izb odgradzają od świata pogrążonych w dzikim transie Przewodników i Widzące.

Coś było w tej analogii, tylko w jaki sposób miało mu to pomóc?

Właściwie znał jeden sposób postępowania – połączyć się z Widzącą. Pomóc jej. Potrzebowała tylko odrobiny wsparcia, żeby wydobyć się z dowolnego stanu – tak w każdym razie głosiła teoria.

Oczywiście byłoby to o wiele łatwiejsze, gdyby miał ciało.

Nie miał go jednak, był świadomością wiszącą w powietrzu, mógł więc tylko starać się skupić na więzi.

Nigdy nie wiedział, czy to te starania spowodowały, że Vera przestała krzyczeć, poderwała głowę i spojrzała prosto na niego. Wiedział za to, że było tak, jakby pod wpływem tego spojrzenia odzyskał ciało.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, po czym poderwała się błyskawicznie. Widział ją już taką, przygarbioną i wściekłą.

– CO WYŚCIE ZROBILI?!

Ren struchlał, myśląc o przysiedze, ale zaraz nadszedł następny krzyk:

– COŚ TY Z NAMI ZROBIŁA, TY KURWO?!

Potem zdarzyły się dwie rzeczy naraz.

Diogorka nie drgnęła.

Diogorka wymierzyła jej policzek.

Vera zawyla, zatoczyła się i znów osunęła na kolana.

– Przepraszam, kochanie – powiedziała kobieta, mówiąc przy tym zupełnie coś innego.

Uważaj na słowa.

– COŚ TY ZROBIŁA?!

Kobieta pokręciła głową.

Na żywioły, Ren, Ren, co, co oni, co my teraz, co...

Pustynia. Byli na pustyni, tak musiała wyglądać przestrzeń jej transów, nim wizje rozerwały ją na rozrzucone w nicości skarpy. Diogorka zniknęła, izba zniknęła, zostali tylko oni – i potworne ryzyko. Przebywanie w tym miejscu bez transu było skrajnie niebezpieczne.

Ale Vera naprawdę potrzebowała się do kogoś przytulić. Przez moment drżała w jego ramionach – ale tylko przez moment.

– Musisz iść – szepnęła.

Wiedział o tym doskonale, tylko że wcale nie chciał iść, na zewnątrz nie czekało go nic dobrego.

– Musisz! – powtórzyła z naciskiem, po czym wypchnęła go na zewnątrz.

Nie było to przyjemne i owocowało zazwyczaj paskudnymi bólami głowy – i Ren poczuł właśnie ból, znenacka znajdując się we własnym ciele. Westchnął ciężko. Nie był to jeszcze taki dziki migrenowy rajd, jakiego można się było w tej sytuacji spodziewać, ale Przewodnik miał nieodparte wrażenie, że on jeszcze nadejdzie.

Popatrzył na leżącą na łóżku kobietę. Nieprzytomna, bezsprzecznie.

Zapał się dłońmi o podłogę, zamierzając wstać, lecz naraz zastygł.

Dlaczego nie zwrócił na to uwagi od razu? Skupiał się na Widzącej, to fakt, ale ciężki zapach odurzających mikstur był przecież niemal nie do wytrzymania! Ogarnęła go wściekłość. Wiedział, co jej robili, ale wiedzieć i widzieć jak – to dwie różne rzeczy.

Wzdrygnął się, uderzony nagłą myślą. Może tego zapachu nie było kiedy wszedł?

Wyciągnął dłoń, przeciągnął palcami po spoconej twarzy Widzącej, a gdy uniósł je do nosa, furia poderwała go na nogi.

Zrobili z niej małe laboratorium. Była to niezwykle wyrafinowana metoda, praktycznie nieznana na Północy – musieli znaleźć wśród więźniów jakiegoś alchemika, najpewniej jednego z tych szkolonych w Zakonie nieudaczników, którym nie udało się zostać Przewodnikami. Organizm przetwarzał i wypacał truciznę, a pot stawał się aktywnym czynnikiem następnej, dużo silniejszej mikstury, którą ciało akceptowało już większą ochotą, niemal jak pożywienie.

Ren nie przepadał za uciekaniem się do przemocy i nie był w tym dobry. Ale kiedy drzwi się otworzyły i stanął w nich Jorg, dopadnięcie go i zdzielenie go pięścią w twarz wyszło mu zupełnie naturalnie. To było poza jego umysłem, ot, seria bodźców, które po prostu musiały wystąpić

w następującej kolejności: widok twarzy mężczyzny, rozbłysk furii, sus, pięść błyskawicznie wymierzająca cios.

Jorg był jednak żołnierzem, co oznaczało, że bez względu na siwiznę na przemocy się znał, i to dużo lepiej niż Przewodnik. Nawet nie starał się zrobić uniku – po prostu chwycił pięść więźnia i wykręcił mu rękę.

– Gdyby stał tu Hornak, musiałbyś leczyć złamanie – oznajmił spokojnie. – Otwarte.

– Skurwiel – wycedził Ren, usiłując wyszarpnąć się z chwytu.

Strażnik westchnął, wyciągnął go na korytarz, nogą zamknął za sobą drzwi i obrócił Przewodnika przodem do siebie, po czym uderzył go wierzchem dłoni w twarz.

– Już? – zapytał.

Ren popatrzył na Diogorczyka z pogardą.

– Jak ty wytrzymujesz sam ze sobą? – wysyczał.

– Ostatnio idzie mi całkiem dobrze, dziękuję – odparł zimno Jorg.

– Ostatnio? – warknął Południowiec. – To znaczy na przykład odkąd faszeryjesz niewinną dziewczynę narkotykami?

– Nie jest taka niewinna – stwierdził Jorg spokojnie. – Ale tak, mniej więcej od wtedy. Masz inne nieistotne pytania?

Przewodnik splunął mu w twarz. Tym razem Diogorczyk uderzył mocniej, tak, że więzień zatoczył się na ścianę.

– Dobrze, dosyć tego – stwierdził żołnierz, starłszy plwocinę, po czym sprawnie obrócił więźnia tyłem do siebie i skrępował mu ręce. – Idziemy. – Popchnął go, trochę zbyt mocno i Ren musiał walczyć o utrzymanie równowagi. Potem jednak posłusznie ruszył przed siebie korytarzem.

Szli w ciszy. Przewodnik milczał, bo gotował się z wściekłości, Jorg zaś dlatego, że nie widział powodu, by odzywać się do więźnia. Nie był to dla niego partner do rozmowy. Poza tym musiał wymyślić dla niego karę. Nie odwet, w żadnym razie – ktoś o tak niskim statusie nie mógł go przecież obrazić – ale wybryk Południowca nie mógł pozostać bez konsekwencji. Kwestia pedagogiczna.

– To było nierozważne zachowanie – odezwał się więc, wpuściwszy Rena do celi.

Mężczyzna popatrzył na niego z drwiącą pogardą, która, Jorg przyznawał niechętnie, robiła wrażenie nawet na tej idiotycznej, na wpół ogolonej, a teraz jeszcze opuchniętej twarzy.

– Istnieje rozwaga, od której ludziom powinno przewracać się w żołądku – odparł. – Ale nie sądzę, byście w Diogorii zdawali sobie z tego sprawę.

– Nie, więźniu. W Diogorii rozwaga jest roz wagą.

– Tak myślałem.

– Będę musiał wyciągnąć konsekwencje, zdajesz sobie z tego sprawę?

Ren uśmiechnął się lekceważąco.

– Ależ wyciągaj.

Jorg spoglądał na niego w milczeniu. Wreszcie skinął głową.

– Dobrze.

Kiedy wyjaśnił Przewodnikowi, jakie dokładnie konsekwencje zamierza wyciągnąć, ten już się nie uśmiechał.

*

Otworzyła oczy i rozejrzała się po pomieszczeniu – okrągłym i wyłożonym drewnem. Nie była tu sama.

Krzyknęła krótko i zacisnęła dłonie na prześcieradle, nagle nie mogąc złapać tchu. Wszystko było obce – łóżko, ściany, okno, ona sama.

Mężczyzna, który siedział na rzeźbionym krześle, był...

– Ćśś. Spokojnie, Migna. Spokojnie.

Znała ten głos. Był dobry.

– M-migna? – zapytała niepewnie.

Skinął głową, patrząc na nią uważnie. Te oczy też znała, też były dobre, szare dobre oczy.

– Tak. Tak masz na imię. Nie pamiętasz?

Zadumała się, poruszając ustami jak ryba wyrzucona na brzeg, a potem gwałtownie potrząsnęła głową.

– Nie mam!

– Migna... – powiedział z troską, śmiertelnie zmęczonym głosem.

Namyślała się intensywnie, oczy zwęziły się jej w szparki.

– Nnn... Mam?

Obdarzył ją uśmiechem tak ciepłym, że Migna – tak, na pewno Migna, nie wiedziała, kim jest, ale pamiętała, jak wymawiał to imię, a przecież by jej nie okłamał – po prostu musiała go odwzajemnić.

– Dobrze. Pamiętasz.

Pokiwała gorliwie głową, żeby pokazać, jak dokładnie pamięta, żeby go ucieszyć, rozproszyć cień w jego oczach.

– A pamiętasz coś jeszcze?

Sięgnęła pamięcią wstecz... I natrafiła na pustkę. Zasłoniła usta dłonią, krzyknęła. Potrząsnęła lekko głową.

– Dlaczego? – zapytała bezradnie.

Mężczyzna popatrzył na nią smutno i z wahaniem pogładził po włosach.

– Zaraz ci opowiem – rzekł cicho. Nie wyglądał, jakby się do tego opowiadania szczególnie palił. – A ja? Mnie pamiętasz, tak?

Pokiwała głową, znów gorliwie. Uśmiechnął się.

– Jak mam na imię?

Wiedziała, wiedziała, że to jest gdzieś w tej pustce, wystarczyło się skupić, by zajaśniało jak gwiazda. Aż krzyknęła z radości.

– Jorg!

Znów się uśmiechnął, i to jej wystarczało za każdą nagrodę świata.

– Tak, Jorg. Kim jestem?

To też gdzieś było, wiedziała to gdzieś w tym rozbłysku, który wiązał się z jego imieniem. Tylko że...

– Oj... ojcem? Ale przecież...

Przecież miał jasną skórę, a ona... Spojrzała z paniką na własną dłoń i zaraz odetchnęła z ulgą. Ciemnobrązowa, tak jak wiedziała, że powinno być.

„Schan”, przemknęło jej przez głowę, i chyba nawet to powiedziała, bo Jorg pokiwał głową.

– Tak, z krwi jesteś Schanianką. I nie jest to więź, która kiedykolwiek zaniknie, krew jest przecież żywiołem...

Mówił coś jeszcze, ale go nie słyszała, porażona nagłym wspomnieniem. Księżyc w pełni widziany z okna, bezradność, poczucie, że jest gdzie indziej i nie wie gdzie, że nie ma pojęcia, co się dzieje, ale że coś dzieje się na pewno.

– ...prawdziwi rodzice – jego głos był odrobinę chłodniejszy, kiedy wymawiał te słowa – chyba nie brali tego pod uwagę. Porzucili cię w górach niedługo po urodzeniu. Na szczęście cię znaleźliśmy.

Migna zogniskowała na nim spojrzenie.

– Zostawili... Dziecko?

Ścisnął mocniej jej dłoń, pogłaskał po policzku. Zdenerwowało ją to trochę, wołałaby, żeby nie zwrócił uwagi na łzy, które popłynęły, sama nie wiedziała dlaczego.

– Co za skurwysyństwo – wymamrotała, niecierpliwie unosząc dłoń, by otrzeć oczy. Ruch ten okazał się wyjątkowo trudny, jakby jej ręka była wykonana z ołowiu.

– Pamiętam – szepnęła, patrząc na własne przedramię. – To nie tak wygląda, nie...

– Ćśś. Ostatnie wydarzenia cię wyniszczyły. Ale wrócisz do siebie, obiecuję.

Odetchnęła głębiej, nieco się odprężyła. Skoro Jorg obiecywał, to nie było się o co martwić.

– Dlaczego ja nic nie...

Skrzywił się, wyraźnie zły – ale nie na nią. Nie mógłby przecież być na nią zły.

– Zaraz ci powiem. Tylko jeszcze... – zawahał się, spojrzał na nią z obawą. – Powiedz mi, pamiętasz komu służymy?

– Diogoria – wyszeptała, wpatrując się w piękny, wysoko sklepiony sufit. Diogoria, przestrzeń, honor, krew. Dobro. Piękno.

Zadrżała, a on odwrócił jej twarz ku sobie.

– Ćśś, Migna. Spokojnie. Cieszę się, że pamiętasz.

Uśmiechnęła się do niego. Niepokój minął.

– Dlaczego...

Zamknął na moment oczy, jakby z bólu albo żalu.

– Jesteś Widzącą.

Podderwała się – to znaczy spróbowała, bo siła, która powinna być wystarczająca do takiego manewru, teraz wystarczyła tylko na gwałtowne szarpnięcie się i opadnięcie na poduszki.

– Co?! Nieprawda, nie mogę, jak to, Diogorczyacy nie...

– Ćśś – powtórzył Jorg. – Migna, z krwi nie jesteś Diogorką.

– Ale ja... – Spojrzała na niego ze łzami w oczach. – Ja mam życie, nie mogę, mam...

„Nic już nie masz”. Bardzo ciche słowa. Nie jej. Prawdziwe.

– Masz. Oczywiście, że masz – zapewnił ją Jorg. – Jesteś żołnierzem Diogorii. Cokolwiek by się stało, jesteś żołnierzem Diogorii. Słyszysz mnie?

Energicznie pokręciła głową.

– Nie jestem! – Nie wiedziała, czemu to wykrzyczała. Zwłaszcza że sprawiło mu ból.

– Popatrz na mnie – powiedziała więc szybko. – Nie mogę się ruszyć, co ze mnie za żołnierz? Jestem Widzącą, jestem... Och, na żywioły...

Zakryła twarz dłońmi. Ciemność płynąca z palców była w jakiś sposób lepsza od tej, którą dawały jedynie zamknięte powieki.

Jorg wstał, przeszedł kilka kroków. Przelał jakiś płyn z naczynia do naczynia, wrócił i usiadł z powrotem. Delikatnie dotknął swą chropowatą dłonią jej dłoni. Pomógł usiąść, wcisnął do rąk kubek.

– Co to?

– Lekarstwo. Wypij, pomoże.

Skinęła głową, uniosła naczynie do ust, wypila kilka łyków.

– Widzące nie tracą pamięci – powiedziała cicho.

– Zazwyczaj nie. Ty... – zacisnął pięści – ...miałaś wypadek. Za długo byłaś w transie.

Spojrzała na niego z niepokojem. Coś mówiło jej, że te emocje, nawet tak oszczędnie okazywane, nie są dla niego typowe.

– Co się stało?

Jorg odetchnął.

– Jesteśmy w Zielonym Kamieniołomie. Pamiętasz, co to?

Migna poczuła, że żołądek skręca jej się ze strachu. Pamiętała.

– Więzienie – szepnęła.

– Tak. Twój Przewodnik... jest jednym z więźniów. Kiedy go do ciebie sprowadziliśmy, targował się. Dość długo. Nie mogliśmy go zmusić, uszkodzony by ci nie pomógł. Stawiał wciąż nowe żądania, ty byłaś w transie coraz dłużej, a kiedy wreszcie obiecaliśmy mu wszystko, czego chciał, stwierdził, że minęło zbyt dużo czasu, że już cię nie wyciągnie. Dopiero kiedy zagroziliśmy mu torturami...

Migna spojrzała na niego sennie. Jakoś trudniej było jej się skupić.

– Przecież przyciągają – wymamrotała. – Przysięgają – poprawiła się.

– Nie na krew. Ty jesteś z Diogorii, on jest buntownikiem bez honoru.

Pokiwała głową.

– Powtórz.

Głos Jorga stał się jakby ostrzejszy, suchy. Przez mgnienie oka ją to dziwiło, ale zaraz przestało. Na zdziwieniu również trudno było się skupić.

– Ja jestem z Diogorii, on jest buntownikiem bez honoru.

– Kto jest buntownikiem bez honoru?

– Mój Przewodnik.

– Skąd jesteś?

- Z Diogorii.
- Komu służysz?
- Diogorowi.
- Gdzie jest twój honor?
- W Diogorii.
- Gdzie twoje życie?
- W Diogorii.
- Gdzie jest piękno?
- W Diogorii.
- Gdzie jest dobro?
- W Diogorii.
- Kim jest twój Przewodnik?
- Buntownikiem bez honoru.
- Kim jest twój Przewodnik?
- Buntownikiem bez honoru.
- Kim jest twój Przewodnik?
- Nuntownikiem ez oru.
- Kim jest twój Przewodnik?
- Nnnnnnnnb. Gh.

Jorg wyprostował się i popatrzył na Schaniankę z pogardą. Ślina kobiety zaczynała już ściekać po brodzie z półotwartych ust. Należało to zebrać, ale za chwilę – póki miała otwarte oczy, odbierała bodźce. Jorg sięgnął po leżącą na stoliku obok drewnianą łopatkę i bezceremonialnie odwrócił głowę dziewczyny w swoją stronę, tak żeby widziała jego twarz. Przywykł już do dotykania jej, kiedy była przytomna, choć robił to niechętnie, ale do tknięcia jej, kiedy pozostawała bez świadomości, nie mógłby się zmusić, nie mówiąc już o tym, że byłoby to po prostu głupie. Popatrzył jej w oczy.

– Jestem Jorg – powiedział wolno, wyraźnie i beznamiętnie. Powtórzył to kilkakrotnie. – Ufasz każdemu mojemu słowu. Nigdy cię nie okłamię. Nigdy cię nie skrzywdzę. Kochasz mnie jak rodzzonego ojca. Masz na imię Migna. Ufasz każdemu słowu Jorga. Jorg nigdy cię nie okłamię. Jorg nigdy cię nie skrzywdzi. Kochasz Jorga jak rodzzonego ojca. Masz na imię Migna. Jesteś z Diogorii. Służysz Diogorowi. Twój honor jest w Diogorii. Twoje życie jest w Diogorii. Piękno jest w Diogorii. Dobro jest w Diogorii. Kto sprzeciwia się Diogorii, zasłużył na śmierć. Masz na imię Migna. Jesteś Widzącą Diogorii. Twój Przewodnik jest buntownikiem bez honoru. Sprzeciwił się Diogorii. Migna jest Widzącą Diogorii. Jej Przewodnik jest

buntownikiem bez honoru. Migna nienawidzi swojego Przewodnika.
Przewodnik Migny zasłużył na śmierć.

Rozdział IV

Panorama skazańców

Dojście do siebie po pierwszym transie zajęło Widzącej ponad miesiąc. Dla Rena był to miesiąc monotonnej samotności, która przez pewien czas wiązała się z ulgą. Nikt niczego od niego nie chciał, nikt mu nie przeszkadzał, ot, przynosili mu czasem jedzenie. Ren, jak każdy Przewodnik, nie należał do ludzi, którzy nudzili się we własnym towarzystwie. Zawsze były jakieś techniki, które można było poćwiczyć, zawsze warto było trenować umysł. A teraz miał naprawdę trudną Widzącą, więc powinien się do tego przykładać tym bardziej – i się przykładał.

Po jakimś czasie jednak cisza panująca pomiędzy grubymi murami, wciąż ten sam, mdlący zapach wilgotnej słomy i brak kogokolwiek, do kogo mógłby się odezwać, stały się męczące. Raz albo dwa złapał się na tym, że chciałby wyjść, zobaczyć góry. Prawie za nimi tęsknił.

Z niekłamaną radością powitałby więc moment, kiedy w drzwiach jego celi, prócz samego tylko Hornaka, który zazwyczaj dostarczał jedzenie, stanął drugi strażnik, by poinformować, że nadszedł czas, by Ren udowodnił swoją przydatność i wprowadził Widzącą w trans. Powitałby ten moment z radością, gdyby drugim strażnikiem nie okazał się Jorg, którego w ciągu tych kilkudziesięciu dni nienawidził bardziej z każdym wschodem i zachodem słońca.

Zresztą nawet gdyby się ucieszył, przecież nie chciałby, żeby to widzieli. Może więc dobrze się złożyło – żadnego wysiłku nie wymagało od Rena obdarzenie siwowłosego strażnika ponurym, pełnym pogardy spojrzeniem i demonstracyjnie powolne podniesienie się z podłogi.

– Król będzie przy tym obecny – oświadczył żołnierz nieco drwiącym tonem, kiedy Przewodnik się wyprostował. – Zaś trans odbędzie się na wieży Alikry. Przygotuj się.

Skinął na Hornaka, a ten wniósł do celi balię i przybory toaletowe.

Tym razem Ren ogolił się, jak należy.

Nie do końca wierzył w to, że naprawdę prowadzą go na wieżę Alikry, nawet kiedy już szli i kiedy skupiał się głównie na tym, żeby pokonać nieprzyzwoicie dużą liczbę schodów. Przyszedł już z grubsza do siebie po

siedemdziesięciu dwóch dniach ciężkich robót, ale więzienny wikt mu nie służył, a Hornak, który go eskortował, narzucał iście mordercze tempo. Przewodnik miał w którymś momencie wrażenie, że po prostu tego nie przeżyje, straci przytomność, zacznie się staczać i skona długą, bolesną śmiercią. Kiedy wreszcie przestali się poruszać, był tak zmęczony, że ledwie widział na oczy.

Minęła chwila, nim był w stanie skupić się na czymś poza własnym wyczerpaniem, lecz kiedy już minęła...

Świat widziany z tej perspektywy był niewypowiedzianie piękny.

Płonące blaskiem zachodzącego słońca szczyty zlewały się z rozżarzonym niebem, bogactwo ich barw zachwyciło. Niżej znajdował się ogromny, pogrążony w niemal namacalnym mroku kanion, nad którym – tak harmonijnie wpasowany w krajobraz, że zdawał się dziełem natury – rozciągał się ostrymi łukami Wielki Most, chwytający w metalowe rusztowanie ostatnie promienie. Powietrze, czystsze i świeższe niż gdziekolwiek indziej, niosło ze sobą dziwną, nieprawdopodobną ekscytację, bo to już, to zaraz, zaraz się zacznie, tutaj, wszystko, świat!

Widok, rozciągający się z wieży Alikry dawał siłę. Kazał pragnąć, wyciągać ręce, brać od życia wszystko, co miało do zaoferowania, i więcej.

Nazywano go Panoramą Skazańców. Jeśli w najcięższym więzieniu Diogorii wykonywano egzekucje – co nie zdarzało się często, gdyż pobyt tam sam w sobie był wyrokiem śmierci – odbywały się właśnie na tej wieży. Był to wyraz uznania dla skazanego – bo zbrodnie, które karano w ten sposób, zasługiwały na uznanie i najdotkliwszą karę. Więźniowie w Kamieniołomie śmierć witali z ulgą – zwykle sądzili, że nie mają już nic do stracenia, świat jawił się im miejscem złym i pełnym rozpacz. Panorama uświadamiała im, w jak ogromnym są błędzie, po to tylko, żeby mogli zrozumieć, co tracą.

Byli podobno w historii malarze, którzy dokonywali straszliwych zbrodni w nadziei, że zdołają przemycić do Kamieniołomu płótna i farby, że w najgorszym wypadku namalują Panoramę własną krwią. Żadnemu się nie udało. Tak naprawdę to Panorama była powodem, dla którego królowie Diogorii raz w roku wizytowali Zielony Kamieniołom.

„Dobry wybór – pomyślał oszołomiony Ren, wpatrując się w szczyty gór, które naprawdę zdawały się płonąć. Prawie czuł bijące od nich ciepło. – Dobre miejsce na trans”.

Usłyszał odgłos otwieranych drzwi i odwrócił się, by po raz pierwszy od czterdziestu dni zobaczyć swoją Widzącą. A po raz pierwszy w ogóle – swoją Widzącą przytomną.

Nabrała ciała, wyglądała już niemal zdrowo, i poruszała się sprężystym, miękkim krokiem urodzonej wojowniczkii.

Nie zwróciła uwagi na panoramę, od razu zogniskowała wzrok na nim. Był to wzrok pełen pogardy.

– To on? – zapytała.

– Tak, Migna – odparł Jorg.

Splunęła, nie spuszczając wzroku z Przewodnika.

– Powinnam cię zrzucić z tej wieży – oznajmiła.

– Zbyt duży zaszczyt – mruknął Jorg. Widząca odetchnęła, popatrzyła na strażnika ciepło.

– Tak, chyba masz rację.

– No i byłoby to szalenie niepraktyczne – odezwał się Ren lekkim, niezobowiązującym tonem, pod powierzchnią którego drżała złość. – Zginęłabyś w momencie, w którym roztrzaskałbym się o skały.

– Tylko dlatego żyjesz, ścierwojadzie.

Ren uśmiechnął się drwiąco.

– Urocze – spojrzał na Jorga. – Pięknieście ją sobie wychowali, musisz być dumny.

Widząca zacisnęła pięści, żołnierz położył jej jednak rękę na ramieniu.

– Jestem – odparł spokojnie.

Nim ktokolwiek zdążył powiedzieć coś więcej, drzwi otworzyły się po raz kolejny. Król wszedł sam – gwardziści zostali na schodach; Jorg, Hornak, Migna i Ren widzieli ich przez chwilę, nim padli na kolana.

Władca Północy powolnym krokiem podszedł do skraju tarasu. Przez moment stał tam, podziwiając widok. Wreszcie się odwrócił.

– Wstańcie – powiedział. – Zacznijmy.

Ren odetchnął głęboko, wyprostował się.

– Tak, Wasza Wysokość.

Nerwowym gestem przecesał włosy, spojrzał na Diogorczyków.

– Stójcie plecami do ściany – polecił rzeczowo. – Nie ruszajcie się stamtąd i, na żywioły, nie myślcie nawet o tym, żeby dotknąć któregoś z nas albo pchać ręce w światło.

Król oszczędnie skinął głową. Ren nerwowo przecesał palcami włosy i zwrócił się do Widzącej:

– Usiądź, Migna. – Kobieta skrzywiła się, słysząc, jak Przewodnik wypowiada jej imię, ale wykonała polecenie.

– Nie tak. Przodem do słońca, dobrze?

Spojrzała na niego spode łba i przewróciła oczami, ale obróciła się tak, jak jej kazał. Ren zajął miejsce obok, usiadł jednak bokiem do krajobrazu, wpatrując się uważnie w profil Widzącej.

– Spójrz przed siebie – powiedział miękko. Dziewczyna wlepiła wzrok w Panoramę. – Widzisz? Popatrz na słońce. Spójrz na słońce, Migna, nie bój się. Nie myśl o niczym.

Jej oczy były zupełnie nieprzytomne. „Szybko idzie” – uznał Ren.

– Wojna, widzisz? – szepnął i sięgnął nieco głębiej, najdelikatniej, jak potrafił. Umysł wciąż miała w strzępach, nawet jeśli ktoś naprędce je pozszywał. – Widzisz?

Dziewczyna powoli odwróciła głowę w stronę Rena i spojrzała na niego ciepło. Przewodnik natychmiast podchwycił to spojrzenie. Gdzieś na dnie jej oczu czaił się już pomarańczowy blask, ale nie to było teraz ważne – ważne było, że Migna, przepełniona nienawiścią jędza, zniknęła i pojawiła się Vera, która co prawda również była przepełniona nienawiścią, ale nie do niego.

Widząca miękким, kocim ruchem zmieniła pozycję tak by siedzieć przodem do więźnia. Patrzyli na siebie tak intensywnie, że można było niemal dostrzec linię łączącą ich twarze.

W uderzenie serca później pojawiła się naprawdę.

Z oczu Widzącej buchnął pomarańczowy blask, a głowa Rena odskoczyła do tyłu. Mężczyzna jęknął cicho, mimo to z wysiłkiem uniósł ją z powrotem – a gdy już wrócił do poprzedniej pozycji, światło przekute było w promień, który zdawał się niemal materialny. Przewodnik i Widząca zetknęli się czołami, a świetlista linia zaczęła się rozdzielać na delikatne, wirujące pasma. Szybko splotły się w misterną konstrukcję, która natychmiast zaczęła zmieniać kształt.

Słońce zaszło już zupełnie, a niebo przybrało kolor wyblakłej szarości, na tle której wirujący blask zdawał się jeszcze wyraźniejszy, oszałamiając bogactwem form: smukłych i przysadzistych, przypominających świetliste tatuaże, innym razem ciasno oplatających kolumny, tnących Panoramę na harmonijne segmenty, płożących się po podłodze i wreszcie niewiadomym sposobem skręcających się w powietrzu.

Światło wirowało nieprzerwanie, jak schwymane w kalejdoskopową pułapkę, logiczne i zaskakujące w swoich przemianach, tak nieprawdopodobnie swobodne, że połączenie go w jakikolwiek sposób z Widzącą i Przewodnikiem, ich napiętymi mięśniami, lśniącym na skórze potem i zaciśniętymi szczękami zdawało się niemożliwością.

Czas tracił znaczenie. Rozciągał się, kurczył, przetasowywał, Jorg, Hornak i Diogor nie czuli go już zupełnie.

Kiedy Widząca krzyknęła, szarpnęła się, Ren czułym gestem przyciągnął ją z powrotem do siebie.

Później, gdy świetlisty rysunek wijący się po podłodze niemal dotykał już stóp króla, Przewodnik wykonał niecierpliwy gest – zacisnął pięść, schował ją – i konstrukcja zwinęła się gwałtownie, znacząc ciała jego i Widzącej świetlistymi pręgami.

Wreszcie pomarańczowe promienie zaczęły blaknąć, niknąć, jakby wciągane w sylwetkę Rena – w końcu nawet świetlista linia łącząca jego twarz z tą Widzącej zniknęła zupełnie, tylko dłonie mężczyzny jarzyły się lekko.

Jeszcze później – nikt nie wiedział, ile czasu minęło – światło wróciło ze zdwojoną siłą. Palce Przewodnika i Widzącej splotły się, słaby blask, który spowijał ręce Rena, teraz rozbłysnął oślepiająco i przewędrował na ręce Migny. Mężczyzna upadł na podłogę z okrzykiem będącym bardziej wyrazem zaskoczenia niż bólu.

I to był koniec.

Światło zniknęło, pozostał tylko mdły blask księżyca. Migna wstała chwiejnie i otrzepała się, nie zwracając uwagi na Rena. Ten z kolei nie zwracał uwagi ani na nią, ani na kogokolwiek z pozostałych. Przewrócił się na plecy, zanurzył ręce we włosach i przymknął oczy, oddychając ciężko. Drżał ze zmęczenia, ale w ocenie Jorga wyglądał dużo lepiej niż wtedy, gdy przeprowadził dziewczynę przez trans po przysiedze.

– Hornak, światło – odezwał się strażnik. Podwładny spojrzał na niego nieprzytomnie, po czym zapalił latarnię i powiesił ją na haku przy drzwiach.

– Mów – polecił beznamiętnie król, patrząc na Mignę, która sprawiała wrażenie lekko oszołomionej.

– J... Ja... – Uniosła dłoń do skroni. – To było w mieście. W... w Urcie. – Słowo to brzmiało obco, ale wiedziała, że jest właściwe. – Oni... – Potrząsnęła głową zniecierpliwiona. – Och, nie wiem! Co to niby

ma być?! – Ostatnie słowa skierowała do Przewodnika. – Coś przede mną ukryłeś!

Ren westchnął ciężko i otworzył oczy.

– Nie mogłem nic przed tobą ukryć – stwierdził znużonym tonem, jakby tłumaczył coś wyjątkowo głupiemu i irytującemu dziecku. – Nic nie mogę tam zrobić bez twojej zgody i wiedzy.

Tupnęła nogą.

– To jest do niczego!

– Migna.

Dziewczyna zamarła na moment i odwróciła się do króla, patrząc na niego z obawą.

– Tak, Wasza Wysokość?

– Skup się i powiedz mi, co widziałaś.

Wbiła wzrok w podłogę, przeczesując dłonią włosy.

– Żałośnie mało – wymamrotała pod nosem, chyba w fałszywym przeświadczeniu, że nikt jej nie słyszy, po czym ponownie spojrzała na króla. – Więc... To miasto. Jakieś... jakąś piwnicę... Chyba. Głosy, urwane zdania... Coś o jakimś powstaniu albo ataku... I szpiegu w zamku... Namiestniczki? I twa... – urwała.

– Tak?

– Twarze, ale ich nie pamiętam! – odwróciła się z wściekłością do Rena. – Dlaczego ich nie pamiętam?!

– Nie wiem, królewno – mruknął mężczyzna, wciąż nie podnosząc się z posadzki.

Podejrzewał, że i tak ktoś zaraz zadba o to, żeby zmienić pozycję – i się nie mylił. Migna złapała go za koszulę i poderwała w górę.

– Jak to: nie wiesz?! – wycodziła.

– Po prostu nie wiem – odparł obojętnie, zupełnie jakby nie wisiał pół piędzi nad podłogą. – Prawdopodobnie to brak doświadczenia, ale z tobą nigdy nic nie wiadomo.

– Ty...

– Zostaw go, Migna – powiedział spokojnie Jorg.

Dziewczyna jeszcze przez chwilę wpatrywała się w Przewodnika z wściekłością, po czym puściła go i odwróciła się z powrotem do króla. Ren miał nadzieję, że uda mu się skontrolować upadek, ale nie dał rady i zwałił się ciężko na ziemię. Westchnął, ułożył się wygodniej i podłożył sobie ramię pod głowę.

– Poznałabyś tych ludzi, gdybyś ich zobaczyła? – zapytał Diogor, patrząc na Widzącą nieprzeniknionym wzrokiem.

– Tak – odparła bez wahania i zamilkła, zasłaniając usta dłonią, chyba zaskoczona nagłością własnej odpowiedzi. – Wasza Wysokość – dodała grzecznie.

– Dobrze. Kiedy to się stanie? Jakiego czasu dotyczyły te obrazy?

Dziewczyna drgnęła, jakby ktoś ją dźgnął.

– Zmarli. Este Vierde, święto zmarłych – wychrypiała. Potrząsnęła głową, uniosła dłoń do skroni. – Wiosną? – dodała niepewnie, już normalnym tonem. – Na wiosnę, tak myślę. Chcą to zrobić na wiosnę.

Król przez moment patrzył na kobietę w milczeniu. Święto zmarłych wypadło pod koniec lata, ale z drugiej strony Widząca prawie na pewno nie kłamała, chyba nawet nie wiedziała, że wspomniała Este Vierde, a to, co powiedziała o wiosnie, było przecież szczere, widział to. Skinął głową.

– Hornak, odprowadź Mignę do komnaty.

– Rozkaz, Wasza Wysokość.

Gdy olbrzym i Widząca wyszli, zapadła cisza. Ren patrzył na drzwi beznadziejnym, pustym wzrokiem, Jorg czekał na to, co zrobi król, król zaś spoglądał w zadumie na bielejące na horyzoncie szczyty gór. To on przerwał ciszę. Nie mogło przecież być inaczej.

– Jestem głęboko rozczarowany – oświadczył spokojnie.

Ren spojrzał na niego ze znużeniem. Coś mu mówiło, że należy się bać, ale był zbyt zmęczony, żeby się tym przejąć.

– Jej pierwszy trans trwał kilka godzin – mruknął, nie podnosząc się z podłogi. – Czego oczekiwaliście, cudu? Macie cud, dziewczyna żyje. Myśli. Mówi. Kojarzy fakty. To więcej, niż można było mieć nadzieję, naprawdę.

– Potrzebuję czegoś więcej, Ren.

– W takim razie Wasza Wysokość powinien znaleźć sobie inną Widzącą. Diogor skinął głową.

– Dobrze. Jorg, zrzuć go.

Jorg spojrzał na władcę niepewnie, ale trwało to nie więcej niż mgnienie oka – żołnierz mógł nie być przekonany co do tego, czy Przewodnik zasłużył sobie na tak piękną śmierć, lecz jego przekonanie nie było istotne. Skłonił się i podszedł do mężczyzny.

Ren zaś zmartwiał. Miał swego czasu cichą nadzieję, że stracą go właśnie tu – znaczyłoby to, że naprawdę załazł im za skórę. Miał ją jednak, kiedy

odpowiadał tylko za siebie.

– Albo poczekać, aż jej się poprawi – powiedział szybko.

Król zatrzymał Jorga gestem.

– Więc może się poprawić?

Ren uznał, że prawda będzie najrozsądniejszym wyborem. Prawdopodobnie nie był w tym momencie najlepszym kłamcą świata.

– Niewiele – przyznał. – Ale tak, może. Nie sądzę, żeby zmieniła się skala, ruchów wojsk raczej nie przewidzi, lecz prawdopodobnie z czasem będzie pamiętać więcej, bardziej... całościowo. To kwestia wprawy, siły Widzącej i stanu umysłu. Ona jest silna, umysł powinien się rozjaśnić, wprawy nabierze... Chociaż to tylko przypuszczenia – zastrzegł. – Z nią naprawdę nic nie wiadomo. Z drugiej strony wyróżniliście większość Przewodników w Schan, Nauryi i Kelocie, żaden z pozostałych, nawet jeśli jakiegoś znajdziecie, nie zechce z wami współpracować, a nowa Widząca może się pojawić w waszym zasięgu lub nie, więc nie bardzo macie wybór... – mówił coraz wolniej, by ostatecznie zamilknąć na moment z kwaśną miną. – Obaj doskonale zdawaliście sobie z tego sprawę, kiedy Wasza Wysokość kazał zrzucić mnie z wieży, co zrobił tylko po to, żebym powiedział mu to, co chciał wiedzieć – zakończył.

– Owszem – potwierdził król, a potem odwrócił się do żołnierza. – Zabierz go, Jorg. A potem wróć tutaj.

Jorg skinął głową, Ren zaś podniósł się ciężko z podłogi i ruszył do drzwi.

Odprowadzenie Przewodnika do celi i powrót na wieżę zajęły żołnierzowi ponad pół godziny – tyle wystarczyło, by król przemyślał sytuację i dostosował do niej plany.

– Wstań – rzucił, stojąc bokiem, w chwilę po tym jak usłyszał dźwięk zamykanych drzwi. Odczekał aż strażnik podniesie się z kolan, i dał mu chwilę na złapanie oddechu nim wreszcie oderwał wzrok od mieniących się srebrem szczytów.

– Wymagam od swoich ludzi perfekcji, Jorg. To jedyne, co mnie interesuje.

Żołnierz pochylił głowę. Nie przygarbił się, ale Diogor wiedział, że niewiele brakuje.

– Nie wierzę w nią jednak. Nie wierzę w to, że objawia się w ludziach jak samorodki trycytu, nieproszona, nieoczekiwana, niewypracowana. Z drugiej strony, wierzę, że objawia się w ludziach jak samorodki trycytu.

Że wydobywa się ją z trudem, po wielu próbach i błędach. Jednym słowem, Jorg, nie wierzę w ludzi perfekcyjnych od początku. Wierzę w takich, którzy uczą się perfekcji na błędach.

Jorg wstrzymał oddech. Ledwie zauważalnie, ale Diogor nie byłby królem, gdyby nie był w stanie dostrzec takich rzeczy.

– Ona była twoim błędem, Jorg, i mam nadzieję, że skala twojej refleksji jest przynajmniej taka jak skala tego błędu. Wymagam, żeby taka była. Wymagam, żeby była większa, bo nie możemy pozwolić sobie na utratę Urty. Za żadną cenę. Nie możemy też pozwolić na jakiekolwiek niepokoje w Nauryi, one bowiem zawsze są zbyt kosztowne. Sprawdzaleś się, w dyskretnych i wymagających wyobraźni operacjach. Ta będzie właśnie taka. – Król zamilkł, pozwalając swojemu żołnierzowi przetrwać to, co usłyszał, po czym podjął: – Liczyłem na to, że Widząca da mi przewagę strategiczną, ale skoro nie jest w stanie jej dostarczyć, musimy bazować na tym, co dostajemy. A dostajemy wąskie, ale istotne wycinki. Wierzę, że później będzie w nich więcej informacji, będziecie przesyłali mi królewskim sokołem sprawozdania z jej wizji. Teraz jednak sytuacja wygląda tak, że najbardziej efektywne będzie wysłanie Widzącej do Urty, bo jeśli natrafi na ślad, rozpozna go.

– Wasza wysokość... Jeśli mogę...

– Mów, Jorg.

– Nie lepiej zadać jej ten sam temat w następnym transie?

– Być może w innych warunkach byłoby to rozsądne – odparł król. – Są jednak dwie rzeczy, które stoją na przeszkodzie. Po pierwsze Widzące zazwyczaj żyją krótko. Do pięciu lat po pierwszym transie, jak mi mówiono, ta ma przed sobą zapewne jeszcze mniej. Zużycie jej w ciągu jednej misji, nawet tak istotnej jak Urta, byłoby marnotrawstwem. Zresztą, biorąc pod uwagę odległość stąd do Urty, wiele informacji mogłoby się okazać bezużytecznych, nie zdołalibyśmy na czas przekazać ich namiestniczce. Druga sprawa to ta, że ja, Jorg, uczyłem się historii. Wiem, co dzieje się z władcami, którzy stają na drodze przeznaczeniu. Nie pociąga mnie taki los. Z przeznaczeniem należy współpracować. To dlatego potrzebowalem Widzącej. Nie po to, by rzucać mu wyzwanie.

– Wasza Wysokość? – zapytał zdeorientowany żołnierz.

– Namiestniczką Urty jest Nuka Vasanista. O ile się nie mylę, jedna z nielicznych osób, które zdołały ująć z życiem, po tym jak nasza obecna Widząca udzieliła ci lekcji.

Jorg milczał przez chwilę, nim odpowiedział.

– Rozumiem, Wasza Wysokość.

Król skinął głową.

– Musisz być ostrożny, Jorg. To rozkaz – dodał z naciskiem. – Jeżeli Widząca obróci się przeciw nam, konsekwencje mogą być tragiczne. A obróci się na pewno.

– Wasza Wysokość...

– Obróci się. My mamy alchemię. Przewodnik ma więź, która w odpowiednich warunkach przecina nawet żywy. To prędzej czy później zaowocuje czymś, co będzie dla nas bardzo niebezpieczne.

Jorg przypomniał sobie gest, którym Ren przyciągnął Widzącą do siebie, a także to, jak przeczesywał jej włosy przy poprzednim transie, jak położył sobie jej głowę na kolanach podczas pierwszego spotkania. Wówczas zrozumiał, że król ma rację.

– Chcę maksymalnie wykorzystać fakt, że Widząca jest po naszej stronie. Staraj się, żeby transy były jak najczęstsze. Ale jeśli zauważysz, że między nią a Przewodnikiem rodzi się jakaś nić sympatii, zabij ją. Tylko ją, jeśli ci się uda. Jego odeskortuj do królewskiego więzienia. Jakąś Widzącą znajdę prędzej czy później. Z Przewodnikami jest trudniej.

– Rozumiem, Wasza Wysokość.

– Dobrze. To wszystko, Jorg. Możesz odejść.

Rozdział V

Most

Są takie dni, kiedy powietrze sprawia wrażenie, jakby skrzyło się od mrozu, a kształty zdają się ostrzejsze i bardziej przestrzenne. Do gardła i płuc wdzierają się drobinki zimna, niczym okruchy diamentu, słońce – jaśniejsze i bardziej odległe niż zazwyczaj – odbija się w ziemi miriadami błysków, jego blaskiem lśni każda płytką szronu, szron zaś pokrywa wszystko. Nawet para dobywająca się z ust zdaje się złotawą mgłą.

Takiego właśnie dnia, o świcie, Jorg, Hornak, Migna i Ren opuścili Zielony Kamieniołom. Nie mogli wybrać lepszego – choć oczywiście tak naprawdę nie wybierali. Przeprowadza przez góry, a potem przez prowincję Nauryi do Urty, wymagała solidnych przygotowań, które zakończyły się dopiero poprzedniego popołudnia.

Im bliżej byli wieży strażniczej przy wjeździe na Wielki Most, który stanowił jedyną drogę prowadzącą do i z Kamieniołomu, tym bardziej Ren był przekonany, że śni, i tym bardziej był wściekły. Lubił myśleć, że Diogorczykom nie udało się na niego wpłynąć – teraz jednak odkrywał, że przyjął wykreowaną przez nich beznadziejną codzienność do tego stopnia, że wyjazd wydawał mu się nierealny. Rozglądał się wokół nieprzytomnym wzrokiem i musiał wyglądać mocno podejrzanie, bo raz czy dwa napotkał uważne spojrzenie Jorga. Nie przejął się nim. Miał silne postanowienie, by nie przejmować się Jorgiem w ogóle. Żeby to jeszcze podkreślić, posłał mu uśmiech, tak uprzejmy, że aż obelżywy.

Istniały przecież powody do uśmiechania się – ostatecznie Diogoria szczyciła się tym, że więźniowie nigdy nie opuszczali Zielonego Kamieniołomu. A teraz, proszę! Wyjeżdżała dwójka, nawet jeśli jedno z nich kompletnie nie rozumiało swojej sytuacji. Małe i krzywe, ale było to przecież jakieś zwycięstwo.

Ren z przyjemnością wciągnął w płuca mroźne powietrze, powtarzając sobie tę myśl. Omiótł wzrokiem złociste o tej porze szczyty gór i przeniósł go na strażnicę i most.

Mówi się czasem o ukłuciu strachu, Przewodnik nie był jednak pewien czy coś go ukłuło. Wiedział, że szarpnęło i że świat zmienił się w mgnieniu

oka – jakby obrócił kalejdoskop. Elementy pozostały te same, ale szczyty w jakiś sposób z majestatycznych stały się groźne i nagle zaczęły bardziej przypominać zęby lub szpony wżerające się w niebo. Purpurowe chmury jawiły się niczym otwarte rany, a cień, który rzucała wieża, był czarny jak wyrwa w świetle. Wszystko się chwiało, most skrzypiał przeraźliwie – Ren słyszał to nawet z tej odległości. Mógł myśleć tylko o krwi i o bólu, o strzaskanych na dole kościach, o locie, który musiałyby trwać bardzo długo...

Potrząsnął głową, orientując się, że kurczowo trzyma łęk siodła. To nie on. To nie był on, to nie był jego strach, on bał się inaczej. A jeśli nie on...

– Nie wjadę tam – powiedziała Widząca zadziwiająco spokojnie. Ren zetknął się już kilkakrotnie z tego rodzaju spokojem i wiedział, że nie wróży on nic dobrego.

– Migna, co ci? – odezwał się Hornak, patrząc na dziewczynę z mieszaniną zdumienia i niesmaku.

– Nic mi, po prostu tam nie wjadę – odparła obojętnie. – Znajdźcie jakąś inną drogę.

– Nie ma innej drogi, królewno – powiedział ostrożnie Ren.

Hornak posłał mu wrogie spojrzenie.

– A tobie kto pozwolił się odzywać? – warknął, po czym przeniósł wzrok na Widzącą. – Nie ma innej drogi, Migna.

Dziewczyna wbiła pięty w boki konia i ściągnęła wodze, zmuszając wierzchowca do cofnięcia się o kilka kroków.

– No to chyba macie problem, nie? – na moment zacisnęła wargi. – W ogóle po co my mamy tam jechać? To nie jest dobry pomysł, przecież mogę mieć wizje wszędzie, możecie ślać wieści ludziom, których już tam macie, nie jesteśmy tam potrzebni.

Ren zastanowił się dlaczego właściwie Jorg nie bierze udziału w tej dyskusji, i dopiero wtedy zorientował się, że mężczyzny nie ma. Jego koń stał kilka kroków dalej, przy wejściu do strażnicy. Żołnierz musiał wejść do środka, żeby pokazać glejty upoważniające całą czwórkę do opuszczenia Kamieniołomu.

Hornak patrzył na dziewczynę, najwyraźniej nic nie rozumiejąc.

– Mamy jechać. Tak rozkazali – powiedział.

– No to głupio rozkazali! – zawołała dziewczyna.

Ren bezwiednie wciągnął powietrze, Hornak zaś zbladł. Zacisnął usta i pięści, wyraźnie bliski zeskoczenia z konia i wytłumaczenia dziewczynie,

jak się kończy podważanie rozkazów w Diogorii. Póki co ograniczył się do reprimendy:

– Nie wolno ci tak mówić!

Pewnie miał zakaz bicia Widzącej i to go powstrzymywało. Poza tym zdawał się darzyć ją sympatią.

– Powiedz jej – zażądał, patrząc na Rena. Ten westchnął.

– To nic nie da – mruknął.

– Powiedz jej, powiedziałem!

– Nie jest Diogorką, kretynie. Nie wystarczy rozkaz, żeby ją przekonać.

Prawdopodobnie rozsądne argumenty też by nie wystarczyły. Widząca, o ile Ren zdążył się zorientować, była dość odporna na rozsądek. Ale spróbować musiał, choćby dlatego, że Hornak ponad wszelką wątpliwość nie miał zakazu bicia Rena.

– Posłuchaj – spróbował więc. – Stąd nie zobaczysz Urty, nie tak dokładnie, jak potrzebujemy. Musisz być na miejscu.

– A ciebie co to obchodzi?! – zawołała z furją. – Co, nagle nam pomagasz? Zmieniłeś strony?

Trafiła, nie można powiedzieć, że nie.

– Nie, królewno – odparł spokojnie – po prostu marzę o tym, żeby się stąd wreszcie wydostać, a ty mi przeszkadzasz.

– Nie nazywaj mnie tak, śmieciu, mam imię!

– Co się dzieje?

Jorg przystanął przed wyjściem z wieży i wodził po swoim oddziale poirytowanym wzrokiem.

– Ona nie chce jechać, poruczniku.

Mężczyzna spojrzał na Widzącą.

– O co chodzi, Migna?

– To jest bez sensu – odparła natychmiast. – Nie musimy tam jechać, tracimy tylko czas, mogę mieć wizję tutaj i ja tam nie wjadę.

Jorg pokręcił głową.

– Wjedź na most, Migna. To rozkaz.

Kobieta znów cofnęła konia, a Ren poczuł, że wnętrzości skręcają jej się ze strachu. Poczuł również mdłości, chyba własne.

– Nie!

Jorg spojrzał na Rena.

– Co jej robisz?

Przewodnik zamrugnął, ogniskując spojrzenie na żołnierzu. Zaśmiał się krótko, bezsilnie, niemal histerycznie.

– Ja? Jej? – zapytał słabym głosem.

Jorg przez chwilę mierzył go spojrzeniem, po czym wzruszył ramionami.

– Zaradzisz temu czy trzeba ją będzie ogłuszyć i przewieźć? – zapytał rzeczowo.

– Ty chyba żartujesz! – zawołała Migna, Ren tymczasem popatrzył na Jorga z pełnym dezaprobaty niedowierzaniem. Ogłuszyć. Oczywiście, tego właśnie potrzebowała: urazów głowy.

Westchnął i zerknął na Widzącą, oglądając się przez ramię.

– Nie wiem, poruczniku – rzekł z przekąsem. – Byli tacy, co przeżywali mnie cudotwórcą, ale tak zupełnie między nami mówiąc, to nie sądzę, żeby dało się zaradzić tchórzostwu waszych żołnierzy, a o to mnie właśnie prosicie.

– Tyyyy... – dobyło się z dwóch gardeł, chrapliwe i wściekłe. Migna i Hornak łypali wrogo na Przewodnika. Hornak właściwie już zaczął schodzić z konia, ale Jorg powstrzymał go spojrzeniem.

Cóż, przynajmniej dowódca był inteligentny. Miało to swoje dobre strony.

Miało też oczywiście mnóstwo złych. Ale nie to w tym momencie obchodziło Rena. Spojrzał spokojnie na Mignę.

– Co „ja”, ślicznotko? Ja nie mam problemu z wjechaniem na most w przeciwieństwie do niektórych tu obecnych. Naprawdę, jak wyście dokonali tych wszystkich podbojów?

– Dość tego – stwierdziła, zeskakując z konia i od niechcienia rzucając wodze Hornakowi.

Ten nawet tego nie zauważył, z uwagą wpatrywał się bowiem w rozgrywającą się przed nim scenę. Ren ścisnął wierzchowca łydkami i pokłusował na most. Tam obrócił się do Widzącej, która zatrzymała się, patrząc na niego niepewnie.

Dobrze. Niepewność to nie obezwładniający lęk.

– Dość czego? – zapytał uprzejmie. – Bo jak na mój gust, to póki tu jestem – zerknął na bruk pod kopytami konia – mogę mówić, co chcę, ostatecznie i tak nic mi nie zrobisz, prawda? Właściwie, poruczniku, ona ma trochę racji. Jechanie do Urty z kimś tak nieudolnym, to faktycznie może nie być najlepszy pomysł. W mieście Królowej tchórze nie mają łatwego życia.

– Ja ci dam tchórza – wymamrotała Migna. – Ja ci dam tchórza! – powtórzyła głośniej.

Przewodnik spiął konia, obrócił go i pognął przed siebie, ponaglając wierzchowca krzykiem.

Nigdy nie był dobrym jeźdźcem, nie jeździł od dawna, a pobyt w więzieniu nie wpłynął dobrze na jego kondycję, więc początkowo prowadził desperacką walkę o utrzymanie się w siodle, odzyskanie prawidłowej pozycji i o to, żeby koń nadal galopował. Na szczęście dzięki złośliwości Hornaka dostała mu się Luna, narowista klaczka, która najwyraźniej lubiła szybkie tempo.

Wreszcie złapał rytm.

I natychmiast poczuł, że musi krzyczeć.

– Dalej!

Krzyk był dobry, łączył się z wiatrem, pędem, ruchem zwierzęcia pod siodłem, jego ruchem.

Przestrzeń mknęła wokół niego, wiatr smagał po twarzy. Świat, powietrze, góry i wolność – wszystko było zamknięte w galopie. W opuszczaniu więzienia, odległych szczytach, prostej, ciągnącej się jak okiem sięgnąć brukowanej drodze biegnącej setki sążni nad gruntem.

Śmiał się. Przestał używać słów, krzyczał tylko, zdzierając gardło, rozpierany dziką radością. Wokół były góry, wschodzące słońce, mróz, powietrze, wolność – na żywioły, wyjeżdżał stamtąd, wreszcie stamtąd wyjeżdżał!

Nie poczuł żalu, kiedy Luna zwolniła, przeszła do kłusu, a potem do stępa. Dysząc ciężko i wciąż się śmiejąc, poklepał wierzchowca po lśniącej, wilgotnej szyi, obrócił go bokiem i poczekał na Widzącą.

– I jak? – zapytał z szerokim uśmiechem. – Lepiej?

Kobieta ściągnęła wodze, zatrzymała się obok, spojrzała na niego niechętnie.

– Lepiej – przyznała. Przez chwilę milczeli oboje: Ren, bo nie czuł potrzeby, by mówić, Migna: bo zbierała się, żeby powiedzieć coś jeszcze.

– To było mądre.

– Nie biorą do nas idiotów, królowno – odparł. – Wbrew pozorom.

Widząca przewróciła oczami, zerknęła za siebie.

– Myślisz, że kiedy dojadą?

Ren spochmurniał nieco.

– Za szybko – mruknął pod nosem.

– Chyba dla ciebie – odparła Migna. I faktycznie: czas, który minął, nim Jorg i Hornak ich doścignęli, dłużyl się jej niemiłosiernie.

Przewodnikowi minął zdecydowanie zbyt szybko, choć wypełniony był jedynie milczeniem, ponurymi spojrzeniami Widzącej i próbami zapanowania nad Luną, która szybko znudziła się stanem w miejscu.

– Dobra robota, więźniu – pochwalił Jorg, podjeżdżając. I to było na tyle, jeśli chodziło o poczucie nieograniczonej wolności.

*

Wiało.

Wiało przez cały dzień, ale kiedy słońce zaszło – Jorg zdecydował, że będą jechali również nocą zamiast zatrzymać się pod wiatą na środku mostu – stało się to prawie nie do wytrzymania. Wiatr był zimny i głośny, dął, wył, grał na żelaznych belach, prętach i linach jak na strunach, cały most jęczał i Migna miała wrażenie, że zaraz zacznie się kołysać, choć przecież – zaprojektowany przez najlepszych diogorskich inżynierów – nie mógł. Jakby tego było mało, lodowaty podmuch wdzierał się pod płaszcze bez względu na to, jak ciasno się nimi owijali. Wszystko łopotało i hałasowało, nie dało się rozmawiać, a nawet kląć pod nosem, bo wiatr wpychał się w usta.

Było to męczące i denerwujące, więc Migna się wściekała. Wściekała się, i bardzo dobrze, bo gdyby nie to, zaczęłaby wrzeszczeć ze strachu.

Czuła to gdzieś w trzewiach, pod napiętymi ze złości mięśniami, pod zmęczeniem całodzienną jazdą, walką z napierającymi zewsząd podmuchami, ciągłym hałasem. Strach – nie wiedziała przed czym, ale to on zamykał jej oczy.

Kiedy udawało jej się rozewrzeć powieki, prócz wiatru uderzała ją także przestrzeń, czarne zarysy szczytów na tle granatowego nieba i pustka, wszechobecna pustka. To było wbrew naturze, było złe. Ziemia, chciała ziemi, potrzebowała jej – miękkiej, czarnej, wilgotnej, brudnej i płodnej. Nie jałowej skały. Nie zimnego żelaza. Nie odległego mnóstwa gwiazd.

Mimo to zmuszała się by unosić powieki. Wołała patrzeć, wbrew strachowi. Strach nie jest dobrym doradcą, a jeśli go posłuchasz, to robi się go więcej i więcej, a kiedy zamykała oczy...

Pełzały. Ukryte w żerdziach, wkomponowane w przepiękną pajęczynę Wielkiego Mostu, który góry przecież przyjęły jak swój i którego nie

zniszczył wiatr ani burze.

Czy to dziwne, że coś w nim żyło? Wszędzie coś żyło.

Czekały.

Dlaczego czekały? Na co?

Coś przecięło niebo. Obraz przeszył jej głowę, szybki i gwałtowny. Krew w powietrzu, dobrze ci tak, zdrajco.

– Nie, ty sobie chyba żartujesz. Teraz?

Przez to wycie wiatru ledwie usłyszała Przewodnika, lecz udało jej się pochwycić jego słowa. Dobrze. To wystarczyło. Mogła się na nim skupić, przytrzymać, żeby zostać w rzeczywistości. Uniosła gwałtownie głowę, odwróciła się i wbiła rozwścieczone spojrzenie w sylwetkę jadącego za nią mężczyzny.

– Co?!

Jej klacz przystanęła, ta Przewodnika również.

– Dobrze wiesz co.

W głosie Rena dosłyszała lęk.

– Zamknij się!

Mężczyzna podjechał do niej, blisko, tak żeby móc mówić, nie krzycząc.

– Posłuchaj, wiem, że to nie jest łatwe, ale musisz się skupić. To tylko przeczucie. Możesz je zwalczyć... Nie wolno ci wpadać w trans tak często. To dla ciebie bardzo... niezdrowe.

– W nic nie wpadam, śmieciu!

Za Renem, przez ażurową konstrukcję mostu, widziała niebo. Granatowe, tak naprawdę granatowe, nie czarne, czarne były góry, oni byli czarni i...

Takie mają oczy. Granatowe.

– ...skup się na mnie, dobrze? Proszę.

– Królewno? Migna!

– Ia! – krzyknęła, głośno i przenikliwie, głośniejsze niż wiatr, wyszarpując nogę ze strzemienia i z całej siły kopiąc klacz Przewodnika w zad. Zwierzę skoczyło przed siebie, a w mgnienie oka później tam, gdzie stało, tuż obok Migny, przeleciał z wściekłym skrzekiem strzęp ciemności.

Zeskoczyła z konia, lądując na ugiętych nogach, przygarbiona, czujna.

– Do broni! – zawołała, szarpnięciem zrywając kłamrę od płaszcza, zbyt obszernego, by walczyć w nim w tych warunkach. Wiatr porwał go w jednej chwili.

Nim zdążyła sama posłuchać swojego wezwania, choćby zacisnąć dłonie na rękojeściach, coś z upiornym wizgiem rzuciło się w jej stronę. Uniknęła ataku, robiąc oszczędny półobrót, i wyszarpnęła z pochew swoje piękne, wielkie noże o zakrzywionych ostrzach.

Wyszczrzyła zęby, przejechała językiem po wargach.

– No chodźcie!

Wiatr pochwycił jej słowa i je zwielokrotnił. A stwory, posłuszne mu – przyszyły. Gdy któryś zapikował z dzikim wizgiem, Widząca zaśmiała się tylko gardłowo, zadarła głowę i wbiła noże w podbrzusze istoty.

Wizg przeszedł w bulgotliwy skrzek, krew chlusnęła z rany prosto na twarz Migny, ciepła i ciepka. Dziewczyna odskoczyła, zawirowała wokół własnej osi.

Jorg i Hornak, poznawała ich sylwetki w ciemności, szarpali się z wczepionymi w zbroje cieniami. Rena nie widziała, ale zauważyła, że z góry...

Była szybka, szybsza, niż sądziła, że jest. Trzy błyskawiczne kroki, skok, ból. Namia rozszarpała jej nogę, ale to nic, bo Migna poczuła, że kruche, delikatne kości stwora kruszą się między jej stopami a podłożem. Krzyknęła z triumfu, nie z bólu.

A potem było tylko wycie wiatru.

Obróciła się znów, tym razem powoli, z bronią gotową do ciosu, ale nie widziała ich więcej. Odetchnęła głębiej, wciągając ten nieznośny wiatr w płuca.

„Zjem cię – przeszło jej przez myśl. Zachichotała. – Zjem cię, wietrze, więcej, ile chcesz”.

Zakwilił żałośnie w odpowiedzi.

Widząca zdziwiła się: ten odgłos był czymś nowym. Zdążyła chyba nauczyć się na pamięć całej gamy dźwięków, które dobiegały ją, odkąd opuścili Kamieniołom, i nie było pośród nich kwilenia.

Tymczasem wiatr, za nic mając jej pamięć, zakwilił ponownie.

– Ćśśś – mruknęła, jakby mogło to cokolwiek pomóc, i rozejrzała się uważnie. Może nie powinna chować broni.

A może powinna.

Zamarła na chwilę, po czym jednak schowała. Powoli podeszła do najbliższego truchła – tego, któremu rozpruła brzuch – i przyklękła przy nim.

To nie wiatr kwilił.

Stworzonko nie było duże – mniej więcej jak noworodek, którym chyba zresztą było. Kurczowo wczepiło się w stygnące ciało matki.

– Heeej – powiedziała Migna, tak cicho, że małe nie miało szans jej usłyszeć. Ostrożnie wyciągnęła rękę. Pod palcami poczuła mnóstwo drobnutkich kości i chłodną skórę, gdzieniegdzie opiętą tak, że miało się wrażenie, że zaraz pęknie, zaraz obok zaś luźną, jakby workowatą. – Już dobrze.

Kłapnęło szczęką. Widząca nie miała szans dostrzec zębów, ale z jakichś przyczyn była pewna, że gdyby nie zachowała należytej ostrożności, pożegnałaby się z kilkoma palcami. Uśmiechnęła się.

– Chodź.

Wiedziała, jak się obchodzić ze zwierzętami, jak chwycić, żeby nie mogło jej dosięgnąć zębami ani pazurami, jak dotykać, żeby się uspokoiło.

I dopiero kiedy się uspokoiło, przypomniała sobie o towarzyszach. Którzy, jak się okazało, stali całkiem niedaleko, przynajmniej dwaj z nich. Migna miała wrażenie, że tylko z powodu wiatru darowali sobie komentarze. Wrażenie to nasiliło się, kiedy wreszcie zjechali z mostu.

Stało się to zresztą kilka godzin później, niż szacowali. Sporo im zeszło na doścignięcie koni – i Rena, który, jak się okazało, nie spadł z Luny. Potem przeklinał złośliwość, która sprawiła, że nie sprowadził wierzchowców z powrotem do towarzyszy – rana na nodze Widzącej nie zareagowała dobrze na ponadgodzinny marsz, a zakładanie opatrunków na moście, przy silnym wietrze, było bardzo problematyczne i jego efekt pozostawiał wiele do życzenia. Na szczęście kilka godzin jazdy od strażnicy na końcu mostu znajdowała się niewielka osada. W osadzie zaś – karczma, której właściciel z radością udzielił ubabranym krwią, przemarzniętym, zmęczonym diogorskim wojakom i ich więźniowi nieodpłatnej gościny.

Ren patrzył na niego z zajadłą pogardą, w odpowiedzi otrzymując spojrzenie niemal bliźniaczo podobne, poza tym jednak obyło się bez incydentów. Znalazła się dla nich osobna izba, łóżka, sienniki, wiecheć słomy dla więźnia i ciepła woda. Znalazł się nawet znachor, który użyczył Diogorczykom ziół i narzędzi, by Przewodnik przygotował maść na rany i miksturę rozgrzewającą. Ren nie mógł sobie darować jednej czy dwóch kąśliwych uwag na temat tego, jak ubogie są zapasy i warsztat uzdrowiciela, ale Jorg szybko kazał mu zamilknąć. Nie miał ochoty obserwować kolejnej potyczki w wiecznej wojence między Przewodnikami

a wszelkiej maści uzdrowicielami – wojence z góry przegranej przez tych drugih, najczęściej rekrutujących się z podopiecznych Zakonu, którzy nie ukończyli szkolenia.

Nadeszła więc w końcu chwila, w której – posileni, rozgrzani i czyści – usiedli w izbie, przyglądając się leniwie mieszającemu zioła więźniowi.

– Migna, co ci do łba strzeliło? – spytał Hornak. Pytanie to musiało go nurtować już od dłuższego czasu.

Migna – która właśnie półyżała na łóżku, pochłonięta podawaniem kawałków surowego mięsa swojemu nowemu zwierzątku – uniosła głowę i spojrzała na mężczyznę z ospałym zdziwieniem.

– Co?

– To – odparł Hornak, wskazując brodą stworzenie. – Co to w ogóle jest?

Migna w odpowiedzi prychnęła i przewróciła oczami. A potem, widząc, że Hornak czeka na jakiś obszerniejszy komentarz, zająknęła się.

– No...

– Młoda namia – mruknął Ren znad moździerza, w którym ucierał jakąś podejrzaną pachnącą mieszankę. – Trzymiesięczna, na oko, ale nie jestem specjalistą.

– A tobie kto pozwolił się odzywać? – zapytała Widząca agresywnie, po czym przeniosła wzrok na Diogorczyka. – Młoda namia – wyjaśniła. – Ma ze trzy miesiące.

Mężczyzna nie wydawał się usatysfakcjonowany.

– Namia?

– Nooo... To takie jak te, co się na nas rzuciły. Widzisz przecież.

– One były większe.

– Przecież mówię, że jest młoda.

– Widziałem namie – odezwał się Jorg, patrząc na Przewodnika. – Nie miały skrzydeł.

Ren uśmiechnął się półgębkiem.

– A gdzie je wi... – zawahał się, po czym dodał: – widzieliście, panie?

– W Schan, nad Talionem. W Talionie właściwie.

Przewodnik skinął głową.

– Właśnie. Więc nad wodą. One są bardzo... podatne na wpływ żywiołów. Albo po prostu otoczenia. Tak czy inaczej na Moście na jedno wychodzi, tam poza powietrzem nic nie ma. To znaczy jest konstrukcja, stworzona do tego, żeby budować w niej kokony.

Jorg w zadumie potarł podbródek.

– Dziwne, że o nich nie wiedzieliśmy.

– Bo nie jeździecie nocą – odparł sucho Ren. – Bardzo rozsądnie zresztą. Jorg nie zareagował na przytyk.

– Ale przecież jest dzień, a ona – Migna wskazała na namię, która wyciągnęła łepkę po kawałek mięsa i kłapnęła zębami, po raz kolejny niemal pozbawiając Widzącą palców – nie śpi ani nie zawinęła się w kokon.

– Bo jest młoda – odparł Przewodnik, jakby tłumaczył coś niezwykle oczywistego. – Nie zdążyła się przyzwyczaić do określonego trybu życia, powinna być właściwie nadal przyczepiona do matki, ale z tym sobie, jak rozumiem, poradziłaś.

– No dobrze – odezwał się Hornak. – Ale... Po co ci to?

– Jak to „po co”?

– No... Przecież jej nie zjemy. Nie je się rzeczy, które jedzą mięso, a nawet gdyby, to to przecież sama skóra i kości.

Widząca aż usiadła.

– Oczywiście, że jej nie zjemy!

– No to... Po co?

Dziewczyzna znów prychnęła.

– Żeby ze mną była. Co, mam ją zostawić? Przecież sobie nie poradzi.

– Chcesz to zatrzymać żeby z nami jeździło? – W głosie Hornaka dało się słyszeć niedowierzanie. – Jak... Pies?

– Bardziej jak sokół – powiedział Przewodnik, nadal zawzięcie coś ucierając. – Przynajmniej póki nie urośnie. Ale to potrwa.

– Nikt cię nie pytał, znowu – stwierdziła Migna. – I to – zwróciła się do Hornaka – ma imię.

– Jak to imię, one mają imiona? Przecież nie mówią.

– Dałam jej imię, głupku.

– Ach. Aha. Jakie?

Wzruszyła ramionami i uniosła wzrok do nieba, kręcąc lekko głową, ale nie zdołała powstrzymać uśmiechu. Bardzo ładnego, bardzo ciepłego, bardzo do niej niepasującego.

– Tara. Kurwa, a temu co?

Przewodnik, który wzdrygnąwszy się gwałtownie, wypuścił moździerz z rąk, z pewnym trudem zogniskował spojrzenie na dziewczynie. Nie odpowiedział od razu, przez kilka uderzeń serca po prostu wpatrywał się w nią pustym wzrokiem.

– Nic, królewno – wykrztusił w końcu, podnosząc naczynie. – Trzęsie mną przeprawie przez Wielki Most. Może dlatego, że więźniowie nie dostają grzanego wina.

Nie brzmiało to bardzo przekonująco – może oszukał Mignę, ale Jorga prawie na pewno nie – ale i tak był z siebie dumny. Był dumny, bo była to bardzo złożona wypowiedź, a formułowanie wypowiedzi wcale nie było w tamtej chwili łatwe. Nie kiedy w jego głowie, w całej więzi, rozlegało się pełne wściekłości wycie.

Migna wzruszyła ramionami i skierowała uwagę na namię, której rzuciła ostatni kawałek mięsa. Zwierzątko zagulgotało radośnie, przełykając.

Rozdział VI

Bunt

Droga z Zielonego Kamieniołomu do Urty zabierała zazwyczaj około trzech miesięcy, jeśli podróżni – tak jak w wypadku oddziału Jorga – jechali konno i mieli stosunkowo niewielki bagaż. Trzy tygodnie po zjechaniu z Wielkiego Mostu porucznik postanowił sprawdzić, czy nie zbliżyli się do Urty na tyle, by wizje Migny zrobiły się bardziej konkretne. Ren twierdził, że nie, że miejsce to miejsce, zwłaszcza Urta, i dopóki tam nie dotrą, nie ma sensu próbować, ale Jorg nie widział w tym wypadku powodu, by mu wierzyć, rozkazał więc prowadzić Schaniankę w trans. Przewodnik miał to zrobić w czasie postoju.

Wydawałoby się, że nie jest to nic szczególnie skomplikowanego. A jednak powietrze nad niewielką polanką, na której się zatrzymali, miast światłem z transu wypełnione było krzykami.

– Na wszystkie żywioły, królewno, przestaniesz wreszcie?!

– Co niby mam przestać?!

Ren westchnął, z bolesnym grymasem pocierając czoło.

– Opierać się.

Widząca skrzyżowała ręce na piersi.

– Przecież się nie opieram. Nie zwalaj na mnie, że nie umiesz zrobić swojej roboty.

– To jest nasza robota, królewno.

– Ale ty ją partolisz!

Siedzący obok Jorga Hornak zarechotał i zerknął na dowódcę.

– Dobrze mu powiedziała.

Jorg pokręcił głową, w geście, który wyrażał tak dezaprobatę, jak i pobbłaszanie.

– Jak dzieci – mruknął, na tyle głośno, by Widząca i Przewodnik go usłyszeli. Łypnęli na niego równocześnie i prawie się wzdrygnął. Mimikę mieli niemal identyczną.

– To nie jest śmieszne! – zawołała Migna. – Ten truteń coś psuje, po co my go w ogóle ze sobą ciągnemy?

– Też się zastanawiam, królewno – mruknął Przewodnik. – W Kamieniołomie, czego by o nim nie mówić, nie musiałem się użerać z rozwydrzonymi pannicami, które nie potrafią nad sobą zapanować.

– Ja nie potrafię?! – Migna aż się poderwała. – Tak się składa, że JA jestem bardzo opanowana!

– Tak. Bardzo. Jestem pod wrażeniem – wycodził Ren. Nie drgnął, nawet gdy dziewczyna uniosła dłoń do ciosu: wciąż patrzył jej prosto w oczy.

Był to jakiś sposób – zamarła w pół ruchu, po czym usiadła z impetem.

– Do roboty.

Ren westchnął.

– Postaraj się rozluźnić – powiedział bez przekonania, po raz piąty rozwijając rzemień, na końcu którego zawieszona była moneta. – Dobrze?

– Jestem rozluźniona – mruknęła.

– Świetnie. W takim razie spójrz na monetę.

Spojrzała. Nawet z kłody, na której siedział, Jorg widział, że sprawia wrażenie, jakby chciała przebić ją wzrokiem.

– Doskonale – powiedział Ren łagodnie, chociaż jeśli przedsięwzięcie faktycznie miało się opierać na odprężeniu Widzącej, skazane było na porażkę. – Skup się na niej. Tylko na niej. Zaraz zacznę nią poruszać, patrz tylko na nią. Teraz.

Zaimprovizowane wahadełko wychyliło się lekko w lewo, potem w prawo.

– Postaraj się nie myśleć o niczym innym. Spójrz na światło, widzisz, jak się w niej odbija?

Kobieta nieprzytomnie skinęła głową, nie odrywając na szczęście wzroku od monety.

– Świetnie. Dzielna dziewczynka – szepnął Przewodnik. – Patrz na nią – mruknął, też już nie do końca przytomnie, i wyciągnął wolną dłoń, jakby chciał dotknąć twarzy Widzącej.

Nie dotknął. Wzdrygnął się gwałtownie, z bolesnym jękiem, głowa odskoczyła mu do tyłu. Błyskawicznie zgiął się wpół, obejmując ją rękami.

Dziewczyna zerwała się na równe nogi, patrząc na niego z furją.

– Robisz to specjalnie!

Mężczyzna nie zareagował, toteż Jorg uznał za stosowne się wtrącić.

– Nie wydaje mi się.

Odwróciła się w jego stronę.

– Żartujesz? Musi tak być, pomyśl przez chwilę. Ja się nie bronię, ja chcę wiedzieć, co z tym powstaniem, naprawdę, niech się tylko dowiem, kto i co, kurwa, będą wyglądali jak namie, kiedy z nimi skończyłam, to musi być on!

Ren odetchnął głęboko, nierówno, wyprostował się z trudem.

– To nie ja, królewno. To tobie nie podoba się pomysł, że będę ci grzebał w głowie.

– Oczywiście, że mi się nie podoba!

– No właśnie – odparł z westchnieniem mężczyzna. – Spróbujemy znowu wieczorem, dobrze? – uśmiechnął się krzywo. – Albo za tydzień. Miesiąc.

Dźwignął się ciężko z kłody.

– Pójdę po drewno.

– Nigdzie nie pójdziesz!

Ren pokręcił głową.

– Posłuchaj, to się nie może teraz udać. Jesteś zbyt zdenerwowana, a ja... W każdym razie to nie ma sensu.

– Co ty?! Co ty, bo ja nie jestem...

– Dobrze, nie jesteś zdenerwowana – przerwał jej ostro – ale nawet jeśli damy radę to teraz zrobić, to będę potem przez dwa dni leżał nieprzytomny i się ślinił, a to opóźni podróż. Chcecie chyba dotrzeć do Urty jak najszybciej, tak? To może przestaniesz wrzeszczeć i pozwolisz mi pójść po to pieprzone drewno, zanim po raz kolejny spróbuję, mimo twoich oporów, zdradzić swój kraj, swoje miasto, swój Zakon i wszystkich, których kiedykolwiek znałem i kochałem, wprowadzając cię w trans? – Wyglądał teraz na nie mniej wściekłego niż Widząca, i chyba to sprawiło, że zamilkła. Przez moment stał jeszcze, patrząc na nią spode łba, łypnął też na Jorga i Hornaka, jakby czekał na jakiś znak protestu. Nie doczekał się, więc ruszył do lasu.

– Dziękuję – wycedził jeszcze na odchodnym. Jorg chyba nigdy nie słyszał „dziękuję”, które do tego stopnia ociekałoby jadem.

Migna tymczasem nieznacznie się uspokoiła – na tyle, by nie wrzeszczeć, nie rzucać się i nie próbować zatrzymać Przewodnika. Po prostu stała, przyglądając się szczupłej sylwetce niknącej między drzewami.

– Poruczniku, chyba powinnam go pilnować przy tym zbieraniu – odezwała się po dłuższej chwili. – Bo może uciec.

– Przecież on zawsze...

– Macie rację, szeregowca – Jorg przerwał Hornakowi spokojnie, tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Bez względu na to, jak bardzo nie na rękę byłyby im ewentualne dobre stosunki między Widzącą a Przewodnikiem, ten konflikt sprawiał, że dziewczyna była całkowicie bezużyteczna. Jeśli chciała to jakoś rozwiązać – a wyglądała, jakby chciała – nie miał zamiaru jej przeszkadzać.

– To ja za nim pójde – powiedziała dziewczyna i faktycznie ruszyła tam, gdzie wcześniej udał się Przewodnik, podobnie jak on nie zwracając uwagi na leżący na skraju polany stos zebranego kilka godzin wcześniej suchego drewna.

*

Migna potrafiła poruszać się po lesie, robiła to niemal instynktownie, podobnie jak wiele innych rzeczy. W obliczu braku pamięci pozostawało jej właściwie tylko to – instynkt.

Nie podpowiadał jej on wprowadzić nic, jeśli chodziło o tropienie, ale mimo to trafiła na Przewodnika dość szybko. Opierał się przedramieniem o sosnę, a czołem o to przedramię. Miał zamknięte oczy, pięści mocno zaciśnięte i drżał na całym ciele.

Sama nie wiedziała, czemu nie ujawniła od razu swojej obecności, tylko jak głupia stała za brzozą. Nie spuszczała z niego wzroku. W pewnej chwili mężczyzna odwrócił się i osunął po pniu na ziemię, patrząc tępo przed siebie. Wzdrygnęła się i z jakichś przyczyn nadal nie ruszyła się z miejsca. Ren tymczasem, spędziwszy chwilę w bezruchu, dźwignął się ciężko i począł uważnie rozglądać się wokół, szczególną uwagę zwracając na ściółkę. Po krótkiej chwili schylił się, zerwał jakąś roślinkę i zaczął żuć, krzywiąc się przy tym niemiłosiernie.

Wtedy wreszcie doszła do wniosku, że najwyższy czas się ujawnić. A że na czasie akurat się знаła, odszukała wzrokiem jakąś suchą gałązkę i nadepnęła na nią tak, żeby trzask był odpowiednio głośny.

Przewodnik zakrztusił się, odwrócił gwałtownie w jej stronę i przez mgnienie oka wyglądał na naprawdę przestraszonego. Wreszcie, kiedy już wyrównał oddech, skrzywił się z rezygnacją.

– Królewno, proszę. Tak, cała wina leży po mojej stronie, niech będzie, jak chcesz, ale ja naprawdę potrzebuję przerwy. To dla waszego dobra. I dla mojego zresztą też.

Migna pokręciła powoli głową.

– Nie rozumiem – powiedziała.

Ren uśmiechnął się półgębkiem i bez wesołości.

– Boli mnie głowa, kochanie – mruknął. – To bardzo proste.

– Nie. Nie rozumiem, czemu to robisz. To... – zawahała się, zatoczyła okrąg ręką – ...wszystko. Przecież jesteś buntownikiem bez honoru. Nienawidzisz Diogorii.

Ren zaśmiał się sucho.

– Robię, bo mnie zmuszacie, królewno.

Migna prychnęła z frustracją.

– Ale czym? Tobie jest wszystko jedno, co się z tobą dzieje! Wcale cię nie obchodzi, że ci wleję, jak powiesz coś złego o królu, ale nam pomagasz, a to jest zdrada, przecież o tym wiesz, sam to powiedziałeś! Nie przeszkadza ci to, czy... czy...

– Raczej „czy”.

– „Czy”, czyli co?! – zawołała zniecierpliwiona.

Przewodnik nie odpowiedział od razu. Starając się zyskać na czasie, podniósł nawet jedną suchą gałąź i przyjrzał się jej krytycznie, jakby oceniał, czy zasługuje na zaszczyt znalezienia się w ognisku. Wreszcie opuścił rękę i wzruszył ramionami.

– Są ważniejsze rzeczy.

– Ważniejsze niż co? Niż to, że was najechaliśmy? Niż twoi przyjaciele? Miasto, rodzina, Zakon?

– No, Zakon i ja to się akurat nie darzymy szczególną miłością – mruknął pod nosem. – Ale niestety tak, są.

– Takie, że uważasz, że nie robisz nic złego?!

Ren prychnął.

– A od kiedy pomaganie Diogorii jest złe?

– Nie jest! To znaczy...

– Płaczesz się, skarbie.

– Wcale nie!

Mężczyzna tylko na nią popatrzył – wcale nie podobało jej się to spojrzenie – a potem schylił się po kolejny patyk. Zaciśnęła usta, czując buzującą w trzewiach złość.

– A nawet jeśli, to przez ciebie!

Przewodnik westchnął, prostując się.

– Słucham?

– Przez ciebie – powtórzyła. – Przez ciebie mam tak nasrane w głowie. Te „ważniejsze sprawy”: to one sprawiły, że nie chciałeś mnie wyciągnąć z transu i czekałeś, aż rozerwie mi mózg na kawałki? Tak? Przecież wiedziałeś, co się ze mną dzieje!

Ren odwrócił się do niej gwałtownie.

– Słuchaj no, królowno – warknął. – Wszystko mi jedno, co ci naopowiadali, ale zapamiętaj sobie: nie ja pozwoliłem, byś tkwiła w tym stanie. Żaden Przewodnik nigdy nie zrobiłby czegoś takiego. Na żywioły, przecież sama powinnaś wiedzieć chociaż tyle!

Migna zamarła.

– Co? – w ogóle nie zabrzmiało to jak pytanie.

– To nie ja.

Twarz dziewczyny stężała.

– Rozumiem... – wyszeptła w końcu Widząca.

Ren przełknął ślinę.

– To oni. Tak? – Przeniosła spojrzenie na Przewodnika. Znów błyszczał w nim gniew. – Oni kłamali. Od początku, odkąd się obudziłam. Powiedzieli, że to twoja wina, żebym była dobrym narzędziem, tak? Bo potrzebowali Widzącej?

Mężczyzna zamarł. Serce waliło mu jak młotem, i bał się, bał się straszliwie, ale jeszcze więcej niż strachu było w nim nadziei i radości. Od tak dawna nie pozwalał sobie na luksus ich odczuwania.

Dobrze zresztą robił, bo luksusy są niebezpieczne. Sprawiają, że człowiek robi się leniwy, nie dostrzega pewnych rzeczy – jak zaciśnięte pięści – a inne, jak zimną furię w głosie, bierze za dobrą monetę. W efekcie cios spada na niego jak grom z jasnego nieba.

– Ty kłamliwy śmieciu! Ty nic niewarta, podstępna glisto! – wrzasnęła Widząca, biorąc zamach, by kopnąć go w żebra. – Zmuszamy cię, robisz, co ci każemy, prawie ci uwierzyłam! Kurwa, zasługujesz na to wszystko! – Kolejny kopniak. Pochyliła się gwałtownie, chwyciła go za koszulę, szarpnęła w górę i przytrzymała tak, żeby patrzeć mu w oczy. – Dowiem się – syknęła. – Dowiem się, jakie są te twoje ważniejsze rzeczy, dowiem się, co to jest. I zniszczę to, możesz być pewny, zniszczę. Bo nie było na tyle ważne, żebyś zapomniał o swoich cholernych podstępach!

Odepchnęła tak, że znowu wylądował na ziemi, odwróciła się i pobiegła w stronę obozowiska – chyba, Ren nie był pewien, był zbyt zajęty próbami opanowania się, żeby rejestrować takie szczegóły.

W końcu jednak nie wytrzymał, przewrócił się na plecy i wybuchnął nieopanowanym, potępieńczym, przechodzącym w wycie śmiechem. Śmiał się tak długo i tak donośnie, że nawet nie zauważył, kiedy zaczął szlochać.

*

Jorg przeklinał w myślach własną głupotę. Powinien był wiedzieć, że zostawianie Widzącej rozwiązania jakiegokolwiek konfliktu nie może skończyć się dobrze. Oczywiście, zostawił je również Przewodnikowi, na którym – przyznawał to niechętnie – można było polegać bardziej, ale gdyby pomyślał choć przez chwilę, wiedziałby przecież, że Ren, aby poradzić sobie z Widzącą, musiałby najpierw przestać ją irytować. To zaś graniczyło z niemożliwością.

Najpierw wróciła ona. Jorg chyba jeszcze nigdy nie widział jej tak wścieklej. Przeszła przez obóz, nie patrząc na nikogo, zagruchała tylko, przywołując Tarę, wyciągnęła rękę, a gdy namia na niej usiadła, oznajmiła burkliwie, że idzie polować. I poszła.

Później – dużo później – wrócił Przewodnik. Z pękniętą wargą, podbitym okiem i zapuchnięty. Również się nie odezwał. Zerknął na stertę drewna na skraju polany – nowego oczywiście nie przyniósł – i zabrał się do układania gałęzi w miejscu, gdzie niedługo miało zapłonąć ognisko.

Jorg przez jakiś czas czekał cierpliwie, wreszcie jednak uznał, że rozmowę musi zacząć sam.

– Przewodniku.

Ren odetchnął z irytacją.

– Poruczniku.

– Kiedy mogę się spodziewać transu?

Południowiec zacisnął usta, pochylając się nad budowaną właśnie piramidką z gałęzi.

– Nie mam bladego pojęcia.

– Ren.

Przewodnik wyprostował się i odwrócił do dowódcy.

– Nie wiem – powiedział cicho, prawie bezradnie. – Naprawdę nie wiem, zro... – urwał na moment, rozejrzał się uważnie – ...zrobiliście jej taką sieczkę z mózgu, że teraz nie jestem w stanie niczego zagwarantować. Czego się spodziewałeś? Nienawidzi mnie, więc jak to ma zadziałać twoim zdaniem? Wpuściłbyś do głowy kogoś, kto zniszczył ci życie, kto prawie

cię zabił? Ona wierzy, że właśnie to zrobiłem. Bo miałeś fantazję wymierzyć mi karę. Gratulacje, wymierzyłeś. Ciesz się efektami.

Jorg skinął głową.

– Chcesz powiedzieć, że jest dla nas nieprzydatna, tak?

Przewodnik milczał i patrzył na Jorga. Lahetan widywał już takie spojrzenia, puste i zrezygnowane. Nauczył się uważać na ludzi, którzy tak patrzyli, bo pod tymi spojrzeniami tliła się najbardziej mordercza, najbardziej cierpliwa nienawiść.

– Chcę powiedzieć, że spróbuję czegoś, jak zaśnie – odparł w końcu Południowiec, wracając do układania ogniska.

– Doskonale.

Ren nie zaszczycił go odpowiedzią. Do wieczora w ogóle niewiele się odzywał – ot, poprosił Widzącą, by wypila uwarzone przez niego zioła. Jorg musiał poprzeć tę prośbę rozkazem, musiał też powstrzymać dziewczynę przed pobiciem więźnia. Zazwyczaj nie reagował w takich wypadkach, ale tym razem z oczywistych względów wołał, by Ren był wieczorem w dobrym stanie.

Później Migna wyraźnie się rozpogodziła. Nakarmiwszy Tarę królikiem, udała się na spoczynek. Gdy wreszcie zasnęła, Przewodnik spojrzał na Diogorczyków tym swoim beznamiętnym, zrezygnowanym wzrokiem i przystąpił do objaśnień.

– To jest trochę jak dziki trans, więc pójdę za nią do namiotu. Będziemy świecić, jak się może domyślacie, i póki światło nie zniknie, nie próbujcie się zbliżać. Jeśli wyda wam się, że coś jest nie tak, uciekajcie. Jeśli wyda wam się, że to już koniec, odczekajcie jeszcze godzinę. Nie idźcie spać. Możliwe, że po transie nie odzyskam przytomności, i jeśli tak się stanie, wyciągnijcie mnie, proszę, z jej namiotu. Nie chciałbym, żeby mnie tam znalazła, wy prawdopodobnie też nie: poważnie okaleczony będę mniej skuteczny, i opóźnię podróż. Jakies pytania?

– Kto cię zrobił szefem? – warknął Hornak, łypiąc na niego spode łba.

– Rozumiem, że nie – stwierdził cierpko Ren. – W takim razie...

– Zadałem pytanie!

Ren westchnął i popatrzył na Jorga zmęczonym wzrokiem. Porucznik zwrócił się do towarzysza.

– Nie jest szefem, jest więźniem. Ale wie, co robi.

– A jak kłamie?

– Nie kłamie. Robimy, co powiedział. To rozkaz, Hornaku.

Olbrzym naburmuszył się wyraźnie.

– Tak jest – burknął.

– Doskonale – stwierdził Przewodnik, po czym wstał, krzywiąc się boleśnie. Zerknął jeszcze na żołnierzy, jakby miał ochotę coś dodać, ale ostatecznie po prostu poszedł do namiotu Widzącej i zniknął w jego wnętrzu.

Jorg i Hornak uciekli kilka minut później.

Rozdział VII

Sen

Była noc, a Vera biegła na oślep w strugach rzęsimego deszczu, uciekając przed ogarami Diogora. Ciemność wokół niej składała się z bólu, dotyku i dźwięku, świat drżał od głuchego, gardłowego warkotu. Gdzieś za nią potężne łapy uderzały o błoto, mlaszcząc głucho, ludzie, jej towarzysze – mogła się tylko domyślać którzy – upadali, wrzeszczeli, kiedy psy rozszarpały ich ciała. Vera potykała się o korzenie, powietrze rozrywało jej płuca, po twarzy ściekała woda.

Biegła.

Nie miało to żadnego sensu, ogary Diogora nigdy nie gubiły tropu, ale nie mogła przecież się poddać.

Nie mogła też z nimi walczyć, nie w tym stanie.

Potknęła się raz, drugi, za trzecim nie utrzymała równowagi i runęła w błoto. Przez chwilę posuwała się na czworakach, nagle poczuła na skórze czyjś gorący oddech. Wrzasnęła, zrywając się na nogi, i popędziła przed siebie.

Wpadła w ciszę – srebrzystą ostrą jasność, w której wyraźnie widziała, że dwa kroki przed nią grunt nagle się urywa. Przepaść była głęboka i czarna, jakby to rzeczywistość pękła w tym miejscu, nie ziemia.

Za nią był ogar. Mógł ją dopaść, wiedziała o tym, ale zamiast tego czekał, co zrobi. Wiedziała, że jeśli się obróci, bestia rozerwie jej gardło.

Przełknęła więc ślinę, krzyknęła i skoczyła przed siebie.

A potem coś ją szarpnęło.

– Mam cię!

Vera zatrzymała się w powietrzu, wszystko się zatrzymało. Pod nią była ta przeklęta, ciemna czeluść, ale ona w nią nie spadała i nie była w stanie zrozumieć dlaczego. Patrzyła więc w dół kompletnie zbита z tropu i prawie nie zauważyła, że coś ciągnie ją w tył, na skraj przepaści, do ogara. Próbowала się wyrwać, ale uścisk był mocny. Było w nim też coś, co sprawiało, że kiedy się szarpnęła, zrobiła to jakoś bez przekonania.

Znała tego człowieka, znała tę obecność, to była dobra obecność.

Obróciła się radośnie.

Nie zobaczyła jednak ciemnego, spokojnego oblicza Sorego – ten, który ją trzymał, był biały, miał jasne, za długie włosy opadające na szczupłą, trójkątną twarz. Lekko skośne oczy nie były czarne i nieprzeniknione, miały ciężki do określenia kolor pomiędzy zielenią i brązem – wiedziała to, choć w tym świetle nie mogła tego zobaczyć. Był chuderlawy, nie był wojownikiem.

Chociaż wyglądał – zmęczony i posiniaczony – jak po walce.

– K... kim...

Cmoknął, zniecierpliwiony.

– Och, świetnie. Wiedziałem, że tak będzie – powiedział i urwał, chyba po to by dać sobie chwilę na oddech. Naprawdę wyglądał na wyczerpanego i Verze przyszło do głowy, że rzadko zdarza mu się wyglądać inaczej.

– Jak bę... – zaczęła, a potem przypomniała sobie skąd zna tę twarz i wciągnęła gwałtownie powietrze. – Ren.

Ren. Kamieniołom. Urt. Powstanie się skończyło, ogarów nigdy nie było, Sore nie żyje, jestem Widzącą, a oni...

– Co ty tu robisz? – zapytała szorstko. – Skąd w ogóle się wzięłeś?

Westchnął.

– Wszedłem przez sen. Musimy cię wprowadzić w trans, a na jawie... Na jawie się nie dajesz.

– Przecież to jest strasznie trudne.

– Tak – odparł sucho. – A teraz czy mogłabyś przestać gadać i zabrać to, zanim stracę kontrolę? Proszę?

Kiwnęła głową i spojrzała ponad jego ramieniem na gęsty, zatrzymany w pół ruchu schauński las, na jarzące się w ciemności ślepie ogarów.

Od lat śniła ten koszmar, odkąd pierwszy raz usłyszała o ogarach. Potem je zobaczyła – z daleka i w klatkach, miotające się wściekle, powarkujące potwory stworzone z mięśni, blizn i krótkiej, czarnej sierści. Niczego nie bała się tak jak tego, że kiedyś je na nich napuszczą.

Nie napuścili, nie musieli, poradzili sobie z nimi normalnymi środkami, to znaczy w takim stopniu, w jakim sposoby stosowane przez diogorską armię można było uznać za normalne.

Prychnęła z pogardą.

– Idiotka – mruknęła gorzko. Machnęła ręką, bo wiedziała już, że ciemna gęstwina, błoto i szkarłatne oczy to nic więcej jak sadza, węglowy pył, który przykrywa prawdziwą przestrzeń. Uśmiechnęła się lekko, widząc

zdzumienie Rena, gdy obserwował, jak ciemność podrywa się w powietrze, skłębia w chmurę i rozwiewa, odkrywając żółtą, smaganą wiatrem pustynię.

Vera nie miała pojęcia, dlaczego to tak wygląda. Nigdy nie była na pustyni.

– Ładnie – powiedział Przewodnik z uznaniem.

– Dziękuję – odparła i zmierzyła go wzrokiem. – Wyglądasz koszmarnie.

– Od dziecka, królewno – odparł z roztargnieniem i przeczesał palcami wilgotne od potu włosy. – Posłuchaj, nie mamy wiele czasu, a naprawdę musimy dzisiaj coś zobaczyć i wysłać na górę. Cokolwiek.

Zmrużyła oczy.

– Oni tego chcą, tak?

– No przecież nie ja – odparł cierpko. – No już, maleńka, nie mamy całej nocy.

Vera zacisnęła pięści.

– Nie będę im pomagać!

Ren zamarł i wpatrywał się w nią w osłupieniu.

„On nie wie” – przemknęło jej przez głowę.

Co za idiota, przecież byli tu wcześniej – przez kilka sekund, ale byli.

– Ty... – zaczął ostrożnie.

– Tak, ja. Ja – powtórzyła głośniejszym głosem i przygryzła wargi. Nie sądziła, że to słowo może tak boleć.

– Pamiętasz.

Odkrywca się znalazł. Przewodnicy nie mieli przypadkiem być mądrzy?

– Nie będę im pomagać.

– Zabiją cię, jeśli nie będziesz. – Ton jego głosu sugerował, że to przesądza sprawę. Cóż, według Very nic nie przesądzało.

– Świetnie – powiedziała cierpko. – Niech mnie zabiją.

Ren przewrócił oczami.

– Tak, świetnie. To było dramatyczne. A teraz zbieraj się i lecimy.

Zacisnęła pięści.

– Nie będę. Im. Pomagać – wycodziła.

Wtedy, dopiero wtedy do niego dotarło. Pobladł.

– Słuchaj... – zaczął, zupełnie inaczej niż dotychczas, łagodnie.

Gdzieś miała tę jego łagodność.

– Wszystko będzie dobrze, to chcesz mi powiedzieć? Co ty sobie w ogóle wyobrażasz?! Jestem tutaj, wiem, co mi zrobili, wiem, co ona zrobiła! Nie

będę im pomagać, nie będzie żadnych wizji, bo to ona je zapamięta, ona im powie, dostaną, czego chcą! Jak ty możesz w ogóle...

Cofnął się odruchowo, a ona zorientowała się, że uniosła dłoń jak do ciosu. Zasłoniła usta.

– Przepraszam – powiedziała, już dużo ciszej. – Ale jak możesz im pomagać? Mam tylko ciebie, rozumiesz, tylko ciebie, a ty tu przychodzisz, żeby spełnić ich rozkazy.

Przewodnik schował twarz w dłoni. Potem podniósł wzrok i spojrzał na Verę z rezygnacją.

– Znowu? – zapytał cicho. – Słuchaj, już o tym dzisiaj rozmawialiśmy. Wolałbym tego nie powtarzać, bo naprawdę wyżyłaś się na mnie za wszystkie...

Na wszystkie żywioły, jak on nic nie rozumiał! Co z tego, że stał przed nią, co z tego, że byli w transie, w jej głowie? Równie dobrze mogłaby nic nie mówić, mogłaby być zakneblowana w celi, a zrozumiałby równie wiele.

A jednak stał już obok, ona nie była zakneblowana, i bez względu na to, czy mógł, czy nie mógł zrozumieć, jej rozpacz domagała się ujścia.

– To nie byłam ja! To nie jestem ja, nie rozmawiałeś ze mną!

Jak śmiał patrzeć na nią z takim spokojem? I ze współczuciem? W dupę mógł sobie wsadzić to współczucie!

A jednak pozwoliła mu przyklęknąć obok – kiedy wylądowała na kolanach na ziemi, chyba przed chwilą? – dotknąć policzka otrzeć łzy, bo szlochała.

Z goryczą potrząsnęła głową.

– Parę kłamstw. Tak to nazywasz? Ren, oni mnie zmienili, całą, mnie już nie ma! – Gwałtownym gestem otarła łzy. – Ukradli mi imię. A ty im pomagasz!

Przewodnik powoli wypuścił powietrze.

– Pomagam – zgodził się. – Chcę żebyś żyła, więc pomagam.

Poderwała się na nogi.

– To jest życie według ciebie? – Wskazała na rozciągającą się wokół pustynię. – To?! Albo to, co ze mną robią na górze?

– Tak – odparł spokojnie. – To jest życie.

– To jest kłamstwo, nie życie! – krzyknęła.

– Kłamstwa umierają – powiedział, po czym wstał. – To znaczy nigdy nie żyją, ale w końcu zanikają. Zwłaszcza w waszym wypadku. Jesteś Widzącą, królowo, nie ma takiej mocy, która byłaby w stanie trwale zmienić twój

umysł, przecież o tym wiesz. Dotykasz rzeczywistości, tego się nie da oszukać. Poszatkowali ci jaźń, owszem. Ale odnoszę wrażenie, a pamiętaj, że po pierwsze: siedzę w twojej głowie, a po drugie: znam was obie, że jedyne, co cię odróżnia od Migny, to obiekt nienawiści. Kiedy to, co ci zrobili, wyjdzie na jaw, wrócisz do siebie. Zobaczysz. Musisz tego tylko dożyć.

Zagryzła wargi, żeby się znowu nie rozplakać, po czym spojrzała mu w twarz.

– Wytrzymasz – szepnęła.

Wziął to za pytanie. Trudno. Ona przecież nie wiedziała wtedy, o czym mówi, chociaż było przecież tak blisko, kilka sekund od nich. Po prostu powiedziała, bo musiała to powiedzieć.

– Wytrzymam – zgodził się.

– Pamiętaj, wytrzymasz – powtórzyła. W zielonkawych oczach Przewodnika dostrzegła cień niepokoju. Było jednak coś jeszcze, co musiała powiedzieć, chociaż przecież gdyby tego nie zrobiła, uniknęliby katastrofy.

– Tutaj możesz, Ren – szepnęła – zrób to. Powiedz to, proszę.

Cień niepokoju w jego oczach zniknął, ustępując miejsca czystej radości.

– Nie musisz prosić, Vera – odparł. Jej imię smakowało mu mokrą ziemią, miodem i krwią i ta wiedza przypląnęła do niej poprzez więź. A wraz z nią pewność, że nie istniało dla niego nic słodsze.

Powiedział coś jeszcze, ale to nie miało znaczenia, bo kiedy ujął ją za brodę i unióśł jej twarz, zobaczyła kłębiące się tuż za nim chmury. Wielkie, granatowoczarne, pulsujące życiem i przyszłością. Nie zdążyła – nie zdołała? – krzyknąć. Trans, dziki i niekontrolowany, spadł na nich, wyrывая dech z piersi, rozszarpując iluzoryczne ciała na kawałki i pogrążając umysły w panicznym, pierwotnym strachu.

*

To właśnie był powód, dla którego Widzące i Przewodnicy nie używali do pogaduszek tej przestrzeni będącej pomiędzy świadomością i nieświadomością, pomiędzy teraz i zawsze, pomiędzy transem a jawą. Tymczasowość nie była stanem, w którym świat utrzymywał się zbyt długo. Jeśli istniała przestrzeń na to, żeby coś się wydarzało, to się to wydarzało. A trans powinien przydarzać się tylko Widzącym, nie Przewodnikom. To Widzące miały jaźń na tyle silną, by mogły powrócić z niebytu, miały

w sobie ten okruc, którego nic nie było w stanie zniszczyć – o tym właśnie mówił Ren.

Gdyby trans był kontrolowany, gdyby Ren go wywołał – co było w tym miejscu szczególnie trudne, dlatego zazwyczaj robiono to z zewnątrz – wszystko byłoby w porządku. Przewodnik jednak, zajęty dyskusją z Verą, niczego nie wywoływał. Był w umyśle Widzącej, kiedy wpadła w „dziki”, jak nazywano niewywołane transy, a to się nigdy nie powinno zdarzyć.

*

Krzyki i trzask płomieni, to jest jak galop, tylko że nie siedzisz w siodle, setki kopyt na tobie, a każde to obraz, albo dźwięk, albo ból, płonąca chata, pikujący sokół, spadająca z murów dziewczyna, ktoś kogoś całuje, przebija sztyletem, i każdy cios jest wyraźny, kryształowo czysty.

Twarze, szybko, łup-łup mężczyzna, łup-łup kobieta, łup-łup, chłopiec, łup-łup, płacz, łup-łup, śmiech, łup-łup, wściekłość, łup, miłość, łup, zmęczenie.

Czułość, bo przed nim stoi siwowłosa mężczyzna z odsłoniętym mieczem, a dziewczyna za nim, ta, która spadła, ale nie ta, klęczy na ziemi, obejmuje głowę rękami, jej świat rozpadł się już dawno, ale zobaczyła to dopiero teraz i krzyczy. Jest też czwarty, stoi z niepewną miną, dzika karta, kto by pomyślał, myśl, myśl, przysięgałem ją chronić.

Przysięgałem.

Ja. Przysięgałem.

Tę przysięgę mógł złamać w każdej chwili, nie było żywiołów, które by go od tego powstrzymały. Nie chciał jednak tego robić. Póki nie chciał, był sobą – i w ogóle był.

„Przysięgałem zawsze chronić Widzące i nigdy nie zrobić żadnej z nich krzywdy” – takie proste słowa, a tyle w sobie mieściły. Wszystko czego potrzebował.

Powoli obrócił się wokół własnej osi. Miał oś. Czemu nigdy wcześniej tego nie doceniał?

Nad pustynią znów szalała burza – ciężkie granatowe chmury, przemykające między nimi żyły oślepiającego światła, kłęby żółtego piachu, porywisty wiatr, który porwałby go przecież, gdyby zabrakło kotwicy.

Odetchnął głębiej, powietrze było lodowate i orzeźwiające. Kotwica. Widząca.

Musiał tylko do niej zejść. Chwycić więź, była przecież już całkiem silna, i przesuwając się wzdłuż niej, aż nie trafi na Verę.

Zorientował się, że drży na całym ciele – którego przecież tak naprawdę nie miał, nie tutaj, zostało... Tam. W namiocie.

Przysięgałem.

To naprawdę było jak lina, i od ciągnięcia jej bolało go wszystko.

Podmuch wiatru szarpnął nim gwałtownie i Przewodnik poleciał z zawrotną szybkością w stronę chmur, prosto na błyskawicę. Ona też roiała się od wizji – tu wszystko było obrazem z obrazów.

Zatrzymał się gwałtownie, prawie czuł, że więź wżyna mu się w mózg. Poświęcił chwilę na to, by się uspokoić.

– Dzięki, królowno – mruknął i wrócił do pracy.

Nie pamiętał, by kiedykolwiek było to tak żmudne, ani by kiedykolwiek otaczał go taki chaos. Nie pamiętał też, by w jakimkolwiek transie tak się bał. Zazwyczaj miał poczucie mocy, spełnienia, to było to, co chciał i powinien robić.

Tu znajdował się na granicy śmierci albo obłądu, przebijał się przez morderczy chaos i czasem naprawdę wydawało mu się, że umrze. Widząca prawie nie pomagała. Nic dziwnego. On miał linę. Ona...

Ona miała żelazną wolę, tę, która trzymała go na dobrej drodze, ale poza tym była jak zabawka żywiołów porwana przez wichurę, miotana, z wizji do wizji, doświadczył tego przecież chwilę przedtem i może dlatego szedł.

Może to był jedyny powód, dla którego udało mu się dotknąć jej ramienia. To, że już wiedział, jak to jest. Nina, jego poprzednia, pierwsza Widząca, słodka Nina o złotych włosach, próbowała mu kiedyś opowiedzieć. Nie rozumiał. Nic dziwnego – tam nie istniało nic, co można by zrozumieć.

Tak czy inaczej, dotknął ramienia Very, a burza ustała w jednej chwili. Klęcząca na piasku Widząca spojrzała na niego, unosząc głowę.

– Ty...

Odsłonił zęby w triumfalnym uśmiechu.

– Mów mi „Cudotwórco”.

Wzdrygnęła się, w jej oczach dostrzegł zgrozę.

– Nie no, proszę – jęknął. – Znowu?

– Nie. – Podniosła się z klęczek i ujęła jego dłoń. – Nie, nie znowu. Spokojnie. Pamiętam cię. Pamiętam.

W jej oczach mignęło mu własne odbicie i zrozumiał, czemu się wzdrygnęła. Wyglądał jak trup, jak upiór, jakby nie zdołał przeżyć tego transu.

Niedobrze.

– Skończ to, proszę – szepnęła. – Skończ to, teraz.

Uśmiechnął się ciepło.

– Marzę o tym.

Vera zamknęła oczy. Ona, sądząc po minie, nie marzyła.

Chwycił ją za drugą rękę i delikatnie wyciszył trans. Czuł to, co ona: poddawała mu się, miała wrażenie, jakby kołysał ją do snu. Uśmiechnął się do siebie. Wypadek przy pracy czy nie – umiał to robić.

To była jego ostatnia myśl przed utratą świadomości, nie wiedział więc, że Vera nie zasnęła. Chociaż może byłoby to dobre rozwiązanie. Łatwe – przede wszystkim łatwe.

Vera nigdy jednak nie była znana z zamiłowania do łatwych rzeczy. A przede wszystkim nie mogła zasnąć. Nie teraz. Nie wtedy.

*

Jorg potwornie się bał.

Trans zakończył się dwie godziny wcześniej – przynajmniej tak szacował. Nie mógł tego określić dokładnie, bo uciekł z Hornakiem, kiedy Widząca i Przewodnik zaczęli szarpać się w namiocie, który zresztą bardzo szybko runął. Jakiś czas po tym, jak żołnierze opuścili polankę, dobiegł ich krzyk – był krótki, ale Jorg nigdy nie słyszał czegoś takiego. Wspomnienie tego dźwięku miało go prześladować jeszcze przez wiele dni.

Wrócili niedługo przed południem i było już chyba po wszystkim. Żadnego światła, Migna i Ren leżeli nieprzytomni pod rozdartą płachtą, między żerdziami. Namia Widzącej siedziała nad nimi, na cienkiej, chyboczącej się gałęzi i przyglądała się wszystkiemu z ciekawością. Nie wydawała się zaniepokojona stanem właścicielki i był to dobry znak, ale nie uspokoiło to Jorga. Hornak posprzątał bałagan, a potem poszedł spać, co było bardzo rozsądne, zważywszy, że żaden z nich tej nocy nie zmrużył oka.

Lahetan jednak nie mógł spać. Południe minęło dwie godziny wcześniej, a myśl o choćby zmrużeniu oka wciąż wydawała mu się abstrakcyjna. Inne, na co dzień abstrakcyjne rzeczy okazywały się tymczasem bardzo bliskie i realne – na przykład żołądek moszczący sobie wygodną kwaterę w gardle.

O Mignę żołnierz się nie martwił – ruszała się, mamrotała przez sen, marszczyła brwi, temperaturę – długo walczył ze sobą, zanim to sprawdził – też miała w porządku.

Za to Przewodnik nie drgnął, odkąd żołnierze wrócili na polankę – nawet kiedy Hornak go podnosił: był sztywny jak kłoda wszystkie mięśnie miał napięte. Do tego był biały. Nie blady, a biały, nie licząc oczywiście sińców pod oczami – ich jednolity, obrzydliwy fiolet nie miał już nic wspólnego z kolorami przyjmowanymi zwykle przez ludzką skórę. Ren cały pokryty był zimnym potem, oddech zaś miał straszliwie płytki, niemal niezauważalny.

Jorg podniósł się i, po raz chyba piąty, podszedł do Przewodnika. Przyłożył mu rękę do czoła i znów stwierdził, że żywe ludzkie istoty nie osiągają tak niskich temperatur. Przeniósł dłoń na jego klatkę piersiową. Serce tłukło się jak oszalałe – dziwne, jeśli wziąć pod uwagę, że Ren wyglądał, jakby nie miał w sobie ani kropli krwi.

Mężczyzna zacisnął usta w wąską linię. Najbliższa ludzka siedziba była, o ile się orientował, oddalona o dzień albo dwa drogi – prawdopodobnie zdecydowanie zbyt daleko. Zresztą nawet gdyby do niej dotarli, mogliby nie znaleźć tam nikogo, kto byłby w stanie udzielić Przewodnikowi pomocy.

Byli więc zdani na siebie. A tak naprawdę on był zdany na siebie, bo to do niego należało podejmowanie decyzji.

Westchnął i zabrał się do dokładnych oględzin Rena. Widok po rozpięciu jego koszuli nie był szczególnie ciekawy – świeżych siniaków Jorg się trochę w życiu naoglądał, ludzi wycieńczonych pracą w Kamieniołomie również. Obrócenie zeszywniałego Przewodnika na brzuch nie było łatwym zadaniem, ale wreszcie się udało – i wtedy żołnierz zobaczył to, czego szukał. Tak w każdym razie sądził.

Na prawej łopatce Rena rozkwitał intensywnie czerwony wzór. Nie większy od dłoni żołnierza, miał oszalamiający, żywy odcień, który sprawiał wrażenie, jakby cała krew mężczyzny zbiegła się w tym miejscu. To ze względu na tę barwę – nie na to, że znak wirował i zmieniał się, przyprowadzając o mdłości – przez głowę Diogorczyka przemknęła absurdalna myśl: „To jest żywe”.

Jorg przyglądał się temu przez chwilę, a potem westchnął. Prawdopodobnie to było powodem nagłej bladości Przewodnika,

prawdopodobnie należało jakoś uwolnić tę krew. Zawahał się, nim wyciągnął rękę.

– Nnnnnnnnn...

Momentalnie zastygł i przewrócił Rena z powrotem na plecy.

– Zzsstwwww. – Wyraz twarzy Przewodnika nie zmienił się, mężczyzna nawet nie otworzył oczu.

– Mam zostawić?

– Ttttaaak.

– Dobrze. Jesteś przytomny? Co ci jest?

– Nnnnnnnnn...

Jorg odczekał kilkanaście sekund, po czym spytał:

– Co powinienem zrobić?

– Zstwi. Zostawić. Goooo. Ssssam. Się. Obuzi.

Żołnierz nabrał powietrza – powoli, głęboko – wypuścił je i się odwrócił. Migna nadal leżała na ziemi, ale głos, który mężczyzna przed chwilą usłyszał bez wątpienia był jej głosem. Właściwie od początku, od pierwszego jęknięcia, był to jej głos, tylko zmieniony przez sen. Powinien się wcześniej zorientować, że to ona, zauważyć, że namia zleciała z gałęzi i przycupnęła przy Widzącej. Dał się zaskoczyć jak jakiś żółtodziób.

Teraz pozostawało nie dać tego po sobie poznać.

– Kiedy?

– Pózzzzzzniej. Szszzekaj. – Po każdym słowie robiła długą pauzę, a ton miała absolutnie bezbarwny.

– A ty? Kiedy się obudzisz?

Dziewczyna zaśmiała się gorzko. Śmiała się tak, jak mówiła – powoli, dźwięk po dźwięku, z długimi pauzami. Głos miała głęboki, jakby nie dochodził z gardła, a z trzewi.

– Jjjjjjest. Sssssslab-b-by.

– Będzie żył tak długo, jak długo będziemy go potrzebować. – Jorg wzruszył ramionami.

– Nie.

– Dlaczego?

– Ziś. Prrrrawije. Uuuuumar.

– Gdybyś pozwoliła mu się wprowadzić w trans nie doszłoby do tego – odparł Jorg. Był mocno zirytowany. Głównie przez to, że z powodu wydarzeń tej nocy dręczyło go straszliwe poczucie winy.

– Nie. Powwww. Tarzaj. Cie. Teeeeegooooo.

Strażnik popatrzył na kobietę z namysłem. Vera. To musiała być ona. Co było bardzo interesujące i bardzo niebezpieczne.

– Kontrolowane transy wam nie wychodzą. To był jedyny sposób. I będziemy musieli to powtórzyć. Oboje jesteście tu tylko przez wizje. Nie ma wizji: nie ma i was.

– Będą. Wizje. Przestanę. Przeszkadzać. Dobrze. Wizje. Rzadko. Ale. Dobrze. Przes. Tańcie. Zos. Tawcie. Go.

– Dobrze. Tylko kontrolowane transy. Co z dzikimi?

– Umie. Zioła.

– Dobrze.

– Pamiętaj. Rzadko. Nie. Wolno.

Dziewczyna zamilkła w pół zdania, jeśli to, co wydobywało się z jej ust można było w ogóle nazwać zdaniem. Szkoda, mówiła już prawie normalnie. Tak czy inaczej Jorg zrozumiał, co miała na myśli – nie żądała zresztą niczego, czego by nie zaplanował wcześniej. Nie miał zamiaru robić sobie powtórek z tej nocy, a jeśli mówiąc to na głos, zagwarantował sobie cichą współpracę Very, to tym lepiej. Jeszcze lepiej, że się ujawniła.

Następne kilka godzin minęło stosunkowo spokojnie, choć porucznik nadal nie mógł zasnąć. Stan Przewodnika nie zmienił się w jakiś znaczący sposób, ale żołnierz wierzył Widzącej. Nie miała powodu kłamać.

Po jakimś czasie obudził się Hornak, a potem – już po zachodzie słońca – Migna. Usiadła na posłaniu, ziewnęła, przetarła twarz dłonią, przeczesала włosy palcami i rozejrzała się ze zdziwieniem.

– Co jest? – spytała.

– Przewodnik próbował wprowadzić cię w trans, kiedy spałaś. Coś poszło nie tak, byłaś nieprzytomna przez cały dzień.

Widząca zacisnęła pięści.

– Skurwiel. Kto mu pozwolił...

– Ja – przerwał jej Jorg. – Rozkazałem mu. Nie był zachwycony.

– Ale ja nie pamiętam żadnej wizji!

– Tak jak mówiłem, coś poszło nie tak.

Migna popatrzyła na niego z zaskoczeniem, po czym rozejrzała się wokół.

– Jak bardzo nie tak? Gdzie on właściwie jest?

Jorg w milczeniu wskazał na posłanie obok niej.

– Co mu jest?

– Nie wiemy. Sądzę jednak, że z tego wyjdzie.

– Ach. Aha. – Dziewczyna przez moment przyglądała się Przewodnikowi, następnie wzruszyła ramionami i wstała, przeciągając się.

– Umieram z głodu – poinformowała, podchodząc do ułożonych wokół ogniska kłód.

Hornak, zając się właśnie króliczym mięsem, pacnął się otłuszczoną dłonią w czoło.

– Jasne, że umierasz, siadaj. – Wskazał miejsce obok siebie. – Trzymaj – dodał, podając jej kawałek mięsa.

– Zięki – mruknęła, już z pełnymi ustami. Znów rozejrzała się uważnie po obozowisku. – Gdzie Tara?

Hornak wzruszył ramionami.

– No, też musi jeść, nie? – odparł obojętnie. – Gdzieś poleciała.

Widząca zachmurzyła się lekko, ale nim zdążyła odpowiedzieć, Przewodnik jęknął i szarpnął się przez sen, przewracając się na bok. Dziewczyna zamarła, Jorg nie wiedział z początku dlaczego.

Potem, w chwili gdy usłyszał cichy szmer powietrza poruszonego przez skrzydła namii lądującej na ramieniu Widzącej, zorientował się, ale było za późno. Migna podniosła się powoli i jak zahipnotyzowana podeszła do nieprzytomnego mężczyzny. Kucnęła obok, przekrzywiając głowę – stworzenie na jej ramieniu wykonało bliźniaczy gest – i wpatrując się w wirujący powoli znak.

Jorg zamarł, niepewny, co zrobić, Hornak zaś patrzył na dziewczynę nieco zagubionym spojrzeniem.

– Te, Migna! Co jest?

Widząca nie zwróciła na niego uwagi, zaczęła za to lekko kiwać się na boki. Powoli wyciągnęła rękę w stronę znaku.

Jorg podniósł się gwałtownie, zdecydowany jej przerwać. Nie zdążyłby, ale niespodziewanie z pomocą przyszedł mu sam Przewodnik: usiadł błyskawicznie, odwracając się przodem do Migny. Wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami, wyraźnie przestraszony, i cofał w stronę pobliskiego pnia.

– Nie dotykaj.

– Co?

– Nie dotykaj, przecież mówię.

– Ale dlaczego?

– Czy ja cię wypytuję o twoje sekreciki? Otóż nie wypytuję. Więc ty moje też zostaw w spokoju. Co tu właściwie robisz?

Widząca zaniemówiła – podobnie zresztą jak Jorg i Hornak. Ren zdawał się nie zwracać na to uwagi.

– Jak to „otworzyła się” – powiedział, nawet nie zapytał, rzeczowym, nieco zniecierpliwionym tonem. – Majstrowałaś przy niej, prawda? Na cycki Królowej, człowiek może tysiąc razy powtarzać, a wy i tak nie posłuchacie. Pokaż ręce. Albo nie, nie pokazuj, dam ci coś na to później, na razie zajmijmy się twoim bratem, daj mi się tylko ubrać.

Mężczyzna podniósł się, podszedł do posłania, obok którego leżała jego koszula, i faktycznie ją na siebie zarzucił. Potem obrócił się na pięcie, zatrzymał gwałtownie, by zaraz odwrócić się raz jeszcze i gniewnie popatrzeć na powietrze nad ogniskiem.

– Powiedziałem „nie”. I akurat w moim wypadku myślałem, że wiesz, „nie” znaczy „nie”. Nie „zastanowię się”, nie „poprzekonuj mnie jeszcze, może zmienię zdanie”. Nie. Naprawdę, oszczędź nam obu. Przez wzgląd na dawne czasy.

– R-ren? – wykrztusiła wreszcie Widząca. Mężczyzna od razu odwrócił się w jej stronę, wyszczerzył zęby.

– Dobry wieczór, królewno – uklonił się lekko. – Posłuchaj, nie bierz sobie tego do serca, ale nie powinno cię tu być. Poznamy się dopiero za parę lat, ale skoro już tu jesteś, to was przedstawię, to jest Derek, straszny dupek, Derek, to moja nowa Widząca. Polubicie się na pewno – zwrócił się do dziewczyny. – W ogóle nie znasz się na ludziach, a on wręcz przeciwnie.

– Ren – odezwał się spokojnie Jorg – masz halucynacje.

Przewodnik rozejrzał się po polanie.

– Tak – przyznał – prawdopodobnie tak. Pozwól sobie w ogóle powiedzieć, Jorg, że przy całym skurwysyństwie nawet halucynacją jesteś wyjątkową. Prawie cię za to szanuję.

– Uważaj – odparł mężczyzna. – Akurat ja jestem prawdziwy.

– Och. No może nie taką wyjątkową w takim razie. Mniejsza o to, moi drodzy, musicie mi wybaczyć, może słyszeliście, mam człowieka do wyleczenia. To dziwne właściwie, nigdy nie leczyłem brata Ami, jak go rozerwało, to nie było potem co zbierać.

– Ren – powtórzył cierpliwie dowódca. – Masz halucynacje. Nie ma tu żadnej Ami.

– Przecież wiem – odparł Przewodnik – ale powiedz, tak zupełnie szczerze, czy to jest powód, żeby nie zachować się jak człowiek? A teraz wybaczcie. Królewno, dobrze cię było zobaczyć.

To rzekłszy, zrobił dwa kroki w stronę posłania i z powrotem położył się spać. Spał zresztą, już zupełnie normalnie, niemal do południa następnego dnia. Jorg, poważnie zaniepokojony jego stanem, zabronił go budzić.

Ren nie pamiętał potem tych halucynacji – albo udawał, że nie pamięta – a reszta oddziału go nie uświadamiała. Nawet Hornakowi udało się trzymać język za zębami.

Ogółem przez niedoszły trans zmarnowali więc dwa dni. Za dużo zdaniem Jorga, zwłaszcza że efekty były mizerne. Czy Przewodnik domyślił się jego niezadowolenia, czy też po prostu je zauważył – trudno było stwierdzić, choć żołnierz wolał obstawiać to pierwsze. Południowiec nie był głupi, a tylko głupiec nie zorientowałby się, że wypadki przybrały niekorzystny obrót.

Ren poprosił Jorga o rozmowę dotyczącą transu niemal od razu po przebudzeniu – Migna była oburzona, że chcą ją z tego wykluczyć, więc żeby dodatkowo jej nie irytować, oddalili się od obozu w stronę pobliskiego wzgórza. Gdy przysiedli na masywnym głazie, Jorg rozejrzał się uważnie, a gdy pośród drzew wypatrzył Widzącą, w ostrych dość słowach rozkazał jej wracać. Dla pewności odczekali obaj jeszcze chwilę.

Pierwszy odezwał się Ren.

– Masz dobre oko – pochwalił niechętnie.

– Długo walczyłem w Schan – odparł Jorg równie oszczędnie. – Kwestia wprawy.

Przewodnik skrzywił się i skinął głową. Żołnierz nie zareagował na ten gest w żaden widoczny sposób. Czekał. Ren przetarł twarz dłonią.

– To nie jej wina – zaczął. Żle.

– W takim razie twoja?

Przewodnik popatrzył na Jorga z zaskoczeniem.

– Nie! To nie jest zła wola. Nie chcę, żebyście ją zabili, możesz mi wierzyć. Po prostu żadne z nas nie jest w formie.

– To dało się zauważyć.

– Trzeba jej dać trochę czasu. Niech się uspokoi, oswoi trochę z tym wszystkim. Odpocznie.

– Od miesiąca nie była w transie.

– No to widać za krótko – zdenerwował się Ren. – Czego się spodziewasz po tym, co jej zrobiliście?

– Wiesz, czego się spodziewam. Efektów.

Przewodnik zacisnął usta. Nim zdążył je na powrót otworzyć, Jorg uniósł dłoń, nakazując mu milczenie.

– Ale jestem skłonny na nie poczekać. Miałem czas na przemyślenie sprawy. Oboje musicie być w formie. Dla ciebie, jak rozumiem, przeprowadzanie dziewczyny przez transy też jest dość wyczerpujące. A jesteś cenniejszy niż Widząca, trudniej trafić na jednego z was niż na którąś z nich.

Przewodnik pobałdł lekko, co dawało dość upiorny efekt. Naprawdę wyglądał niezdrowo.

– Chciałbym, żebyście, nim dojedziemy do Urty, nie podejmowali już prób przewidywania przyszłości. Jesteś w stanie w jakiś sposób zablokować dzikie transy? – Jorg nie miał zamiaru ujawniać, że wie, że Ren może to zrobić.

Przewodnik przełknął ślinę.

– Jestem. Będę musiał wybrać się do lasu, poszukać ziół, można zaopatrzyć się u jakiegoś znachora czy kupca. Ale jestem.

Żołnierz skinął głową.

– Doskonale.

Ren nie wydawał się podzielać jego zdania, Jorg nie sądził jednak, by miało to znaczenie.

Rozdział VIII

Władczyni

Byli w drodze już od siedemdziesięciu dwóch dni. Ren siedział nad garnuszkiem z ziołami dla Widzącej, mieszając w nim intensywnie i bezmyślnie. Całą uwagę skupiał na szarzejącym powoli horyzoncie.

Była mgła. O tej porze roku zawsze rano była mgła, Przewodnik nie miał więc powodów do zdziwienia ani zżymania się na nią, mimo to dziwił się i zżymał, trochę wbrew sobie.

Nie spodziewał się tego. Urtę opuścił kilka lat wcześniej z własnej woli, a kiedy wracał do niej myślami, czuł wściekłość i żal, ale nigdy tęsknotę. Teraz jednak wyteżał wzrok, czekając, aż słońce wstanie, mgła zacznie opadać, a spośród jej kłębow wreszcie wyłoni się wyszczerbiona wieża, przypominająca sztylet, który wbija się w niebo.

Zabawne – przecież nie pojawiła się nagle, a jednocześnie Przewodnik nie mógł powiedzieć, że działo się to stopniowo. Po prostu w którymś momencie zorientował się, że widzi ją już od jakiegoś czasu.

Nie potrafił nazwać uczucia, które go ogarnęło. Było tak, jakby rzeczy zaczęły być tam, gdzie zawsze. Jakby wszystko było jak dawniej – przez moment nie robił nic poza smakowaniem tego, cieszeniem się tym złudzeniem: wszystko takie samo i tylko on nowszy i mądrzejszy, więc na dobrej drodze do naprawienia tego, co zaszło..

– Piękne, prawda?

Ren drgnął, zaskoczony i spojrzał na Jorga podejrzliwie. Jakim cudem tak cicho wyszedł z namiotu? Jak zwykle nie dał rady nic wyczytać z jego twarzy. Mężczyzna ze spokojem – a może z dumą? – wpatrywał się w horyzont.

Przewodnik znów spojrzał na miasto.

I wtedy zobaczył: pajęczynę złotych, chwytających pierwsze promienie słońca nici wokół wieży, kolorowe odbłyски witraży, których z pewnością wcześniej nie było w królewskim pałacu, teraz najwyraźniej przebudowanym na diogorską modłę.

Uśmiechnął się pod nosem, z satysfakcją tym większą, że odpowiedź, której miał udzielić Jorgowi, była całkowicie zgodna z prawdą.

– Nie zwróciłem uwagi.

Żołnierz nie odpowiedział. A Ren dostrzegł coś jeszcze: inną wyszczerbioną wieżę.

Inną ruinę.

Nie powinno to na nim zrobić takiego wrażenia, przecież odszedł stamtąd w gniewie, życząc im wszystkiego najgorszego – dokładnie tego, co się wydarzyło. Nie powinien więc czuć się tak, jakby ktoś wbił mu w brzuch te strzaskane resztki najwyższej wieży siedziby Zakonu Przewodników.

– Nie jesteś zbyt spostrzegawczy, prawda?

Ren znów odwrócił się do Jorga. Żołnierz nie wyglądał, jakby z niego szydził, wpatrywał się w panoramę miasta z kamienną twarzą – drwina była więc tym bardziej dotkliwa.

– Obudź ją, jeśli już skończyłeś – rzekł Jorg. – Chcę zapoznać was z planem działania, zanim wyruszymy. Zamierzam dotrzeć do miasta jeszcze dziś.

Ren spojrzał na trzymany w dłoniach garnuszek. Zaciskał palce tak mocno, że pobielały, poczuł to jednak dopiero wtedy, gdy je rozluźnił. Odstawił naczynie na ziemię i ruszył do namiotu Widzącej.

– Hej, królewno. – Jego głos brzmiał obco. – Zbudź się, czas na ziółka.

Z wnętrza namiotu dobiegł gardłowy, pełen dezaprobaty pomruk. Jak co dzień. Ren westchnął z irytacją.

– Nie chcesz pić zimnych – poinformował sucho i oddalił się od namiotu.

Codzienna rutyna. Zawsze dostawał ostatnią wartę – po Hornaku – zawsze warzył wtedy zioła, zawsze budził Widzącą, a potem, gdy pozostali się podnosili, oporządzał konie i sprzątał obóz.

Nie zawsze jednak był tak wściekły. Nie zawsze wracał do Urty.

I nie zawsze miał okazję do odkrywania w sobie nowych pokładów nienawiści. Nie zelżały w czasie porannych obowiązków ani tym bardziej wtedy, gdy niedługo przed wyruszeniem w drogę Jorg zebrał ich wokół zgaszzonego już ogniska.

– Namiestniczka oczekuje nas od kilku tygodni – oświadczył lahetan. – Odpowiednie listy zostały wysłane, jeszcze zanim opuściliśmy Kamieniołom. Wjadę do miasta jako jej gość, przyjaciel z dawnych lat i wysłannik króla niosący ważne wieści. Nic z tego nie jest zresztą kłamstwem. Wy będziecie udawali moją świtę. Będziesz musiała odesłać gdzieś Tarę, wyglądałoby podejrzanie, gdyby moja służąca miała coś takiego.

– On też ma należeć do twojej świty? – spytała Widząca, patrząc z powątpiewaniem na Rena.

– Tak. Wasza dwójka ma do odegrania ważną rolę. Będziecie próbowali nawiązać kontakt ze spiskowcami.

– Wolne żarty!

– Będiesz tylko udawać – wtrącił pojednawczo Hornak.

– Nie chcę udawać! Na pewno nie coś takiego!

– Migna – powiedział spokojnie Jorg. – Jesteś jedyną osobą, która wie, jak oni wyglądają, tylko ty możesz ich rozpoznać. Potrzebujemy cię. Zakładam, że nie wszyscy znajomi Rena zginęli w czasie walk o miasto. To wam pomoże.

– W ogóle wiele zakładasz, poruczniku – odezwał się Przewodnik.

Jorg spojrział na niego beznamiętnie.

– I w większości są to bardzo ryzykowne założenia – kontynuował Ren.

– Powiedziałbym nawet, że błędne.

– Zechcesz podać przykład?

– Oczywiście. Chyba was popierdoliło, jeśli uważacie, że będę szukał tych z moich przyjaciół, którzy przeżyli, tylko po to, żebyście mogli ich potem pokazowo stracić, ty chory sukinsynu.

Hornak zareagował pierwszy. Uderzył Przewodnika tak mocno, że go zamroczyło. Ren nie spodziewał się niczego innego i po prawdzie przywykł już w czasie tej podróży do ciosów...

...co nie znaczyło, że były przyjemne, albo że wracając do rzeczywistości, przyjemnie było słyszeć głos Jorga.

– Jesteś naszym więźniem, Ren. To wiąże się z wykonywaniem rozkazów. Rozsądnie byłoby też okazywać swoim nadzorcom pewien szacunek, jednak rozsądku nauczyłem się od ciebie nie oczekiwać.

Przewodnik podniósł się ciężko na łokciach i obrócił głowę, tak by patrzeć dowódcy prosto w oczy. Zlizał krew z wargi.

– Jestem Przewodnikiem – wydusił. – Przeprowadzam naszą królową przez transy. Na więcej nie liczcie.

Jorg odpowiedział znużonym spojrzeniem.

– Chcesz, żebym cię zmusił?

– Spróbuj – prychnął Ren. – Proszę cię bardzo, spróbuj. Ale może lepiej byłoby, gdybyś się najpierw zastanowił, co będziesz musiał w tym celu zrobić i co ci się opłaca.

Jorg patrzył w milczeniu na Przewodnika. W końcu skinął głową.

– Jak sobie życzysz. – Odwrócił się do Hornaka i Widzącej. – Migna, zwiąż go. Plan zmienia się o tyle, że Ren nie jest częścią mojej świty: jest więźniem, prawdopodobnie kimś, kogo Namiestniczka poszukiwała od jakiegoś czasu. Kontakty ze spiskowcami nawiądziesz sama.

Dziewczyna spojrzała na niego z powątpiewaniem.

– Nawiądziesz – oświadczył Jorg. – Całe życie byłeś szpiegiem. Masz to we krwi.

Przewodnik prychnął drwiąco.

– Zaknebluj go jeszcze – rzucił dowódca do Migny. – Myślę, że wszystkim nam wtedy ulży.

Ren nie protestował – nie było sensu. Poza tym odczuwał coś w rodzaju mściwej satysfakcji. Skoro Jorg wiązał go i kneblował, to znaczyło, że inaczej nie mógł sobie z nim poradzić, a zatem rozwiązany i bez knebla mógł mu zagrozić. To z kolei świadczyło o tym, że Przewodnik był bardziej wolny niż kiedykolwiek w ciągu ostatniego pół roku.

Ta myśl była na swój sposób zabawna, zwłaszcza wtedy, kiedy, prowadzony na powrozie, starał się nadążyć za koniem Hornaka. Zadanie okazało się szczególnie wymagające, kiedy przyszło im wymijać czekający przed bramą szereg podróżnych. Ren był pewien, że się przewróci i Diogorczyk przeciągnie go za sobą po ziemi. Utrzymał się na nogach, lecz mało brakowało.

– Co się tu dzieje? – rzucił Jorg do strażników, zatrzymawszy się przy bramie. Mężczyźni spojrzeli na niego, potem na siebie nawzajem.

– Wpuszczamy do miasta, panie.

Diogorczyk skinął głową.

– To widzę. Dlaczego to tyle trwa?

– To... to tak zawsze, panie.

– Dlaczego? – powtórzył cierpliwie Jorg.

– Królowa, panie. Hołd trzeba złożyć.

Ren poderwał głowę i spojrzał czujnie na mężczyzn. Jeden z nich, niższy rangą, podchwycił to spojrzenie i nieznacznie skinął głową.

Jorg westchnął, po czym zsiadł z konia.

– Sądziłem, że porzuciliście te zabobony.

– Wróciła, panie – bąknął strażnik.

Spojrzenie, którym obdarzył go Diogorczyk, było w najwyższym stopniu sceptyczne.

– Jak to się odbywa?

Na twarzach obu mężczyzn odmalowała się ulga. Ten wyższy rangą wskazał na potężne drewniane drzwi po swojej lewej stronie. Stał przy nich duży, sięgający mu do pasa kosz wypełniony grudkami kadzidła.

– Wchodzi się pojedynczo, panie. Trzeba się przywitać z Królową, przedstawić się, poprosić, by nie płątała dróg i była przychylna. I wrzucić kadzidło w czarę. Potem wyjść drugimi drzwiami, my tu będziemy wiedzieli, że już. Tylko nie wracać, my konie przeprowadzimy, i nie oglądać się za siebie. I pański więzień, on też musi to zrobić.

– Rozwiązać, zdjąć knebel – rzucił Jorg, nie patrząc nawet na swoją świtę. Potem wziął bryłkę kadzidła i wszedł do pomieszczenia.

Przez moment nic nie rozumiał. Miał wrażenie, jakby stał się w jakiś sposób wyższy, dłuższy. Zakręciło mu się w głowie, zamąciło w oczach. Zachwiał się niemal – nie tego się spodziewał, nie wiedział, skąd te smugi, skąd przestrzeń...

Zamrugął, wziął głęboki oddech. Chłodny zapach kamienia i pyłu mieszał się z intensywną wonią kadzidła.

Pomieszczenie było długie, o wiele dłuższe i wyższe, niż się spodziewał – mur był w tym miejscu po prostu pusty w środku. Jorg uniósł wzrok, głównie by ulżyć oczom, i ku swemu zdziwieniu dostrzegł typowe dla Diogorii łukowe sklepienie. Południowcy tak nie budowali.

Mruknął coś i znów spojrzał przed siebie, w labirynt światła.

Wpadało do środka przez niewielkie otwory w górnej części muru, przecinało powietrze ukośnymi smugami, by w końcu rozbłysnąć we wmurowanych w ścianę zwierciadłach.

Przez moment Jorg po prostu stał i podziwiał. W końcu ruszył przed siebie. Sam nie wiedział, jak to się stało, że jego kroki znalazły ten rytm, w jakiś dziwny sposób wpisujący się – wpisujący jego samego – w całe to miejsce. Szedł więc przez dym i światło, nie do końca wiedząc, czego się spodziewać na końcu korytarza.

Wreszcie ostatni z promieni przestał go oślepić, ostatni kłęb dymu zniknął i powietrze stało się przejrzyste i ostre.

Jorg stał przed królową.

Fresk wyglądał, jakby naniesiono go na mur przed chwilą, jakby jeszcze nie wysechł. Przedstawiał bladą kobietę o czarnych, misternie zaplecionych włosach i wysokim czole przyozdobionym cienką srebrną obręczą. Patrzyła przed siebie, a w jej oczach można było dostrzec cierpienie. Reszta twarzy przypominała maskę.

Po co zatem była jej ta prawdziwa, pęknięta żelazna maska, którą trzymała w dłoniach?

Suknię królowa miała granatową, bogato haftowaną w gwieździsty złoty wzór. Z postaci biła taka godność, że łatwo byłoby uwierzyć, że to Diogorka, a nie martwa od setek lat władczyni jednego z Południowych Królestw.

Może dlatego Jorgowi tak łatwo przyszło wyrażenie szacunku. Włożył bryłkę kadzidła do czary przed sobą, po czym się skłonił.

– Jestem Jorg Astenis, pani. Proszę, nie płacz mych ścieżek.

To rzekłszy, skłonił się raz jeszcze i otworzył drzwi po swojej lewej stronie. Słyszał czysty, bez wątpienia magiczny dźwięk gongu i walczył przez chwilę ze sobą, by nie obejrzeć się przez ramię, nie spojrzeć, jak zmieniło się światło w poprzecinanym promieniami korytarzu.

Zastanawiał się, jak poradzi sobie Hornak. Olbrzym był dość przesądny, a przy tym wrażliwy na wszelkiego rodzaju niezwykle zjawiska.

Nie było jednak powodów do lęku, choć Jorg nie mógł o tym wiedzieć. Hornak owszem, spojrzał na fresk z żalem, z rozdzierającą rozpaczą, bo pustka w jego wodnistych oczach była pustką po czymś utraconym i gdzieś w głębi był tego świadom. Wyrwano jednak z niego zbyt wiele i zbyt skutecznie, by świadomość ta mogła stanowić jakieś zagrożenie – wrzucił więc kadzidło, poprosił, o co miał poprosić, uklonił się i wyszedł.

Za to Widząca...

Wszedłszy, aż się cofnęła. Uniosła dłoń do skroni i zamrugała gwałtownie. Miała wrażenie, że to nie pomieszczenie poprzecinane jest smugami światła, lecz że to rzeczywistość się rozdzieliła, rozplotła i scalała, lecz pozostała taka... podwójna.

Migna zacisnęła palce na bryłce żywicy i ruszyła przed siebie, nie zwracając uwagi na zwierciadła, blaski i cienie. Zatrzymała się dopiero przed czarą, marszcząc nos, bo żywiczny zapach był tu wyjątkowo intensywny.

Uniosła wzrok, by spojrzeć królowej w oczy.

– Jestem... – zaczęła i urwała niepewnie.

– O cholera – rzucił ktoś za drzwiami, na drugim końcu korytarza.

Ren.

– Jestem...

Dziewczyna jak zahipnotyzowana, wciąż wlepiając wzrok w wizerunek, podeszła do ściany.

– Nie wiem – szepnęła. – Nie pamiętam.

– Królewno?

Zachwiała się i oparła o fresk, dłonią przykrywając pękniętą maskę.

Vera. Miała na imię Vera, ale odebrano jej to i wiele więcej, związane, opieczętowano przysięgą, a teraz pętla się zaciskała.

Królewna.

– Królewno?!

Dziewczyna wyprostowała się z gniewnym grymasem i łypnęła w stronę drzwi, niknących w oślepiających promieniach słońca i dymie.

– Mam na imię Migna, do jasnej cholery! – Odwróciła się do ściany i zaskoczona popatrzyła na fresk, jakby nie wiedząc, dlaczego stoi tak blisko.

– Mam na imię Migna – powtórzyła i wrzuciła do czary grudkę żywicy. – Wasza Wysokość, nie płacz moich ścieżek.

Ukloniła się i wyszła, uruchamiając gong, który obwieścił strażnikom, że przyszedł czas na Rena.

Nie wziął kadzidła, nie potrzebował go. Czuł się w korytarzu najswobodniej z całej trójki, bywał w nim swego czasu często, więc wszedłszy, rozejrzał się po wnętrzu z chłodnym zainteresowaniem, próbując ocenić, ile się zmieniło.

Oczywiście nie zmieniło się nic.

Podszedł do fresku swobodnym, nonszalanckim krokiem, zatrzymał się tuż przed misą i spojrzał na Rone, królową Urty, zaciskając usta.

Był w nim żal, była i złość. Sporo gorzkości, rezygnacja.

I tęsknota, do której się nie przyznawał.

– Wróciłaś – powiedział po chwili. – Rychło w czas, królowo.

Skrzywił się i przez moment wyglądał, jakby miał ochotę splunąć – ale na coś takiego nie odważyłby się nawet on.

– Poprosiłbym cię o coś, wiem, że lubisz. Ale przecież i tak zrobisz, co zechcesz.

Postał jeszcze przez moment, przypatrując się freskowi.

– Dobrze wyglądasz – rzucił w końcu, kierując się do drzwi. Zatrzymał się o krok przed nimi, już z ręką wyciągniętą w stronę klamki, i odwrócił. Nabrał powietrza. – Posłuchaj... – Pokręcił głową i znów sięgnął do

klamki, lecz coś kazało mu dokończyć. – Nie dasz jej spokoju, prawda? Nie, nie dasz – odpowiedział sam sobie. – Ale nie przesadzaj, dobrze?

Uklonił się nieznacznie i wyszedł w chłodny półmrok miasta.

Urtę zbudowano w większości z szarogranatowego kamienia, powszechnego w tej części Nauryi, ale nie tylko to sprawiało, że robiła ponure wrażenie. Chodziło o coś bardziej nieuchwytnego – długość i głębokość cieni, siwe nitki pajęczyn pod okapami i chłód, który spowijał wąskie, kręte uliczki bez względu na to, jak mocno świeciło słońce.

Ren uśmiechnął się blado. Był w domu. W mieście królowej.

Królowej, która najwyraźniej im sprzyjała – albo któremuś z nich – bo nie zabłądzili w drodze do zamku. Jechali wręcz zaskakująco krótko, Ren nie zdążył się zmęczyć, nim dotarli do bramy.

Choć nie był pewien, czy to jeszcze dobre słowo.

Przez moment po prostu stał i patrzył z niezbyt mądrą miną, gdzieś na obrzeżach umysłu świadom drwiącego spojrzenia Jorga. Potem mechanizm – koła zębate oplecione żeliwnymi pnączami i przetykane srebrnymi, geometrycznymi kształtami naśladowującymi kwiaty szronu – poruszył się płynnie i bezszelestnie, a oczom przybyłych ukazał się rozległy dziedziniec.

Przewodnik nie od razu zarejestrował szarpnięcie obwiązanej wokół nadgarstków liny, którym Hornak próbował zmusić go do wejścia, więc prawie się wyrócił. Lecz nawet wtedy nie był w stanie oderwać wzroku od zamku Królowej.

Nie przeszło mu przez myśl, że nie jest to już zamek Królowej, a zamek namiestniczki, zamek Diogorczyków, jednak nawet kiedy później sobie to przypomniał i kiedy był za to na siebie zły, nie potrafił myśleć o nim inaczej.

Zrujnowana wieża szczerbiła się dokładnie na wprost niego, wyższa, niż zapamiętał, wyższa niż wszystkie wokół, niemal czarna, jakby zwęglona, chociaż przecież wzniesiona z kamienia. Zamek, którego zdawała się osią, wyglądał jak gigantyczny ażur, pajęczyna z granitu, metalu i szkła.

Och, na żywioły, szkło! Trzynaście witraży ciągnących przez całą wysokość budynku, przedstawiających, o ile Ren zdołał się zorientować, ważniejsze sceny z historii Diogorii. Ryt Krwi oczywiście był na środku, po obu stronach Wieży, tak że czarny, okaleczony mur wyrastał pomiędzy odprawiającymi go ceremonialistami – symbol poświęcenia, ale też potęgi królestwa, tego, co zrobili, musieli zrobić, z własną magią.

Pieprzeni złodzieje. Nie mieli prawa w ten sposób używać Wieży.

– Robi wrażenie, prawda? – zagadnął Jorg. Ren łypnął na niego wrogo. – Wasi magowie bardzo nam pomogli. Jeśli dostarczyć wam odpowiedniej motywacji, potraficie naprawdę świetnie pracować. Szkoda, że doszło do takiej eksploatacji materiału. Mogli się jeszcze przydać.

Przewodnik wciągnął powietrze i przymknął oczy. I tak nie mógł więcej zrobić.

Gdy od Jorga i jego ludzi odebrano konie, Hornak znów szarpnął za linę i ruszyli do zamku.

Nim dotarli do komnaty Namiestniczki, musieli pokonać setki schodów – część z nich poznaczona była kolorowymi plamami światła wpadającego przez witraże – i jedną zewnętrzną, wąską kładkę, od przebywania na której Renowi zakręciło się w głowie.

A może zakręciło się Mignie? Ren nie był pewien. Niewielu rzeczy był pewien, kiedy myślał o tym pierwszym spotkaniu z Namiestniczką. Kiedy tylko ją zobaczył, rzeczywistość zaczęła mu się rozmywać.

Komnata była ciemna, wyposażona w jedno wysokie i wąskie okno oraz w zwierciadło o takim samym kształcie. Bez wątpienia należała do tych bardziej prywatnych – co wskazywałoby na ogromną zażyłość między Namiestniczką i jej gościem.

Wskazywałoby – gdyby ktokolwiek potrzebował wskazówek, po tym jak wysoka, szczupła kobieta o kunsztownie upiętych, czarno-czerwonych włosach, odwróciła się do nich i uśmiechnęła.

Na widok tego uśmiechu Rena przeszedł dreszcz, bardzo nieprzyjemny. Nie wiedział dlaczego – uśmiech był bowiem ciepły i szczery, podobnie jak głos Diogorki.

– Poruczniku.

Jorg skinął głową.

– Namiestniczko.

Pokręciła głową z uśmiechem.

– Proszę, to mnie krępuje. Imię wystarczy. Przez wzgląd na dawne czasy.

– Dawne czasy minęły, ale jak sobie życzysz. To będzie dla mnie zaszczyt, Nuka. Zechcesz, oczywiście...

– Oczywiście, Jorg. – Zdawała się smakować jego imię. – Jeżeli tylko zdołam się do tego przyzwyczaić.

Jorg uśmiechnął się tyleż uprzejmie, co oszczędnie i przeszedł do prezentacji.

– Hornaka pamiętasz – powiedział, Namiestniczka zaś skinęła głową.

Hornak – jakby bardziej wyprostowany i napięty, z groźną, w swoim mniemaniu przynajmniej, miną – uklonił się sztywno.

– To zaszczyt, pani – rzekł głosem nieznacznie niższym niż zazwyczaj.

Diogorka znów odpowiedziała pełnym wdzięku skinieniem, ignorując ciche prychnięcie Rena. Może zresztą faktycznie go nie usłyszała – był przecież zakneblowany.

– Migna, nasza Widząca.

Dziewczyna skłoniła się po żołniersku... A właściwie po partyzancku – Diogorczycy robili to inaczej, obie dłonie przykładając do serca, a nie splatając za plecami. Nikt z obecnych nie okazał zdziwienia.

– Bardzo się cieszę, że cię wreszcie spotkałam. Muszę przyznać, że byłam szalenie ciekawa.

Widząca mruknęła coś nieartykułowanego, ale brzmiącego dość grzecznie.

– I więzień. Przewodnik.

Nuka spojrzała na mężczyznę obojętnie i z lekkim niesmakiem, jak na paproch czy płamę na sukni. Renowi z jakichś przyczyn krew ścięła się w żyłach.

Nagle zorientował się, że stoi jakby dalej od namiestniczki niż jeszcze przed chwilą. Podchwycił pogardliwe spojrzenie Migny i nieco drwiące Jorga.

Zmusił się do ukłonu.

– Dobrze się zachowuje – zauważyła namiestniczka. – Skąd te wszystkie środki ostrożności?

– Pozory, Nuka. Zazwyczaj jest niezdolny.

– Rozumiem.

Gdy Ren usłyszał szelest sukni, uznał, że może bezpiecznie otworzyć oczy, gdyż kobieta się odwróciła. Miał rację, lecz i tak pozostałą część pierwszego spotkania z władczynią Urty spędził ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Na szczęście nie trwało ono długo. Kobieta wyjaśniła przybyłym, że oddaje do ich dyspozycji jedną z wież – praktycznie rzecz biorąc, odosobnioną część kompleksu – po czym grzecznie stwierdziła, że muszą być zmęczeni po podróży i z pewnością mają wiele do omówienia, toteż służba zaprowadzi ich do komnat.

Dla więźnia miało się znaleźć rzecz jasna miejsce odosobnienia.

Klucze wręczono Jorgowi i Widzącej. Ren przyjął to ze spokojną rezygnacją – właściwie było mu wszystko jedno gdzie będzie przebywał, póki miało to być daleko od namiestniczki.

Nie przeszkadzało mu nawet, że kiedy tylko znaleźli się sami, dostał rozkaz przeprowadzenia Migny przez trans.

– Oczywiście, poruczniku – powiedział spokojnie, kiedy już zdjęto mu knebel. – Kiedy tylko będzie w stanie się na mnie skupić.

Nie zapowiadało się na to, że Widzącej się to w najbliższym czasie uda – z lekko rozchylonymi ustami rozglądała się właśnie po wieży, a ponieważ była to diogorska wieża, mogła rozglądać się jeszcze długo. Sam Ren powstrzymywał się od tego z najwyższym trudem.

Posadzka przypominała czarne zwierciadło, można było się w niej przejrzeć. Ową czerń przecinał jasny, prawie biały błękit – symbol diogorskiej włóczni, taki sam, jaki widniał na tunice Migny oraz zbrojach i tarczach Jorga i Hornaka. Umeblowanie było oszczędne – kilka ustawionych wokół kominka, misternie wykonanych żeliwnych krzeseł i ozdobny stół pod ścianą, wszystko wyposażone w dźwignie.

Wokół pomieszczenia pięły się schody prowadzące na wyższe piętra wieży. Zdawały się nie mieć końca. Komnata zwężała się ku górze i kończyła najpewniej przy samym szczycie budowli. Same schody oddzielono od niej nie tyle balustradą, ile spletaną siecią żeliwnych kwiatów, szklanych sopli i kół zębatych.

Było na co patrzeć.

– Migna – odezwał się spokojnie Jorg.

Musiał powtórzyć to jeszcze dwa razy i wreszcie zwrócić się do niej ostro per „Widząca”, żeby zareagowała.

– Co się stało? – spytała z roztargnieniem.

– Trans, królowno – powiedział Ren. – Tak, mnie też jest przykro, ale nie bardzo mamy wybór.

– Nie jest mi przykro!

– Tym lepiej – stwierdził pogodnie Przewodnik, rozglądając się po pomieszczeniu. – Usiądź przed kominkiem, dobrze? Obawiam się, że musisz na podłodze.

Dziewczyna fuknęła pod nosem, ale posłuchała. Ren usiadł obok i odetchnął głębiej, starając się oczyścić umysł. Potem drugi raz i trzeci.

– Zaczyniesz w końcu?

Westchnął.

– Daj mi chwilę, dobrze? I chciałbym, żebyś patrzyła w płomienie. Może tak być?

– Mhm.

– Świetnie. Skup się na nich. Widzisz, to jest żywioł. Jeśli odpowiednio spojrzeć, zobaczysz tam wszystko – zaczął, nadając głosowi spokojne, hipnotyzujące brzmienie. – Czujesz?

– Nie.

Ren podniósł wzrok na dziewczynę, nieco zdezorientowany. Ona też na niego spoglądała, oczy miała już półprzytomne.

– Mam lepszy pomysł – stwierdziła, po czym chwyciła go za rękę i wstała.

– Mi... – zaczął Jorg, ale Ren uciszył go gestem.

Widząca tymczasem pociągnęła go za sobą na schody. Biegła po nich z typową dla siebie energią, zatrzymała się dopiero trzy poziomy wyżej, przy którychś z kolei drzwiach, na stopniu szerszym niż inne.

– Popatrz – powiedziała, przylegając do zdobionej kraty. – Stąd.

Ren spojrzał posłusznie, cierpliwie czekając, aż pole widzenia, zaćmione od wysiłku, rozjaśni mu się na tyle, by miał szanse coś dostrzec.

A potem spomiędzy czarnych strzępów, które latały mu przed oczami, wyłoniła się czysta, ostra, jasnobłękitna diogorska włócznia, jarząca się odbitymi płomieniami z kominka. Żar rozlewał się też na czarne płyty, którymi wyłożona była podłoga, i w tej czerni odbijało się wszystko – Jorg, Hornak, żeliwne sprzęty, ażurowa sieć krat, pewnie nawet, gdyby się dobrze przyjrzeć, twarze ich czwórki.

– Masz talent – wydyszał z uznaniem. – Skoro tak, patrz na to.

Widząca nie dała sobie dwa razy powtarzać. Tym razem weszła w trans lekko i łatwo, prawie nie musiał jej nakierowywać.

W ostatniej chwili, tuż przed tym jak się weń osunęli, zdawało mu się, że w lśniącej kilka sążni niżej posadzce widzi odbicie pękniętej maski królowej. Nie zdążył się nad tym zastanowić – musiał pilnować Widzącej, prowadzić ją.

Musiał spotkać się z Verą i to na tym się skupiał, nie na maskach.

– Patrz – powiedziała, trzymając go za rękę.

– Patrz – odparł, zadziwiony lekkością, z jaką tym razem udało mu się wydzielić ze strumienia czasu pojedynczą kroplę.

Przez moment obraz był bardzo wyraźny – posadzka w ich wieży, wszystko, co się w niej odbijało, odsuwające się powoli na bok, tak że na

koniec została tylko twarz Widzącej. I kropla, która wpadła prosto w środek tafli. Kręgi, które powoli, nieubłagane i w jakiś sposób prawie niezauważalnie zmieniały obraz. Wybielały ciemną skórę, napinając ją i marszcząc, zwężały podbródek i studziły żar w czarnych oczach, które stawały się teraz jasne i pełne charakterystycznej dla czarodziejek przejrzystości. Ren miał wrażenie, jakby żar z oczu Migny przeszedł na włosy; po ciasno skręconych sprężynach nie został nawet ślad – zastąpiły je gładko zaczesane, upięte w kok jasnorude pasma. Usta kobiety zwęziły się i zbladły.

Czarodziejka odwróciła się od zwierciadła i popatrzyła na kogoś surowo.

– Mów krótko i konkretnie. Nie mam czasu.

Świat zamglił się na chwilę. Ren krzyknął.

Miała talent, owszem.

Miała również słaby, skołowany umysł, który czasami nie był w stanie utrzymać wizji wystarczająco długo.

Migna poderwała się gwałtownie. Przewodnik ledwie to dostrzegł, ogłuszony nagłym bólem, który odezwał mu się pod czaszką.

– Tylko tyle? – spytała z wyrzutem i puściła się w dół po schodach.

– Jorg! – zawołała. – To czarodziejka!

Potem przez jakiś czas nie było nic prócz ciemności. W każdym razie jeśli chodziło o Rena.

Rozdział IX Czarodziejka

Obudził go zgrzyt klucza w zamku. Leżał na czymś miękkim, chyba sienniku... nie, łóżku.

Nie bardzo w to wierzył, więc rozchylił powieki.

Owszem, łóżko. W pokoju, prostym, skromnie umeblowanym, z fragmentem witrażowego okna u góry. Drzwi były uchylone – prawdopodobnie ktoś je zamykał, ale przestał, zobaczywszy, że Ren otworzył oczy.

I teraz wszedł. To znaczy – weszła. Co zaskakujące, wcale nie wyglądała na wściekłą. Przewodnik postanowił nie odrzucać hipotezy, że śni albo znowu ma halucynacje. Zwłaszcza kiedy kobieta się odezwała.

– Pomyślałam, że sprawdzę, jak się czujesz.

– Całkiem przyzwoicie, królewno, dziękuję – odpowiedział ostrożnie, podnosząc się do siadu.

Dziewczyna zamknęła za sobą drzwi. Kiedy znów spojrzała na Przewodnika, w jej oczach pojawiła się irytacja.

– Co tak patrzysz, jakbym miała ci zaraz coś zrobić?

Ren uśmiechnął się krzywo.

– Doświadczenie uczy, że nie jest to najmniej prawdopodobna z możliwości. No i nie co dzień zdarza ci się wykazywać troską o moją skromną osobę. Jestem po prostu zaskoczony.

– Myślisz, że to niby jakiś podstęp? – spytała, zakładając ręce na piersi.

– Nie, królewno. O wiele rzeczy bym cię podejrzewał, ale nie o podstęp.

– To przestań tak patrzeć – powiedziała stanowczo, podchodząc do łóżka i równie stanowczo siadając na ustawionym obok niego zydlu. – Co ci się znowu stało?

– Teraz? Trans, królewno. Urwał się dość gwałtownie, a ja do tego nie mam kondycji. No a wcześniej ktoś mnie przeciągnął po schodach. Biegiem.

– Oj, no bo... wiedziałam, że tak będzie lepiej.

Uśmiechnął się pod nosem.

– Owszem, było. Mówiłem ci, że masz talent.

– No. Szkoda, że nie do wizji.

Wzruszył ramionami. Wolał nie wracać do tematu specyfiki jej transów. Zazwyczaj kończyło się to dostawaniem w zęby, a Ren lubił swoje zęby i nie zamierzał ich wystawiać na kolejne próby.

– A ty nie jesteś głodny? – zapytała nagle. – Bo wiesz, śniadanie to było rano, a jest już noc.

Przewodnik rozważał to przez chwilę. Krótką.

– Jestem – przyznał.

– To czekaj, zaraz ci przyniosę.

Migna nie pamiętała, żeby kiedykolwiek ktoś spoglądał na nią z takim zachwytem. Uznała jednak, że to całkiem miłe uczucie.

Miłym uczuciem było też patrzenie, jak Przewodnik rzuca się na posiłek. Dostał to, co zostało z ich obiadu – smaczną, słoną zupę i pieczeń, do której dziewczyna kazała służącej dołożyć kilka pajd chleba. Do popicia miał wodę, w odróżnieniu od niej, Jorga i Hornaka, którzy raczyli się winem. Podobno dobrym, chociaż jakby pytać Mignę, to było za cierpkie. Nikt jednak nie pytał.

– Uwielbiam cię, królowno – stwierdził Przewodnik, kiedy już pochłoniął wszystko. Uśmiechnęła się lekko.

– To chyba dobrze... Słuchaj, ty naprawdę chcesz tu siedzieć?

Prychnął.

– Oczywiście, że nie chcę. Ale nie mam wyboru.

– Masz.

Ren zmrużył oczy.

– To nie jest wybór – odparł krótko.

– Oczywiście, że jest! – oburzyła się dziewczyna.

Wzruszył ramionami.

– Dobrze, zatem jest. W takim razie tak, naprawdę chcę tutaj siedzieć. To właśnie wybieram.

– Ale dlaczego?

– Czy myśmy już o tym nie rozmawiali? – W głosie Przewodnika pobrzmiwało wystudiowane znużenie, na które jednak Migna nie zwróciła uwagi.

– Ale za co ty nas tak nienawidzisz? – spytała.

Ren posłał jej spojrzenie człowieka, którego już nic nie zdziwi.

– No za co? – naciskała. – Przecież nas poznałeś i...

– Tak, poznałem – przerwał jej cierpko. – Uważasz, że miałem powody, by zmienić opinię?

– Podobno mnie uwielbiasz.

– Ty nie... Ty jesteś Widzącą. I nie jesteś z Diogorii.

Zacisnęła wargi i zmrużyła oczy, wyraźnie rozeźlona.

– To, że się tam nie urodziłam...

– Oczywiście – odparł z przekąsem. – Dla nich też na pewno tak to wygląda. Krew wcale nie liczy się dla nich bardziej niż dla jakiegokolwiek innego narodu. Ani to, że mają w niej rytuał, którego na tobie nikt nie odprawił.

– To nie jest tak! – krzyknęła. Ren zauważył, jak zaciska pięści.

– Żadna prawdziwa Diogorka nie zostanie Widzącą, prawda? A ty zostałam. Wnioski wysnuj sobie sama, nie powinno to przekraczać twoich możliwości.

– Wszystko jedno – prychnęła wściekle. – Oni mnie wzięli, kiedy nikt inny mnie nie chciał, zajęli się mną. Nie potrzebuję rytuału, żeby być jedną z nich. Krew to tylko krew.

– Krew to żywioł, królewno. Są takie sekty, które twierdzą, że najpotężniejszy. I zdają się mieć wiele racji.

Migna uznała, że nie podoba jej się to, co mówi Przewodnik. W ogóle jej się nie podoba – ani ta rozmowa, ani bezsilna wściekłość jarząca się w jego oczach, ani to, jak te oczy błyszczą w świetle świecy i dogasającego żaru w kominku.

Postanowiła więc zmienić front:

– Ren, my i tak zdusimy to powstanie, bez twojej pomocy może nam być tylko trudniej. A jak będzie nam trudniej, to pewnie zginie więcej twoich przyjaciół. Ta cała Ami na przykład...

– Powinnaś już iść – przerwał jej ostro. Oprócz wściekłości usłyszała w jego głosie obrzydzenie. – Powinnaś się również zastanowić, czy na pewno warto wykorzystywać więź w taki sposób.

Migna popatrzyła na niego osłupiała. Przecież sam mówił o Ami, kiedy w lesie obudził się po transie. Zachowywał się wtedy bardzo dziwnie, to prawda, ale przecież niemożliwe, żeby nie pamiętał!

– Jaką więź? Ty...

– Co, mówiłem przez sen? – zadrwił. – No cóż, to nad wykorzystywaniem tego też się zastanów.

– Ale...

Ren bardzo powoli rozprostował i zgiął palce, chyba w nadziei, że da to jakieś ujście rosnącej w jego trzewiach wściekłości. Ledwie nad sobą panował.

– Posłuchaj: wiem, że możesz nie rozumieć pewnych rzeczy. Nie masz dostępu do swojej przeszłości, mniejsza teraz o przyczyny. Daj spokój z tym spojrzeniem. W każdym razie myślę, że jesteś w stanie sobie wyobrazić, że nagle okazuje się, że ktoś go ma. Ktoś, komu takiego dostępu nie dawałaś. I macha ci nią przed nosem. To mniej więcej właśnie robisz. A teraz, jeśli pozwolisz, zakończymy rozmowę. Powinienem wypoczywać, jeśli chcesz przeżyć swój następny trans.

I Migna znów go zaskoczyła – wstała pośpiesznie i odeszła jak niepyszna.

*

Miała iść spać. Naprawdę zamierzała to zrobić.

Miała jednak również – odkąd pamiętała – problemy ze snem.

Nie chodziło nawet o koszmary, przychodzące każdej nocy i irytujące tym bardziej, że ich też nie pamiętała, co sprawiało, że czuła, jakby sen powiększał tę ziejącą w niej dziurę, na obrzeżach której usiłowała żyć.

Chodziło o to, że w żaden sposób nie mogła się uspokoić. Jakby coś ją blokowało, odgradzało od przestrzeni, którą miała w sobie i w której mogłaby znaleźć ukojenie, zmuszało do brodzenia w płytkim, mulistym bajorze niechęci i złości. Ale nie gniewu – Migna znała gniew i sięgał on głębiej, nic tak nie oczyszczało i nie uspokajało jak gniew właśnie, nic tak nie wygładzało poczucia niedopasowania i niemożności znalezienia sobie miejsca.

Wierciła się więc w łóżku, a kiedy i to zaczęło doprowadzać ją do szału – koszmarnego, ale też płytkiego, niepotrafiącego przebić się przez to, co odgradzało ją od niej samej – wstała.

„Odgradzającego od niej samej”. Oczywiście. Od początku, od jakichś trzech miesięcy – Ren powiedziałby jej dokładnie, od ilu dni – była od siebie odgradzona. Czego właściwie się spodziewała?

Z frustracją porwała z nocnej szafki cynowy kubek i cisnęła nim o ścianę. Siedząca na parapecie Tara – wypuszczona na polowanie jeszcze przed wjazdem do miasta zaczęła się tłuc do okna, kiedy tylko słońce zaszło – gruchnęła z urazą, ale nie licząc jej reakcji, nie dało to Mignie nic poza hałasem, który jednak raczej nikogo nie obudził – ściany i drzwi były

grube. Nie rozzłościła się ani trochę bardziej, a przecież wiedziała, że jest w niszczeniu coś takiego, co sprawia, że gniew, nawet jeśli go wcześniej nie było, budzi się, zaczyna tryskać czystym żywym strumieniem prosto z trzewi.

Podeszła do okna i pociągnęła za dźwignię, uruchamiając skomplikowany mechanizm. Wciągnęła w płuca czyste, zimne, nocne powietrze.

Wciąż nic.

Popatrzyła na gwiazdy, na miasto, przypominające spękaną pustynię – dachy, a pomiędzy nimi przerwy ulic, wszystko nieregularne i poszarpane – a potem rozzłoszczona rzuciła się na łóżko, najpierw twarzą do poduszki, by zaraz obrócić się na plecy.

To Ren, to była jego wina – tego głupiego Przewodnika! Tylko w zasadzie dlaczego? Dlaczego się w ogóle nim przejmowała? Nim, jego wściekłymi spojrzeniami, jego słowami, jego bólem i podkrążonymi oczami, jego przyjaciółmi?

Przeciągnęła dłońmi po włosach.

– Jestem obrzydliwa – mruknęła.

Tak, mniej więcej o to chodziło. Nie o te bzdury, które wygadywał – wiedziała przecież, że jest Diogorką i walczy dla Diogorii – lecz o to, co zrobiła.

Na żywioły, jak on się musiał czuć, zamknięty w tej celi, wysługujący się wrogom tylko po to, żeby nie zostawić jej samej w transie?

Teraz w ogóle nie potrafiła wściekać się na niego za to, że początkowo nie chciał się nią zająć. Myślała tylko o tym, jakie to paskudne i niesprawiedliwe, że on tak tam siedzi.

Kiedy wróciła do jego izby, spał – dość twardo, choć kiedy po dobrej chwili potrząsania udało jej się go obudzić, był całkiem przytomny. I niezbyt zachwycony.

– Na wszystkie żywioły, królewno, jest środek nocy. Powinnaś spać, a ja naprawdę nie mam...

Zamilkł zaskoczony, kiedy położyła palce na jego ustach.

– Przepraszam.

– Co.

– Przepraszam – powtórzyła i odstawiła świecę na zydel. – Chcę... chcę ci coś dać. – To rzekłszy, pospiesznie włożyła mu klucz w dłoń i zacisnęła na nim jego palce.

– Załóżmy, że nie śnię... – zaczął Ren.

– Nie śnisz.

– Właśnie to zakładałam – powtórzył cierpliwie. – Co ty wyprawiasz?

Powoli pokręciła głową.

– Nie wiem. – Po chwili milczenia dodała: – Nie mogę spać.

Ren uśmiechnął się tkliwie.

– Myślę, że mógłbym coś na to poradzić – mruknął, podnosząc się z posłania. – Chodź, idziemy do ciebie.

Gdy dotarli do jej komnaty, kazał jej się położyć i zamknąć oczy, potem zaś przyłożył ręce do jej twarzy, po obu stronach, i powoli masował najpierw skronie, a potem całą czaszkę.

Płytką, ciepłą, błotnistą sadzawką, w której Migna brodziła, nie mogąc się uspokoić, z każdą chwilą stawała się głębsza, uczucia coraz czystsze i pełniejsze, aż w końcu nadszedł spokój. A wraz z nim sen.

Koszmary pojawiły się i tak, jak każdej nocy, lecz z jakichś przyczyn, nie tak męczące jak do tej pory.

*

Kielich z winem – jak wszystko w pałacu namiestniczki – był najlepszej roboty. Lilia ze szkła i żelaza płonęła czerwienią, jakby ktoś ją zranił, niczym zaklęta w roślinę dziewczyna z legendy, którą Jorg słyszał w dzieciństwie.

Wino również było znakomite. Znakomita była także partia szachów, którą rozgrywali z Nuką w tle rozmowy. Niezobowiązująca, ale powiedziała Jorgowi wiele o jego byłej podwładnej i jej zmyśle taktycznym, który przez te lata najwyraźniej uległ rozwinięciu.

– Widząca zobaczyła w transie czarodziejkę – powiedział żołnierz, kiedy obowiązkowi niezobowiązującej pogawędki stało się zadość. – Będziemy potrzebowali dostępu do rejestru.

– Niestety nie będzie to możliwe – odparła ze spokojem namiestniczka, przedstawiając pionek. Następnie podniosła wzrok na mężczyznę i uśmiechnęła się lekko. – Nie mamy rejestru. W mieście nie ma magów. Byli, owszem, w czasie przebudowy pałacu i budowy garnizonu. Większość zmarła w trakcie, pozostałych rozesłano w inne miejsca. Nie chcą tu mieszkać. To zresztą nie jest dobre miejsce dla nich: zostawiłam tu dwoje i żadne nie pożyło długo.

– To znaczy, że masz w mieście renegatkę – stwierdził spokojnie mężczyzna. – Renegatkę szykującą powstanie.

– Albo będę miała, jeśli nic z tym nie zrobimy.

– Tak. Wizja miała wyprzedzenie dwóch dni, może więc czarodziejka dopiero ściągnie do miasta. Niemniej to na pewno ważna figura. I niebezpieczna – dodał, zbijając gońca skoczkiem.

– Dobrze, że w mieście jest krzykacz – odparła namiestniczka z kamienną twarzą. – Właśnie, czemu z tobą nie przyszedł?

– Nie sądziłem, że będziesz sobie życzyła go widzieć.

– Będę – odparła krótko, szachując jego króla. – Co proponujesz?

Jorg zapatrzył się z namysłem na szachownicę.

– Zaczniemy od tego, co mamy – stwierdził wreszcie, przedstawiając królową. – Od czarodziejek, które na pewno tu były, tych, które budowały pałac. Radziłbym też wyczulić straż na osoby wjeżdżające do miasta i uruchomić informatorów. Może się do czegoś przydadzą, jeśli będą wiedzieli kogo właściwie szukają.

– Dobrze – powiedziała namiestniczka, przesuwając jedyną pozostałą jej wieżę dokładnie tak, jak Jorg się spodziewał.

– Mam takie przecucie – mruknął, zbijając tę wieżę skoczkiem – które niezbyt dobrze nam wróży. Słyszałaś, że mieliśmy kiedyś w stolicy czarodziejkę?

– Byłam tam wtedy – przypomniała. – Byłam też dzieckiem, owszem, ale nie popełniaj tego błędu i nie zakładaj, że dzieci nic nie widzą i mają kiepską pamięć.

– Nigdy go nie popełniam – zapewnił poważnie, a potem uśmiechnął się lekko. – Po prostu odjąłem ci lat. W każdym razie pasowałaby do opisu podanego przez Widzącą. Tak mi się wydaje, widziałem ją może dwa razy, w przelocie.

– To byłoby faktycznie... niefortunne.

Skinął głową.

– Mira'nath, tak miała na imię. Nie pochodziła co prawda z Nauryi...

– To niewiele znaczy.

– Owszem. – Znów się uśmiechnął i przewrócił swojego zamatowanego króla. – Piękna gra, moja droga. Choć wolałbym wygrać.

Nie była to prawda – wygrałby, gdyby chciał. Ale nie miał takiego zamiaru. Choć tyle był jej winien.

– Nie zdziwisz się zapewne, jeśli powiem, że ja wolałabym, żebyś tego nie robił – odparła i podniosła się z miejsca. – Wydam odpowiednie rozkazy i dam ci znać, jak tylko będę coś wiedziała. Tymczasem niestety, obowiązki wzywają.

– Rozumiem. Dziękuję, Nuka.

– Nie ma za co – odparła namiestniczka, a potem uśmiechnęła się tajemniczo. – Chronisz przecież moje miasto.

*

Cela Rena znajdowała się na pierwszym poziomie wieży. Wiązało się to z dwiema rzeczami, o jednej z których Diogorczycy nie pomyśleli.

Pierwszą stanowił fakt, że było to najmniejsze z pomieszczeń w ich małej bazie. Zapewne dlatego właśnie umieszczono tam więźnia – malutka izba była najmniej prestiżowa, a Diogorczycy byli przywiązani do takich wyznaczników statusu społecznego, czy raczej, w tym wypadku, jego braku.

Druga polegała na tym, że Ren, jeśli się postarał, wiedział dokładnie, kto i kiedy przechodzi obok jego celi. A jeśli postarał się bardzo – słyszał nawet toczące się poziom niżej rozmowy. Ostatecznie klatka schodowa, znajdująca się tuż za szparą, do której zwykł przykładać ucho, była oddzielona od „salonu” tylko tą przekłętą diogorską kratą, która nie stanowiła dla dźwięku szczególnej przeszkody.

Rena bardzo to bawiło – bawił go każdy przejaw głupoty ze strony Diogorczyków. I cieszyło, ponieważ okazało się niezwykle przydatne.

Długo się zastanawiał, czy manewr z kluczem to nie jakaś intryga uknuta przez Jorga, ale ostatecznie doszedł do wniosku, że po pierwsze: nie byłoby to w stylu żołnierza, a po drugie: Migna, czego by jej nie próbowano wmówić, kompletnie się do intryg nie nadawała. Kiedy dawała mu klucz, robiła to szczerze, był tego pewien. I nie wyobrażał sobie, jak Jorg miałby sprawić, by oddałaby mu go z własnej woli.

Skoro więc dając mu klucz, miała czyste intencje, to musiało to prędzej czy później wyjść na jaw. Chyba że Ren jakoś by temu zaradził.

To właśnie planował zrobić.

Wiedział, że Jorga, Hornaka i Widzącej nie będzie przez kilka najbliższych godzin. Musiał tylko wydostać się z wieży, co nie było trudne, miała bowiem – jak wyjaśnił Jorgowi jeden z tutejszych strażników, odprowadzając ich na miejsce – wyjście bezpośrednie do miasta. Pokazał

nawet, jak to wyjście znaleźć. Nikt się przy tym nie przejmował obecnością Przewodnika – ignorowano go wręcz ostentacyjnie. Ren doskonale zdawał sobie sprawę, co chciano mu przez to powiedzieć, ostatecznie trochę znał tę nację. „Patrz sobie, poznawaj nasze sekrety, i tak nic ci to nie da”. I faktycznie, zanosilo się na to, że nie da – ale na szczęście Migna była bardzo, bardzo niezrównoważona.

Toteż wczesnym rankiem, dwa dni po przybyciu do Urty, Ren wyszedł na ulice swego rodzinnego miasta jako wolny człowiek. Udawał żebraka, bo ci zaludniali stolicę tak licznie jak dawniej.

No może nie zawsze aż tak licznych.

Urta nie była wesołym miastem, ale nigdy też nie była miastem bezbarwnym. Cienie były w niej ostre i czarne, wiatr zimny i przenikliwy, życie i śmierć – intensywne. Łatwo można było się tam zagubić, skrócić nie w tę uliczkę co trzeba, nie spodobać się Królowej i do domu już nie wrócić. Bez przyczyny – ot, z kaprysu ducha.

Toteż ludzie czerpali z życia, ile mogli, i często żyli podług własnych kaprysów. Butni i odważni, zwykli twierdzić, że skoro mają nad sobą Królową, to nie boją się już nikogo. Rona często zresztą nagradzała taką postawę.

Tak w każdym razie Ren zapamiętał Urtę. Diogorczycy zmienili jednak najwyraźniej nie tylko pałac.

Wiecznie zatłoczone uliczki stolicy były teraz ciche i pozbawione życia, ludzie wbijali wzrok w ziemię lub patrzyli tępo przed siebie. Twarze mieli pozbawione wyrazu i Renowi robiło się niedobrze, kiedy na nich patrzył.

Przecież Rona wróciła. Co im się stało?

Z drugiej strony – wróciła, ale wróciwszy, nie zmiażdżyła diogorskich witraży, nie wykoślawiła ich misternych mosteczków, nie obróciła w gruzy postawionych przez nich murów. Faktycznie, jeśli zaakceptowała najeźdźców...

...to i jej należało się postawić. Czasami to lubiła. Z pewnością ceniła wyżej niż bierne posłuszeństwo.

Oczywiście zdarzało się, że nieposłuszeństwo karała śmiercią, ale gdyby ktoś spytał Rena, usłyszałby, że warto ryzykować. Z drugiej strony, gdyby spojrzeć na jego wojenne losy, Ren nie był specjalistą od opłacalnych wyborów.

Tak czy inaczej rodowici mieszkańcy Urty zdecydowanie go rozczarowali. Nierodowici zresztą też – wśród tych szarych sylwetek z pewnością było wielu przyjezdnych.

Najbardziej wyróżniali się Diogorczycy. Och, ci nie byli szarzy ani przygnębieni!

Byli wysocy, piękni, pewni siebie i wybitnie działali Renowi na nerwy. Byli również – w związku ze swoją pewnością siebie i tą przekłątą tendencją do okazywania podbitym swojej wyższości – wybitnie nieostrożni. A to akurat bardzo ułatwiało mu zadanie.

Kilka lat wcześniej taki wyniosły Diogorczyk z czarną aksamitną sakiewką na wierzchu rozstałby się z pieniędzmi, nim zdołałby powiedzieć: „Królowo, nie płacz mych ścieżek”. I pewnie o tym wiedział. Dlatego nosił ją na wierzchu. To było jak pokazywanie tajnych wyjść w obecności więźnia: „patrz, jak bardzo się z tobą nie liczę”.

„Ależ proszę bardzo – pomyślał Ren, obserwując smukłego mężczyznę. – Nie licz się, nie licz się na zdrowie”.

A jednak nie od razu sięgnął po mieszek. Nie było to rozsądne, ponieważ z każdą chwilą zwłoki serce zaczynało bić mu coraz mocniej, aż do drżenia rąk. Gdyby się nie udało...

Ale jakie miał wyjście? Jaka perspektywa rozciągała się przed nim, gdyby jednak nie zdobył tych pieniędzy?

Przecisnął się więc przez bezwolny tłum i ruszył krok w krok za Diogorczykiem, a kiedy mijali jedną z przecznic, pociągnął za wiązanie sakiewki.

Puściła od razu, bezgłośnie spadła w jego dłoń. Natychmiast skrzył w uliczkę, posyłając szeroki uśmiech jakiemuś wpatrującemu się w niego z osłupieniem dzieciakowi.

Królowej spodobało się to, co zrobił. Nie miał w tej kwestii żadnych wątpliwości, bo ledwie uszedł parę kroków, ledwie skrzył w kolejną uliczkę, znalazł się dokładnie tam, gdzie chciał dojść.

Kuźnia Bewa, odkąd Przewodnik pamiętał, była jednym z najbardziej zaniedbanych budynków w Urcie. Krzywa, niska i długa, z brudnymi oknami, z reguły i tak zamkniętymi na głucho, z dachem, który wyglądał, jakby miał się zapaść przy pierwszej większej burzy, absolutnie nie wzbudzała zaufania i nie zachęcała, by się do niej zbliżyć – podobnie zresztą jak jej właściciel, potężnie zbudowany, wiecznie niezadowolony gbur, który był jednak przy tym najlepszym kowalem i ślusarzem

w mieście. Oraz przyjacielem i dłużnikiem Rena, toteż Przewodnik śmiało skierował kroki w stronę odpychającego budynku.

Z wnętrza dochodziły odgłosy kucia. Ponieważ Bew nie znosił, gdy mu przeszkadzano w robocie, Ren wślizgnął się do środka... i zamarł, uderzony znienacka falą dźwięków, które z kuciem nie miały nic wspólnego – za to wiele wspólnego z ludzkim, skrzekliwym głosem.

– A dokąd, obszarpańcu?! Ile razy mam wam powtarzać, nic wam nie dam, wstydu nie macie, od starowinki żebrać?! Wynocha stąd, bo pogrzebaczem pogonię!

Ren przetarł oczy, już załzawione od dymu i rozejrzał się oszołomiony. Wreszcie wyłowił z mroku niedużą, przysadzistą postać zakutaną w szmaty.

– Kim jesteście, babko? – wydusił. – Nie przyszedłem żebrać, przyszedłem z zamówieniem do właściciela kuźni.

Starowinka – która chyba naprawdę zamierzała przygrzmocić mu pogrzebaczem – zastygła, przekrzywiwszy głowę.

– No to bym była ja – rzuciła już spokojniej, ale jej tonowi daleko było do przyjacielskiego. – A ty coś za jeden? Chodź no tu. – Zaskakująco szybkim ruchem złapała go za koszulę, przyciągnęła do siebie i popchnęła w stronę paleniska.

Nie włożyła w to co prawda szczególnie wielkiej siły, ale też nie trzeba było wielkiej siły, żeby przepchnąć wychudzonego Przewodnika z jednego miejsca na drugie. Ren zmarszczył brwi. Coś było nie tak, ale nim zdołał ocenić, co takiego, kobieta upuściła pogrzebacz.

– Ren? – spytała. Jej głos brzmiał teraz ciszej i mniej skrzekliwie. – Ren Cudotwórca? Och! – Nagle uwiesiła mu się na szyi, tak że chusta spadała jej z głowy na ramiona, odsłaniając złote włosy. – Och, na żywioły! To naprawdę ty? Do Este Vierde jeszcze daleko, więc nie jesteś duchem... Co ci się stało? Co tu robisz? Długo jesteś w stolicy?

Wreszcie go puściła go – całe szczęście, bo gdyby jeszcze chwilę na nim powisała, toby nie ustał.

– Nya'diel? – zapytał niepewnie. – Co ty tu robisz?

Dziewczyzna – która teraz, nie garbiąc się i bez chusty zasłaniającej włosy i sporą część twarzy, wyglądała na kilkanaście lat i tak naprawdę pod tymi wszystkimi szmatami była bardzo drobna – uśmiechnęła się ładnie.

– Kuźnię prowadzę, nie widać?

Ren po raz ostatni rozmawiał z Nya'diel pięć lat wcześniej. Była wtedy wesołą jedenastolatką o kościstych łokciach i kolanach. Była też

jedenastolatką po bardzo długiej podróży – przyjechała w odwiedziny do ojca z Akademii Magicznej w Avii. Jej oczy wciąż były zupełnie normalne, nie przejrzyste, coś po drodze musiało więc pójść nie tak. No cóż, zdarzały się i takie wypadki.

Niemniej przez te pięć lat Nya'diel zdążyła zmienić się w młodą kobietę, która poza złotymi włosami zaplecionymi w niechlujny warkocz niewiele miała wspólnego z ojcem. W każdym razie z wyglądu, bo z charakteru, odkąd Ren pamiętał, była córeczką tatusia.

– Sama prowadzisz interes? – zapytał poważnie. Nya, tak jak się spodziewał, również spoważniała.

– Sama – potwierdziła. – Będą już dwa lata.

– Wojna?

Skinęła głową.

– Przykro mi.

– Mnie bardziej – stwierdziła sucho. – Chodź, siadaj. – Niedbałym gestem wskazała ławę i sama zajęła miejsce przy stole zavalonym żelastwem.

– Jak to zrobiłaś? To znaczy, jak przejęłaś kuźnię?

Wzruszyła ramionami.

– Jest moja, nie? A żyć z czegoś musiałam. Zaczęłam po prostu sprzedawać rzeczy. Na początku mówiłam, że zostały jeszcze po tacie, a potem wszyscy przestali pytać.

– Ale przecież ty nie umiesz kuć.

Nya rozejrzała się po pomieszczeniu zavalonym obręczami, podkowami, kratami i innym żelastwem.

– Nie – przyznała ze stoickim spokojem. – Pewnie nie.

Przewodnik zaśmiał się cicho.

– Dobrze, nie drażę. Pewnie masz to we krwi. A gdzie zgubiłaś siostrę?

– Została w szkole. Niedługo ją skończy, w tym roku, może w przyszłym. Ale pewnie w tym, zawsze była dobra. To co ci się stało?

Tym razem to on wzruszył ramionami.

– Wojna. I właściwie...

– ...to masz sprawę – uśmiechnęła się lekko. – No dalej, mów, o co chodzi.

Ren sięgnął po zawieszony na szyi klucz i podał dziewczynie.

– Potrzebuję kopii – oznajmił.

Nya'diel jakby go nie słuchała – przypatrywała się trzymanemu w dłoni przedmiotowi z najwyższą uwagą. Przekrzywiła lekko głowę, wstała i nie odrywając od niego wzroku, podeszła do półki pod ścianą. Na oślep wzięła z niej dziwaczną, wyposażoną w mnóstwo luster i dwa kryształ lampkę i wróciła do stołu. Zapaliła lampkę i jeszcze przez chwilę przyglądała się kluczowi. Wreszcie podniosła wzrok na Przewodnika.

– Popierdoliło cię? – zapytała spokojnie. – Chcesz mnie zabić?

Mężczyzna pokręcił głową.

– To znaczy tak, popierdoliło już dawno – poprawił się. – Ale nie, nie chcę cię zabić.

– A mnie się wydaje, że jednak chcesz – odparła. – Co ty myślisz, że nie poznam diogorskiego klucza, jak go zobaczę? Do tego takiego z zamku? – syknęła wściekle, ale dużo ciszej niż wcześniej.

– Nya...

– Za takie rzeczy się umiera, Ren. Tęsknię za tatą, ale nie aż tak. Nawet cholerni partyzanci są na tyle mądrzy, że nie przychodzą mnie namawiać, żebym robiła im broń, bo wiedzą, że nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

– Posłuchaj...

– Nie będę cię słuchać. Pokaż ten mieszek.

– Jaki...?

– No przecież widzę, że go chowasz. Lepiej dla ciebie, żeby tam było dużo złota.

Ren wyciągnął sakiewkę i położył na stole. Nya'diel uważnie się jej przyjrzała. Przeniosła wzrok na Przewodnika, potem znów na przedmiot. Odetchnęła głęboko i ukryła twarz w dłoniach.

– Ren Cudotwórca, jak mamę kocham, Ren Idiota raczej. Na żywioły. – Oderwała dłoń od twarzy i sięgnęła po woreczek. Zważyła go w dłoni, uniosła głowę. Zaskoczenie w jej oczach szybko ustąpiło miejsca powadze.

– Jak ważne to jest?

– Sprawa życia i śmierci. Nie tylko mojej.

Pokiwała głową.

– Nie ruszyłoby mnie to – stwierdziła – ale pamiętam o swoich długach. – Uśmiechnęła się lekko. – Tata zawsze mówił, że o długach trzeba pamiętać lepiej niż o przychodach. Więc ja go teraz spłacę, Ren, i będziemy kwita.

Na żywioły. Gdzie się podziała ta rozszczebiotana dziewczynka, którą pamiętał? Której ślady widział jeszcze przed chwilą w młodej kobiecie,

chowającej teraz mieszek w kieszeni fartucha?

Westchnął w duchu. Miał nadzieję, że zostawi część pieniędzy na ewentualne dalsze operacje, ale nic z tego. Nya była nieodrodną córką Bewa. Skoro już miała złoto w garści, nie było szans, by je wypuściła.

– Tata nie potrafiłby tego zrobić.

– Nya’diel, ja naprawdę nie mam więcej. I złodziej ze mnie żaden, wiesz przecież, chowałem się w Zakonie.

– Nie, ja mówię poważnie. Tata by nie potrafił. I mam nadzieję, że umiesz dochować tajemnicy, Cudotwórco. I naprawdę, gdyby nie to, że nas wyratowałeś z tamtej gorączki, to i pięćdziesiąt sakiewek by ci nie pomogło.

To rzekłszy, zamknęła klucz w dłoni i podeszła do sterty żelastwa. Wybrała stamtąd podkowę, po czym przykucnęła przy palenisku. Zapatrzyła się w płomienie, których blask wyglądał jej uparte, zmęczone rysy. Wyciągnęła przed siebie ręce, jedną z kluczem, drugą z podkową, przymknęła oczy, nabrała tchu i zaczęła śpiewać.

Jej głos przestał być młody i piskliwy – głębokie, czyste dźwięki nie miały wieku. Ren poczuł, że ogarnia go spokój, którego nie zaznał od tak dawna, że zapomniał, że w ogóle istnieje. Jego myśli powędrowały ku górskim szczytom, zaraz potem do ich korzeni, do uwięzionych pod ziemią żył metalu, i jeszcze niżej, w ogień, który spletał się z nimi w przedziwny sposób, tworząc coś zupełnie nowego.

Nim Przewodnik zdążył wziąć kolejny oddech, nim zdążył się zanurzyć w zachwycie, dźwięki umilkły. Nya podniosła się ciężko sprzed kominka, o wiele bledsza niż chwilę wcześniej, z twarzą błyszczącą od potu.

Ren wciągnął głośno powietrze. Czuł się, jakby żołądek rozpychała mu bryła lodu.

Nic poszło nie tak w Akademii – nikt nie odebrał jej mocy. Była czarodziejką. Przed ukończeniem nauki, pozbawioną nadzoru, za to żyjącą w mieście królowej, mieście, w którym miało wybuchnąć powstanie. Do tego Ren właśnie poznał jej tajemnicę.

– Trudna rzecz – wymamrotała. – Są naprawdę dobrzy.

Podeszła do Przewodnika i położyła przed nim dwa klucze. Były nie do odróżnienia. Popchnęła jeden w jego stronę.

– To kopia – mruknęła.

Mężczyzna skinął, patrząc na nią z obawą.

– Nya...

– Panuję nad sobą.

Pokręcił głową.

– Nikt nie panuje nad sobą przez cały czas.

– Zdziwiłbyś się. Zresztą nie muszę panować przez cały czas. Jeszcze tylko rok, może dwa lata.

– I co potem?

– Potem moja siostra pewnie zostanie Mistrzynią. Jakoś to załatwi.

– Jesteś pewna?

– Cóż, ma wobec mnie cholerny dług... choć jeszcze o tym nie wie. Wiesz, jakie chesne pobiera Akademia? I kastrują z mocy każdą, która nie może sobie pozwolić na jego zapłatę. Bez litości, bez względu na talent.

– Nie szukają cię?

– W Diogorii?

Zacisnął zęby.

– To nie jest Diogoria.

– W podbitej przez Diogorię Nauryi. – Nya'diel przewróciła oczami. – Nie, nie szukają, nie są głupie. Zresztą myślą, że zginęłam po drodze. Tia nie ryzykuje podróży, wysłała za to do taty bardzo wzruszający list o moim losie – uśmiechnęła się lekko. – Nawet nad nim płakała.

– Tak czy inaczej, to jest niebezpieczne.

Nya machnęła ręką w geście wyrażającym raczej zniecierpliwienie niż lekceważenie.

– Życie jest niebezpieczne! – zawołała. – I gdyby nie to, nie dostałbyś tego swojego skopiowanego klucza, więc może przestań smęcić i idź sobie, bo jeszcze stracę panowanie nad sobą i w coś cię zaśpiewam!

Uniósł dłonie pojednawczo. Nie chciał jej denerwować. Denerwowanie jej byłoby niezwykle nierozsądne.

– Przepraszam.

– Świetnie. A teraz idź. Wiesz przecież, jak to jest ze słuchaniem czarów: minęło więcej czasu, niż myślisz.

Ren zmarszczył brwi i sprawdził.

Bite dwie godziny.

– Och, na żywioły. – Podniósł się z ławy. – Dziękuję, Nya'diel. – Wiedziony impulsem pochylił się i mocno ją objął. Zesztywniała zaskoczona, lecz zaraz odwzajemniła uścisk.

– Powodzenia, Ren. Zapomnij o mnie.

– Powodzenia. Postaram się.

Wcale nie był pewien, czy powinien o niej zapomnieć.

Rozdział X

Zakon

Gabinet toja w Urcie nie był przyjemnym miejscem, toj zaś nie był przyjemnym człowiekiem. Takie przynajmniej wrażenie odniosła Migna, rozglądając się po pomieszczeniu i przypatrując mężczyźnie. Być może miało to związek z jej paskudnym humorem, z rozterkami, które dręczyły ją, odkąd się obudziła i przypomniała sobie, co zrobiła, ale Widząca nie byłaby sobą, gdyby brała pod uwagę taką możliwość. Skoro pomieszczenie i toj wydawali się jej nieprzyjemni, to właśnie tacy byli. I zasługiwali na nieprzyjemne traktowanie.

Dziewczyna obrzuciła więc mężczyznę wrogim spojrzeniem, skrzyżowała ręce na piersi i szybko powiedziała, czego potrzebuje. Urtyczyk uniósł cienkie brwi i spojrzał na nią z czymś w rodzaju beznamietnego zdziwienia. Podał cenę.

– Coś powiedział?! – spytała oburzona.

– Jeśli potrzebujecie czegoś na uszy, panienko, to mogę was skierować do świetnego medyka. Szkolony u Przewodników.

– Nie potrzebuję nic na uszy, ty za to potrzebujesz czegoś na głowę. Sto odii?!

– To nie jest łatwa rzecz. Więc nie jest też tania.

– Nie jest warta więcej niż pięćdziesiąt.

Mężczyzna popatrzył na nią, znów beznamietnie, ale tym razem bez zdziwienia, jakby ją po prostu oceniał. Wreszcie wzruszył ramionami, odwrócił się i ruszył w kierunku zaplecza.

– E! Dokąd? – krzyknęła za nim.

Nie zatrzymał się od razu, zrobił jeszcze jeden krok, dopiero potem spojrzał z powrotem na dziewczynę.

– Wydawało mi się, że skończyliśmy.

Wydała z siebie pełen dezaprobaty pomruk.

– Czekaj.

– Na co? Nie dojdziemy przecież do porozumienia.

– Czekaj, powiedziałam – odparła z irytacją, sięgając za pazuchę. Po chwili w jej dłoniach pojawiło się niewielkie skórzane zawiniątko. Zerknęła

na toja, przygarbiła się, odwróciła do niego bokiem i dopiero wtedy, zakrywając dłonie kurtyną czarnych, poskręcanych w sprężyny włosów, rozwinęła skórę. Przez moment przypatrywała się temu, co leżało na jej otwartej dłoni, by wreszcie wybrać z niej coś i zacisnąć w pięść. Odwróciła się do blatu i położyła na nim niewielką zielonkawą grudkę.

Toj z wyraźnym wysiłkiem powstrzymał się przed rzuceniem na bryłkę. Zamiast tego spokojnie uniósł ją, przyjrzał się jej pod światło, zmrużył oczy, podsunął ją sobie pod nos.

– Poczekajcie chwilę, pani – powiedział i, tym razem zupełnie nieostentacyjnie, udał się na zaplecze.

Nie było go na tyle długo, że Migna zaczęła się nudzić, rozważała nawet, czy nie udać się w ślad za nim. Przecież jeśli sprawdzał czy minerał jest prawdziwy, to należało mu dać w zęby. Tak jej nie wierzyć!

Zwłaszcza że wzięła go ze źródła, z Zielonego Kamieniołomu, jedyne miejsce na świecie, gdzie wydobywano trycyt, minerał o – wiedziała to nawet ona – niezwykle właściwościach alchemicznych.

Niesłuchanie drogi minerał.

Oczywiście mężczyzna nie mógł wiedzieć, skąd wzięła kamień – tak naprawdę nikt nawet nie domyślał się, że go ma, sama nie rozumiała, co nią powodowało, kiedy zwiedzając górski kompleks, podwędziła kilka grudek.

No dobrze, rozumiała. Ale nie lubiła o tym myśleć, bo owładnęło ją w tamtym momencie przecucie tak silne, że prawie odbierające wolę. Tak czy inaczej minerał był najwyższej jakości, nie przeszedł przez kupców, którzy mogliby go jakoś zanieczyścić.

Nie, to było nie do zniesienia, chyba zebrało mu się na kpiny, jeśli myślał, że ona będzie tak po prostu czekać.

Wrócił dokładnie w chwili, w której Widząca ruszyła energicznym krokiem w stronę zaplecza. Zmierzył ją beznamiętnym spojrzeniem wodnistych, zielonych oczu. Cofnęła się za blat.

– Obawiam się, pani, że ta grudka waży odrobinę za mało – rzekł, kiedy już znalazła się tam, gdzie wedle niego powinien znajdować się każdy klient. – Gdybym jednak dostał drugą, podobną...

Tym razem to Migna zmierzyła mężczyznę beznamiętnym spojrzeniem. Całą jego chudą, przygarbioną sylwetkę, a w każdym razie to, co wystawało zza blatu – od wielkich dłoni do głowy, twarzy o krzywym nosie i niezdrowo bladej cerze.

Westchnęła, oparła się o blat, po czym przesadziła go jednym sprężystym susem. Chwyciła mężczyznę za koszulę, uniosła lekko i przyparła do ściany. Spojrzała na niego niemal ze współczuciem.

Bardzo gniewnym współczuciem.

– Coś powiedział? – zapytała uprzejmie.

Mężczyzna nie był głupi.

To znaczy, był, bo nie miał w sklepie ochrony, lecz poza tym musiał mieć w sobie jakąś bystrość – inaczej nie zostałby tojem.

– Powiedziałem, pani – zaczął niepewnie – że za chwileczkę przyniosę towar z zaplecza.

Widząca uśmiechnęła się jednym z tych uprzejmych uśmiechów, których, raz zobaczonych, nie chce się widzieć już nigdy więcej.

– Świetnie – odparła, puszczając mężczyznę. – To ja tutaj poczekam – dodała, lekko przeskakując blat.

– Doskonale – stwierdził sucho toj, kierując się z powrotem na zaplecze.

– Pieprzony naciągacz – mruknęła Migna, na tyle głośno, żeby dotarło do jego uszu. Nie byłoby zabawy, gdyby nie usłyszał.

Tym razem nieobecność mężczyzny trwała o wiele krócej, a gdy wrócił, trzymał w dłoniach sporej wielkości szkatułkę z ciemnego, lakierowanego drewna. Prócz niewielkiego zawijasa w prawym dolnym rogu nie było na niej żadnych zdobień.

– Macie słuch, pani? – zapytał. – To może być przydatne.

– Mam, mam – mruknęła niecierpliwie.

– Doskonale – stwierdził, po czym z pietyzmem otworzył szkatułkę.

Okazało się, że zafra pachnie czymś ciężkim i przyjemnie drażniącym. Różami? Migna nie była pewna, lecz to właśnie z nimi skojarzył jej się zapach.

W wyłożonym czerwonym materiałem pudełeczku była tylko jedna przegródka. Leżał w niej kryształowy flakonik w kształcie łyzy, wypełniony przezroczystym płynem i wyposażony w wymyślną ozdobną zakrętkę. Prócz płynu w naczyniu znajdował się cienki pręcik zakończony pętlą. Gdy toj długimi, zaskakująco zręcznymi palcami wyciągnął flakonik i go odkręcił – zapach stał się lżejszy, jakby deszczowy – okazało się, że pręcik jest częścią ozdobnego zamknięcia.

– Płynem nacieracie, pani, przedmiot, o który chodzi. Warto to powtarzać co jakiś czas, raz na miesiąc najmniej. Gdy chcecie śledzić jego najbliższe otoczenie, bierzecie zakrętkę, moczycie w płynie – mówiąc prezentował

odpowiednie czynności – tak żeby, widzicie, tu, w pętli, trochę się go zebrało.

Gdy Migna skinęła głową na znak, że rozumie, mężczyzna zakręcił flakonik i ostrożnie, niemal z czułością, odłożył na miejsce.

– Potem nakręćcie, o tutaj. – Wskazał na niewielki, srebrny kluczyk wmontowany w skrzyneczkę. Widząca początkowo w ogóle go nie zauważyła. – Kiedy skończycie, zagra melodia. Musicie wtedy tylko dmuchnąć w pętlę, tak by z płynu powstała sfera. Wewnątrz niej widać będzie najbliższe otoczenie przedmiotu. Jeśli jednak chcecie zobaczyć coś z przeszłości, musicie najpierw zaśpiewać z kiedy. Słowa są ważne, wola jest ważna, trzeba się skupić. I melodia, pani, im bardziej podobna, tym lepiej. Potem trzeba to zagwizdać, wypuszczając sferę, i wtedy pokaże się obraz z przeszłości.

Migna skinęła głową.

– Ach – ciągnął toj – no i jeśli chodzi o Diogorczyków, to posiadane przez nich przedmioty, zwłaszcza takie, które często noszą przy sobie, trzeba nacierać częściej, najlepiej codziennie. Kontakt z ciałem sprawia, że rzeczy tracą magiczne właściwości.

– Wiem – mruknęła Migna odruchowo. Nie miała pojęcia, skąd wie.

– W takim razie to wszystko – stwierdził mężczyzna, zamykając szkatułkę. Schował ją do worka z delikatnej ciemnozielonej tkaniny i podał Mignie. Ta włożyła przedmiot do sakwy, z dbałością o wiele mniejszą od tej, którą wykazywał się toj. Mężczyzna skrzywił się, Widząca niewiele jednak sobie z tego zrobiła. Znow sięgnęła za pazuchę, z drwiną patrząc mężczyźnie prosto w oczy. Po chwili położyła na kontuarze kolejną zielonkawą grudkę.

– Nie było mnie tutaj – oznajmiła.

Mężczyzna nieznacznie skinął i smukłą dłonią zgarnął trycyt z blatu. Migna uśmiechnęła się oschle na pożegnanie i wyszła.

Kiedy zamykała za sobą drzwi, na ulicy zerwał się wiatr, niosąc woń deszczu i burzy. Rozejrzała się, nieco zaskoczona – gdy wchodziła, był słoneczny dzień, na ulicy zaś kręciło się mnóstwo ludzi. Teraz nagle zrobiło się pusto, a niebo zasnuły ciężkie chmury.

Widząca uśmiechnęła się szeroko i zeskoczyła ze schodków prowadzących do drzwi toja na bruk. To się nie zgadzało, ulica, którą tu dotarła nie była brukowana, lecz kobieta nie zwróciła na to większej uwagi.

Przecież zbierało się na burzę. W Mignie pojawiło się przeświadczenie, że uwielbia burze. Od dziecka.

Zadarła głowę i okręciła się wokół własnej osi. Niebo było jeszcze stosunkowo jasne – chmury wisiały nisko, ale wydawały się niemal perłowo białe w porównaniu z tymi, które gnane wiatrem pędziły od strony zamku. Widząca zamarła w zachwycie.

Stała akurat na jakimś wzniesieniu, widziała więc dokładnie ścianę deszczu zmierzającą w jej stronę pod granatowymi, skłębionymi potworami. Bezwiednie rozłożyła ręce, rozczapierzyła palce i odchyliła głowę, wciągając w nozdrza powietrze, którego zapach nie mógł się równać z niczym i które uderzało do głowy bardziej niż alkohol.

– Chodź – szepnęła. – No chodź.

Wewnętrzna strona powiek rozbłysła czerwienią.

Raz.

Dwa.

Trzy.

Cztery.

Zagrzmiało. Widząca uśmiechnęła się drapieźnie.

– Dobrze – szepnęła. – Pokaż, co potrafisz.

Gwałtownym ruchem sięgnęła do włosów i szarpnięciem zerwała rzemień, którym zwykła je przewiązywać. Spojrzała na biegnącą w dół ulicę, na panoramę miasta, którą widziała, choć przecież kiedy szła do zakładu toja, wcale nie musiała wchodzić pod górę.

Pierwsza ciężka kropla spadła na jej policzek. Druga na ramię. Kilka rozprysło się na bruku przed nią. Zaraz o ziemię pacnęły dwie białe kulki.

Grad.

Zaśmiała się, radośnie i głęboko. Deszcz przybrał na sile i wkrótce krople przestały być kroplami – niebo zaczęło pluć strugami wody. Zagrzmiało raz jeszcze. Migna krzyknęła i puściła się biegiem w dół ulicy, śmiejąc się głośno. Ani razu nie poślizgnęła się na mokrych kamieniach.

U stóp wzgórza, na środku wciąż pustej ulicy, okręciła się tanecznie, nie zwracając uwagi na grad uderzający ją w twarz i ramiona, a potem błyskawicznie zerwała buty ze stóp. Popędziła dalej, z impetem wskakując w kałuże.

Czasem przystawała, by spojrzeć w niebo, kłębiasty granat rozcinany świetlistymi żyłami, i było tak, jakby błyskawice ryły wzory w jej oczach i umyśle. Wiedziała, że zawsze już będzie podążała ich ścieżkami.

Burza ją wypełniała, wiatr napędzał i przez jakiś czas nie istniał czas ani żadna materialna rzecz. Tylko przemoczona, przeszcześnie kobieta i żywioł chłuszczący miasto Królowej.

Potem czas wrócił.

Nie zauważyła, kiedy to się stało – ot, w pewnym momencie zorientowała się, że ma przecucie przyszłego żalu. Potem odniosła wrażenie, że deszcz słabnie.

Przeraziła się i przyspieszyła, chcąc dogonić środek burzy, zatrzymać i ją, i towarzyszące jej uczucie.

Jednak żaden bieg nie zatrzyma tego, co się rozwiewa. Migna odkryła to na szczycie białych spiralnych schodów z jasnego marmuru, które urywały się w powietrzu, strzaskane i okaleczone. Stała na ostatnim stopniu i w pierwszych promieniach prześwitującego przez chmury słońca próbowała dostrzec choć ślad ściganej do niedawna burzy.

Wreszcie usiadła, spuściła w dół bose stopy i zapłakała z żalu, zżymając się trochę, bo to przecież było głupie.

Kiedy wreszcie się uspokoiła i wstała, zamierzając zejść, niemal spadła.

U stóp schodów stał nieruchomo wysoki starzec. Migna mogłaby przysiąc, że mężczyzna nie ma oczu, tylko puste oczodoły – równocześnie wyraźnie czuła na sobie jego wzrok.

Stali tak przez dłuższą chwilę – czarnoskóra młoda kobieta na górze, szary starzec na dole. Między nimi rozciągały się zniszczone białe schody. Migna poczuła, że ma ochotę się cofnąć, położyła więc ręce na rękojeściach noży i zeskoczyła na dół, lądując dwa kroki przed nieznajomym. Nie zamierzała przecież uciekać przed jakimś urtyjskim staruchem.

Nie drgnął nawet, ale przynajmniej się przekonała, że faktycznie miał oczy – czarne i świdrujące, skryte w gęstwinie splątanych siwych włosów. I te włosy i broda starca kojarzyły się Mignie z kłębowiskiem pajęczyn. Nawet mimo tej mierzwy zdołała dostrzec, że twarz miał wychudzoną i jakby zaszuszoną.

– Coś za jeden? – burknęła Widząca, spoglądając na niego spode łba. – I co się gapisz?

Wciąż stał nieruchomo i wciąż na nią patrzył, lecz jego spojrzenie z nieprzyjemnie świdrującego stało się nieprzyjemnie chłodne i obojętne. Schylił się, postawił coś na ziemi, po czym wyminął Mignę i ruszył przed siebie. Było w jego sylwetce i w ruchach coś, co sprawiało, że dziewczyna spodziewała się usłyszeć ciche klekotanie kości. Oderwała od niego wzrok

i zerknęła na ziemię. Stały tam jej buty. Skrzywiła się i schyliła, by po nie sięgnąć.

– Dzięki – zawołała za mężczyzną.

Ku jej zdumieniu zatrzymał się, odwrócił i skinął oszczędnie głową. Stał, wpatrując się w nią z nieprzeniknioną miną. Migna rozejrzała się wokół, po raz pierwszy świadomie rejestrując otoczenie. Byli w samym środku ogromnej ruiny – ruiny czegoś niegdyś wielkiego i zapewne pięknego, zbudowanego z dużej ilości białego kamienia i wyposażonego w okrągłe pomieszczenie ze spiralnymi marmurowymi schodami, pod którymi właśnie stała. Czymkolwiek to kiedyś było, zupełnie nie przypominało ani ponurych, ciemnych i ciasnych budynków Urty, ani też smukłych, zimnych budowli, które znała z Diogorii.

Z powrotem skupiła spojrzenie na mężczyźnie.

– Co to za miejsce?

Tym razem się odezwał. Głos miał głęboki, chrapliwy, niepokojący.

– Siedziba Zakonu Przewodników.

Otworzyła szerzej oczy i obróciła się wokół własnej osi.

– Tu... tutaj? – wyjąkała.

Znow przyjrzał jej się uważnie, po czym skinął głową.

– Tu było wejście do wieży. Oglądano z niej gwiazdy. Kilka par badało korelacje między ciałami niebieskimi a przewidywanymi wydarzeniami, inni po prostu badali zmiany na niebie – poinformował, po czym ruszył w lewo.

Poszła za nim i ciekawa innych pomieszczeń wkrótce go wyprzedziła, lecz zatrzymał ją niemal od razu.

– Tu była ściana – powiedział. – Idź tędy. – Wyciągnął rękę przed siebie, wskazując wyrwę, gdzie niegdyś musiały znajdować się drzwi. – Tam mieszkali dzieci. Szkoleni na Przewodników chłopcy, najmłodsi spośród nich.

Migna czuła się jak zahipnotyzowana. Niewiele wiedziała o Widzeniu – Ren twierdził, że powinna wiedzieć więcej, że jest w Widzących zasób wiedzy, do którego w naturalny sposób uzyskują dostęp, lecz że u niej przebiega to inaczej prawdopodobnie ze względu na problemy z pamięcią. Nie rozumiała, dlaczego zdaniem Przewodnika – i chyba Jorga – to tłumaczenie powinno ją uspokoić. Zresztą nawet ta wiedza, którą podobno powinna mieć, nie dałaby jej tego, co dawał Derek – informacji o tym, jak

wyglądało Widzenie, nim Diogoria unicestwiła Zakon. Ren nigdy o tym nie mówił.

Słuchała więc tego dziwnego starca uważnie, starając się wyobrazić sobie cokolwiek na temat życia w Zakonie przed kilku laty.

Kilka lat. Przemierzając białe ruiny, czuła się, jakby stąpała po kościach martwego od wieków stworzenia. A przecież, jak na budynek, był to świeży trup. Nawet jeszcze dobrze nie ostygł.

– Wirydarz – oznajmił starzec, przeprowadziwszy ją kolejno przez zrujnowane pomieszczenia. Kiedyś, jak dowiedziała się po drodze, te ruiny pełniły funkcję kuchni, jadalni, sal przeznaczonych do medytacji i odbywania transów, sypialni chłopców, sal szkolnych, laboratoriów, biblioteki, gabinetów przyjęć i holu. – Jedyne w mieście, królowa nie kocha roślin. Ale potrzebowaliśmy miejsca, by hodować zioła i odpoczywać, pozwoliła nam więc go zatrzymać.

Kiedyś zapewne było to piękne miejsce. Dwa szpalery drzew dawały pewnie przyjemny cień, długi basen pośrodku pozwalał się odświeżyć i ukoić zmysły. Trawa nawet teraz była oszałamiająco zielona, zapach ziół nie był drażniący, niemalże odprężał.

Niemalże – z drzew zostały bowiem nadpalone kikuty, przypominające połamane żebra, zbiornik zaś był brudny i wody było w nim mniej więcej po kostki, a i to chyba jedynie dzięki niedawnej burzy.

I ten posąg pośrodku.

Migna na moment przestała zwracać uwagę na starca. Ruszyła przed siebie, wskoczyła do basenu, przeszła po jego dnie, chwyciła się podestu, podciągnęła zgrabnie i stanęła naprzeciwko brązowej figury.

Przedstawiała dziewczynę, mniej więcej jej wzrostu, która właśnie straciła równowagę. Teraz, choć jeszcze nie spadała, było już za późno, żeby jej pomóc – ciało przekroczyło granicę, za którą mogłoby się jeszcze cofnąć. W pasmo spiżowych włosów szarpanych niemożliwym do odczucia, wiecznym wiatrem zaplątał się srebrny diadem, który zapewne ześlizgnął się dziewczynie z głowy. Metalowe kosmyki częściowo zakrywały jej twarz, ale nie to, co było w niej najważniejsze – szeroko otwarte, wbite z przerażeniem w przestrzeń oczy. Jedna ręka zwisała niemal swobodnie wzdłuż ciała, drugą dziewczyna wyciągnęła, żeby kogoś złapać. Gest ten był zadziwiająco miękki, jakby wykonany półprzytomnie. Migna delikatnie dotknęła policzka spiżowej dziewczyny. Nie mogła się powstrzymać.

– To przynosi pecha – usłyszała. – Chyba że jesteś Widzącą.

Całe szczęście stała tyłem i nie widział, jak powstrzymuje chichot.

Obróciła się i zeskoczyła z podestu. Już w ogrodzie przysiadła na trawie, opierając się plecami o spalony pień.

– Mów.

Starzec spojrział na pomnik podobnie jak wcześniej patrzył na nią – nieruchomym, nieodgadnionym spojrzeniem.

– To Królowna – wyjaśnił. Migna drgnęła, starzec nie zwrócił na to jednak uwagi. – Kiedyś rządził tu król. Nikt go już nie pamięta. Prócz mnie. Pamiętam, bo to on stworzył Naurę i oddał życie, budując naszą potęgę. Pozostawił po sobie wdowę i dziecko. Córkę. Wdowa rządziła sprawiedliwie i chowała królowną na dobrą władczynię, a kiedy ta osiągnęła odpowiedni wiek, pojawił się królewicz, któremu zależało na jej poślubieniu. Dziewczyna go pokochała, matka zaakceptowała. Zaczęto przygotowania do ceremonii.

Zamilkł i znów popatrzył na posąg.

– Na dzień przed uroczystością królowa i jej córka weszły na wieżę zamkową, żeby królowna mogła po raz ostatni w dotychczasowym życiu ogarnąć wzrokiem należące do królestwa ziemie, by zawsze już miała je w pamięci i dobrze jej służyła. Mówi się, że działo się to o zachodzie słońca, mówi się też, że podczas pełni księżyca. Ja wierzę w to drugie. Stały więc podczas pełni księżyca i rozmawiały o przyszłości, kiedy przyszłość postanowiła upomnieć się o królowną i pokazać obu kobietom, że nie mają nad nią władzy, że to ona ma władzę nad nimi. Przyszłość, młoda damo, to suka – oznajmił obojętnie.

Migna zacisnęła pięści i zęby. Miała ogromną ochotę mu przyłożyć, ale wtedy raczej nie skończyłby opowieści.

– Królowna wpadła w trans. Oczywiście nie kontrolowała swojego ciała, bo nie da się go kontrolować w transie. Straciła równowagę i spadła z wieży. Byłaby to jedna z wielu takich tragicznych śmierci i nie trzeba by stawiać zmarłej pomnika, gdyby nie to, że była królowną. I gdyby nie to, że królowa chciała ją uratować, złapać za rękę.

Migna wciągnęła powietrze.

– Zdołała jedynie musnąć jej skórę. To było za mało, żeby ocalić córkę, lecz wystarczająco, by dziewczyna wyszła z transu i stała się świadoma nieuchronnej śmierci. Oraz wystarczająco wiele, by królowa oszalała. Nie przyznała się, że czuje się coraz gorzej, ponieważ wtedy odebrano by jej

władzę, a potrzebowała jej, by stworzyć stolicę. Bo to ona właśnie ją stworzyła: przed śmiercią królowny był tu tylko zamek na wzgórzu. Pierwszą rzeczą, którą zrobiła, było wystawienie córce pomnika. Potem sprowadziła Przewodników i kazała im zbudować wokół niego siedzibę.

Migna pokiwała głową, patrząc na figurę spadającej dziewczyny. Nie mogła wydusić słowa. Zastanawiała się, która z nich ma gorzej, i nie potrafiła tego rozstrzygnąć.

– Dlaczego Diogoria nie zburzyła tego do końca? – zapytała wreszcie, przenosząc wzrok na starca. – Dlaczego nikt nie rozkradł całego tego marmuru? Czemu ten pomnik tu stoi?

– Diogoria może zrobić to, na co pozwoli jej Królowa. Nie wiemy, dlaczego pozwoliła na podbój. Po najeździe Diogorczyków przez jakiś czas wydawało się, że zniknęła, ale to był podstęp. Diogorczycy nie dysponują magią, za sprawą której mogliby sprostać Królowej, władają jedynie magią żywiołów. W końcu znów pojawiła się na freskach, miasto zaczęło zachowywać się jak dawniej. A tu... Tu od bitwy nie trafił żaden Diogorczyk, żaden zwolennik Diogorii, żaden złodziej. Wszystko jest tak jak wtedy, kiedy opadł kurz. Poza trupami. Pokazywałem ci czarne smugi w bibliotece. Uznałem, że ciała powinny spłonąć tam, gdzie księgi.

– Kim ty jesteś? Skąd wiesz to wszystko?

Odwrócił się w jej stronę i powoli pokręcił głową.

– Nikim. Echem. Pogłosem. Jeśli potrzebujesz dla mnie imienia, Migna, to może być Pogłos.

Cofnęła się o krok.

– Nie przedstawiałam ci się.

– Nie. Ale znam cię. Jesteś w świetle lahetana, prawda?

Widząca skinęła.

– I co o nim myślisz?

To, co powiedziała, to nie były jej słowa. Powtarzała to sobie przez całą drogę powrotną. Nie były jej. Oczywiście, że nie – były po prostu słowami, które miała wypowiedzieć w podobnej sytuacji. Które ćwiczyła z Jorgiem. Ale nie były jej, nie były, miała absolutną pewność, bo przecież kochała go jak rodzzonego ojca.

Odnosiła wrażenie, jakby wyszły prosto z serca. Z drugiej strony nie należało się przejmować jakimiś głupimi wrażeniami.

– Nienawidzę go.

Pogłos skinął głową.

– To się dobrze składa.

Rozdział XI

Po latach

Jorga nie było w wieży.

To rozwiązywało przynajmniej jeden problem Migny, bo wracając do zamku – co poszło jej zadziwiająco łatwo, zważywszy na to, że nie знаła miasta – nie potrafiła zdecydować, z kim porozmawiać najpierw: z Renem czy z dowódcą.

Oczywiście powinna z dowódcą. Była przecież Diogorką, Ren zaś – buntownikiem bez honoru.

Tylko że była przecież w Siedzibie Zakonu. Pogłos... Królowna... On to znał, on tam był, on tam przecież wyrósł!

Poza tym miała wrażenie, że rozmawiając z Przewodnikiem, dowie się o wiele więcej, niż dowiedziałaby się na przykład Jorg.

Tak, właśnie o to chodziło. O zdobywanie informacji dla dobra misji.

Uspokoiwszy się w ten sposób, nacisnęła klamkę u drzwi do celi Przewodnika. Zaraz zakłęła pod nosem, ponieważ były zamknięte. A ona oczywiście nie miała klucza.

Na szczęście Ren musiał się domyślić, że to ona, bo po chwili zamek zachrobotał. Zobaczyła, jak liczne zapadki przesuwają się, a koła zębate obracają, i po chwili mogła już swobodnie wejść do pomieszczenia.

– Dzień dobry, królowno – mruknął Ren, wpuszczając ją. Wzdrygnęła się.

– Do wszystkich swoich Widzących tak mówiłeś? – odparła agresywnie.

Spojrzał na nią zmęczonym wzrokiem.

– Nie. Mówiłem do niej po imieniu.

– A do mnie nie możesz?

Zaśmiał się ponuro, zupełnie jakby powiedziała coś zabawnego i jednocześnie przykrego.

– Nie mogę – odparł, zmierzając w stronę łóżka. – Rozgość się i mów, co cię sprowadza. Bo zakładam, że nie rozkaz Jorga. Gdyby tak było, już bym cię szykował do transu.

– Byłam w siedzibie Zakonu.

Zmylił krok. Jak można zmylić krok, idąc do łóżka?

Cóż, najwyraźniej można.

– Gratulacje – powiedział obojętnym tonem. Ale nie odwrócił się do niej. Miast tego położył się, a właściwie opadł ciężko na posłanie, wbijając wzrok w sufit.

– I spotkałam tam kogoś.

– Tak?

– Takiego... starca. Znałeś go może?

Zamknął oczy, powoli wciągnął powietrze, a potem równie powoli je wypuścił.

– Nie wiem, królewno, nie jest to najbardziej precyzyjny opis, jaki słyszałem.

– Och, na żywioły, stary i chudy. Kazał do siebie mówić Pogłos. Co ci jest?

Zerknął na Widzącą.

– Nie czuję się najlepiej. Poza tym Zakon to nie jest mój ulubiony temat. Rozstaliśmy się w gniewie, tak bym to ujął.

– Jak to: rozstaliście się?

– Tak to. To znaczy, zależy, jak na to spojrzeć. Z jednej strony nie można przestać być Przewodnikiem, skoro się nim już zostało, niemniej z samą organizacją i jej... polityką przestałem mieć cokolwiek wspólnego kilka lat przed napaścią Diogorii.

– Dlaczego?

– Bo to banda zaślepionych idiotów.

– Zaślepionych? Czym?

Ren zapatrzył się przed siebie.

– Trudno powiedzieć – stwierdził w końcu. – Władzą? Wiedzą? W każdym razie przestali służyć Widzącym, a to, królewno, jest priorytet... to znaczy, to dla Przewodnika jest najważniejsze. W każdym razie powinno być.

– Co zrobili?

Westchnął.

– Wiesz, że cię uwielbiam, ale wolałbym zostawić ten temat w grobie, w którym leży. Zwłaszcza że, z całym moim uwielbieniem dla ciebie, nie mam pewności, czy nie powtórzysz moich słów Jorgowi. Nie wiem, jak mógłby to wykorzystać przeciwko mnie, ale jestem pewien, że coś by wymyślił.

Migna poderwała się gwałtownie.

– Myślisz, że jestem jakimś chrzanionym szpiclem?!

Ren spojrzał na nią z mieszkanką irytacji i drwiny. Nie odpowiedział. Nie musiał – coś w tym spojrzeniu przypomniało jej bowiem, że przecież przez całe życie była szpiegiem i teraz też miała szpiegować powstańców.

„Idiotka” – przemknęło jej przez myśl.

– No już, nie chmurz się tak – mruknął. – Mam coś dla ciebie – dodał, a gdy spojrzała na niego pytająco, sięgnął pod poduszkę i wyciągnął klucz. – Lepiej będzie, jak go zatrzymasz.

Migna zrobiła minę, jakby oświadczył, że zaraz wyleci przez okno. Ba, jakby naprawdę właśnie wyleciał przez okno, i nie roztrzaskał się o bruk na dziedzińcu.

– Co ty...

– To, co słyszysz. Przecież Jorg się zorientuje. A to miałyby bardzo nieprzyjemne konsekwencje. Głównie dla mnie, ale niewykluczone, że dla nas obojga.

– Ale przecież...

– Migna. Żałujesz, że mi go dałaś, prawda?

Z zaciśniętymi ustami kiwnęła głową. Czuła się paskudnie, bo wcale nie była pewna, czy rzeczywiście żałuje.

Poza tym przez ten klucz wydała u toja fortunę.

– Więc bierz go, zanim się rozmyślę.

– Może powinieneś się rozmyślić – odparła. – Może powinieneś przestać być śmierdzącym tchórzem!

Przewodnik nie drgnął.

– Zabieraj go.

Wyrwała mu klucz z ręki, splunęła na podłogę i wyszła, z furią trzaskając drzwiami.

*

Tak naprawdę Widząca rzadko dawała Jorgowi powody do zadowolenia. Nigdy jeszcze nie uświadomił sobie tego tak mocno jak wtedy, kiedy jednak taki powód mu dała, przynosząc wieści o ruinach Zakonu i o mężczyźnie, którego tam spotkała i który najpewniej był jakoś powiązany z buntownikami.

– Cokolwiek ludzie sądzą na temat tego miasta, jego duchy zdecydowanie nam sprzyjają – stwierdził. – Dobra robota, Migna.

Potem ją odprawił, nie dając – chwilowo, jak zaznaczył – dalszych wskazówek, i udał się na przechadzkę po zamku.

Diogorskie wnętrza sprzyjały rozważaniom. Było w nich coś, co sprawiało, że umysł stawał się trzeźwy i spokojny. Umysł Jorga co prawda zazwyczaj odznaczał się trzeźwością i spokojem, ale w obecności Widzącej i Przewodnika zdarzało się, że cechy te gdzieś się ulatniały. Zresztą żołnierz zawsze wolał samotność w samotności od samotności w towarzystwie, a w towarzystwie Południowców czuł się samotny. Patrzył czasem na swoją Widzącą i na tego przekłętego więźnia i jedynym, co czuł, była całkowita obcość obojga. Potem przenosił wzrok na Hornaka i robiło mu się jeszcze gorzej.

Dlatego też wybrał się na samotną przechadzkę długimi korytarzami zamku namiestniczki – wkładał wiele wysiłku w niemyślenie o nim jako o zamku królewskim. Przemierzał barwne sale z witrażami, zdobione wąskie kładki, wijące się spiralnie schody i rozmyślał. Nawiązanie kontaktu ze spiskowcami – bo to właśnie zrobiła Migna w ruinach Zakonu – bez wątpienia było okolicznością sprzyjającą. Pozostawało się jedynie zastanowić, jakimi informacjami najlepiej będzie ich karmić i w jaki sposób. Jak sprowokować, by ujawnili się przed Widzącą bardziej, niż już to zrobili. Szczęśliwy zbieg okoliczności szczęśliwym zbiegiem okoliczności, ale na pewno nie bazowali tylko na takich przesłankach. Musieliby być szaleni.

Z drugiej strony byli Południowcami. I mieszkali w tym mieście. Jorg nie mógł być pewien, że są przy zdrowych zmysłach. Chociaż, jeśli naprawdę stanowili zagrożenie, a wizje Migny mówiły, że owszem...

Główny problem polegał na tym, że nie znał tych ludzi. Nie wiedział, w jaki sposób rozumują i co czują. Zazwyczaj nie było to potrzebne – zazwyczaj typowy dla Diogorczyków rozsądek i wysoko rozwinięta sztuka wojskowa wystarczały dla osiągnięcia satysfakcjonujących efektów.

Jeżeli jednak mieli przeciwko sobie osobę, o której myślał, Mira'nath, która spędziła trzy lata, obracając się w najwyższych sferach Diogorii, która nauczyła się o diogorskiej mentalności więcej niż jakikolwiek inny Południowiec, sytuacja mogła się okazać nader ryzykowna. Nie należało zaniedbywać żadnych środków bezpieczeństwa ani lekceważyć informacji.

Dlatego też, choć miał już zarys całkiem przyzwoitego planu, Jorg udał się w stronę komnat namiestniczki. Błada, wysoka służąca o wąskiej, arystokratycznej twarzy, poprosiła go, by poczekał, spoczął więc w fotelu

i zapatrzył się w ogień na kominku. Miał nadzieję, że Nuka mimo wszystko zapamiętała coś z jego metod. Ostatecznie kiedy zawiodły, to dlatego że były niewystarczająco dokładnie stosowane, a nie dlatego że były nieskuteczne. Czynniki ludzkie.

Gdy pokojówka wróciła, poprosił ją, by sprowadzono Hornaka, ponieważ gdy rozmawiali ostatnim razem, Nuka życzyła sobie jego obecności. Mężczyzna przybył po dłuższej chwili – przemierzenie całego zamku trochę zajmowało – ale i tak przed namiestniczką. Jorg jej nie winił. Miała dużo pracy.

Przyjęła ich w tym samym osobliwym, wyposażonym w ogromne lustro gabinecie co wtedy, gdy przyjechali do Urty. Ubrana w krwistoczerwoną suknię z wysokim kołnierzem, wyglądała oszałamiająco i trochę nieludzko. Hornak wyprostował się na jej widok, napiął mięśnie, przybrał poważny wyraz twarzy – przynajmniej we własnym mniemaniu. Nuka uśmiechnęła się do niego blado. Odpowiedział sztywnym ukłonem, Jorg również się skłonił.

– Dobrze was widzieć – odezwała się. – Usiądźcie. Mam nadzieję, że nie sprowadzają was żadne problemy?

– Ja postoję, pani – odezwał się Hornak, wciąż prężąc mięśnie. – Nie godzi się, żeby prosty wojak... No.

Przymknęła oczy, prezentując w całej okazałości cienkie, czarne i czerwone kreski na powiekach. Jorg przypomniał sobie, że nawet w czasie kampanii lubiła zadbać o makijaż, była w tym zresztą doskonała.

– Jak sobie życzyacie, żołnierzu – powiedziała, na powrót rozchylając powieki. – Choć byłabym zaszczycona, gdybyś zechciał jednak usiąść.

Na twarzy Hornaka pojawiła się lekka konfuzja.

– Ja...

Jorg ledwie zauważalnie kiwnął głową. Hornak szczęśliwie nadal potrafił wychwytywać u swojego dowódcy takie gesty.

– Dobrze – bąknął speszony i usiadł, wciąż jednak starając się zachować sztywną, pełną godności postawę.

– Problemy sprowadziły nas w ogóle do Urty – rzekł Jorg. – I sprawa, z którą dziś przychodzimy, jest z nimi związana. Potrzebuję informacji o mieszkańcach miasta. Jako grupie. Ufam, że zdążyłaś ich trochę poznać, rządzisz już miastem... Jak długo?

– Trzeci rok – odparła nieco roztargnionym tonem. – Urtyjczycy... – Urwała i w zamyśleniu podniosła się z krzesła. Podeszła do okna,

a następnie do zwierciadła.

– Urtyjczycy nigdy nie byli zbyt radośni – podjęła, spoglądając na swoje odbicie. – Nawet wówczas, gdy jeszcze nie śniło im się o wojnie. Urta to miasto zbudowane na cierpieniu przez cierpiącą, szaloną królową i opanowane przez jej cierpiącego, szalonego ducha. To wpływa na ludzi, podobnie jak wieczny brak słońca i chłód.

– Właściwie czemu? – odezwał się nagle Hornak. Oboje spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

– Skoro tak tu źle, pani, to czemu ktokolwiek tu mieszka?

Uśmiechnęła się lekko.

– Z powodu dumy, Hornak. Nie ma tak dumnych ludzi jak Urtyjczycy. Nie ma ludzi tak przywiązanych do miejsca, w którym wyrosli. My nie darzymy Diogorii takim uczuciem, jakim oni darzą Urtę.

Na twarzy mężczyzny odmalowało się niepewne oburzenie.

– Na... namiestniczko – bąknął.

Skrzywiła się, przełknęła ślinę.

– Przykro mi, ale taka jest prawda, Hornak. Nie powinniśmy nigdy pozwolić, żeby nasze zasady nam ją przesłoniły, prawda? Urta... Ludzie mają tu pewność, że ktoś nad nimi czuwa. Nie potęga żywiołów, nie przeznaczenie, nie czas i nie przypadek, żadna z tych sił. Bardzo konkretna królowa, krew z ich krwi.

– Jak w takim razie udało się podbić to miasto? – odezwał się Jorg.

– Tak samo jak każde inne. Pozwoliło się podbić – odparła obojętnie. – Kiedy uwierzyli, że Królowa ich opuściła, wola walki zgasła.

– Skoro tak, to czemu teraz szykują powstanie?

Nuka splotła dłonie szczupłe dłonie, wpatrując się w zwierciadło z namysłem.

– Dwie rzeczy. Mira'nath, jeśli to faktycznie ona pojawiła się w wizji Widzącej, nie pochodzi stąd, nie przejmuje się więc aż tak bardzo zachodzącymi tutaj zjawiskami. To po pierwsze. Po drugie, Urtyjczycy wierzą, że królowa znów jest z nimi. Mają zresztą podstawy, przecież dziwne zjawiska, które ustały na czas, gdy podbijaliśmy miasto, wróciły.

Jorg skinął głową.

– Zatem królowa.

– Owszem. W przypadku większości z nich.

Mężczyzna zamyślił się, łącząc palce przed twarzą.

– Trzeba będzie ich zmusić do fałszywego kroku. Gdyby to byli tylko Urtyjczycy, moglibyśmy to zdusić w zarodku, ale jeśli jest z nimi Mira, nie pójdzie tak łatwo. Muszą się ujawnić, musimy ich znaleźć i zgładzić. I przekonać, że Diogoria jest potężniejsza nawet od czarów ich Królowej.

– Nie mamy po temu środków – zauważyła Nuka.

– Być może Widząca nam czegoś dostarczy, muszę to jeszcze przemyśleć. Ostatecznie spodziewają się u nas wszystkiego, tylko nie jej.

– Przecież już ją znają – odezwał się Hornak. – O to nam chodziło, prawda?

– Znają, ale nie wiedzą, że jest Widzącą. I się nie dowiedzą – wyjaśnił mu Jorg nieco znudzonym tonem, po czym znów zwrócił się do namiestniczki. – Chcę ich przekonać, że jesteśmy słabsi, niż jesteśmy. I to w taki sposób, by sądzili, że aby to wykorzystać, muszą włączyć Mignę głębiej w swoje struktury. Ona musi być im w jakiś sposób niezbędna. Sądzę, że dobrze będzie robić wrażenie, że jesteśmy w jakiś sposób skłóceni, ja i ty, Nuka. Cicha walka o panowanie nad miastem byłaby na miejscu. Jeśli będę przy tym jawił się jako osoba skrajnie niekompetentna...

– Do zamachu wystarczy im jeden człowiek, Jorg. I wcale nie muszą mówić o nim Mignie. Potrzebujemy przecież, żeby mieli w niej więcej niż informatora. Co ona potrafi poza widzeniem?

– Świetnie walczy – wyrwał się Hornak.

– Ach. – Nuka przeniosła spojrzenie pięknych, granatowych oczu na Jorga. – Przyszło mi do głowy pewne skojarzenie, ale wydało mi się absurdalne. Teraz jednak muszę zapytać: czy Widząca to nasza znajoma?

Porucznik skinął głową, Nuka zaś uśmiechnęła się lekko, niemal bez mściwości.

– Kto by pomyślał. W takim razie owszem, świetnie walczy. Dobra wojowniczką to ktoś, kto naprawdę może się przydać w ruchu oporu złożonym, jak sądzę, głównie z mieszczan.

Jorg przyznał jej rację. I właściwie wiedział, już co robić dalej.

*

Ren nieustannie modlił się do Królowej.

Było to idiotyczne, ponieważ Królowa działała według własnego, niemożliwego do przewidzenia widzimisie i żadne modlitwy nie mogły tego zmienić. Równocześnie stanowiło też jedyną przewagę Urtyjczyków

nad ludźmi pochodzącymi z wielu innych miejsc na świecie. Mieli się do kogo modlić.

Zatem Ren się modlił. O to, żeby Jorga, Hornaka i Migny nie było w wieży, kiedy będzie przekręcał klucz w zamku – w jego stanie psychicznym, przy nawracających halucynacjach, musiał być wyjątkowo ostrożny.

Modlił się o to, żeby nie było ich, kiedy wróci.

O to, żeby pod jego nieobecność nikomu nie przyszło do głowy zajrzeć do jego celi.

I wreszcie o to, by jego wyprawy okazały się mieć jakiś sens, by w końcu trafić na któregoś ze spiskowców i go ostrzec.

Część z tych modlitw była wysłuchiwana. Albo przynajmniej zgadzała się z zamysłami królowej. Nikt go nie przyłapał.

Inna część – nie. Bywały dni, że Ren godzinami snuł się po opustoszałych uliczkach, nie spotykając żywej duszy, choć wiedział przecież, że w Urcie uliczki nigdy nie są całkowicie opustoszałe.

A jednak.

Tydzień, pół drugiego, cały ten czas spędzony między obdartymi żebrakami, których jedynym chlebem była informacja – i nadal nie wiedział wiele o tym, kto spiskuje przeciwko Diogorii. Szczęśliwie o nim też niewiele wiadomo – Królowa płatała za nim ścieżki bardzo pieczołowicie. Może zresztą dlatego nikt mu niczego nie powiedział, nikt mu nie zaufał. On zresztą też nikogo nie potrafił obdarzyć zaufaniem. Czasem miał wrażenie, że powietrze zaraz pęknie od wszystkich podejrzeń, od podskórnego napięcia.

Cóż, w każdym razie buntownicy już pewnie o nim wiedzieli. Żebracy zwrócili na niego uwagę – trudno nie zwrócić uwagi na przybłędę, który znika nie wiadomo gdzie, ciesząc się najwyraźniej łaskami królowej. Zwrócili – tylko że nikt nie chciał z nim gadać. Nie że Ren im się szczególnie dziwił – po prostu nie miał pojęcia, co robić dalej. Jeżeli spiskowcy nie chcieli rozmawiać, jeżeli królowa nie chciała go nigdzie dopuścić, jeżeli zmarnował szansę na udawanie, że pomaga Diogorczykom – wciąż przeklinał swoją głupią wściekłość i głupią dumę, choć Jorga pewnie by go przejrzał – to miał niewielkie pole manewru.

Tak naprawdę dysponował jedną, jedyną informacją na temat oporu przeciwko Diogorii. Tyle że bardzo nie chciał jej wykorzystywać.

Królowa jednak najwyraźniej zdecydowanie chciała, żeby to uczynił, bo kiedy się na to zdecydował, do ruin Zakonu dotarł w kilka minut. Skręciło go w żołądku. Wszedł po resztkach schodów do miejsca, w którym niegdyś znajdowała się brama – po lewej stronie pozostał fragment portalu – i półprzyciemnie rozejrzał się po tym, co przez tyle lat było holem jego domu.

Nie zostało wiele. Gruz i błękitnawe resztki mozaiki. Nienawidził jej, nienawidził każdego kamienia w tym budynku, a jednak żał ścisnął go za gardło. Prócz zgrzytu odłamków marmuru i ceramiki pod nogami nie słyszał nic, jakby wokół nie było miasta. Schylił się i podniósł fragment niebieskiej płytki.

Powiedział kiedyś Ninie, że jej oczy mają dokładnie ten sam kolor, najbardziej niebieski na świecie, bo był romantycznym dzieciakiem, a poza tym to była prawda. Nina kazała to sobie powtarzać co dnia przez następne dwa lata. Póki nie odszedł.

– Wróciłeś.

Ren odetchnął głęboko, zaciskając dłoń na płytce. Vera. Musiał myśleć o Verze. I o Diogorii i żywionej do niej nienawiści.

Inaczej myślałby tylko o nienawiści do tego starca, a to nie przyniosłoby nic dobrego.

Nie odwrócił się – jeszcze nie. Potrzebował najpierw oswoić się z głosem – starszym, słabszym i bardziej zachrypniętym, niż zapamiętał, ale bez wątplenia należącym do patrona Dereka.

– Nie. Nie mam do czego.

– Magia wciąż tu jest.

– Nie ma za to dachu – odparł cierpko młodszy Przewodnik, po czym uznał, że może się odwrócić.

Nie był Diogorczykiem i czasem tego żałował – najczęściej w takich momentach jak ten, gdy bardzo nie chciał okazać zaskoczenia i gdy nic nie mógł poradzić na to, że jednak je okazuje.

Patron Derek zawsze był eleganckim mężczyzną ze skłonnościami do narcyzmu, które wszyscy mu wybacжали ze względu na liczne przymioty ducha, imponującą wiedzę i charyzmę. Siwiejącą, ciemną brodę strzygł krótko, włosy zwykł na diogorską modłę zaplatać w dobierany warkocz. Dobrze zbudowany i mimo wieku wciąż dbający o sprawność fizyczną zawsze ubrany w czysty, niewygnieciony strój. Godnie reprezentował Zakon.

Wychudzony, odziany w łachmany mężczyzna ze strzechą skołtunionych włosów i równie skołtunioną, opadającą na pierś szarawą brodą niemal w ogóle go nie przypominał. Tylko oczy miał podobnie ciemne, przenikliwe i pełne niechęci.

- Przyszedłeś ze mnie drwić?
- Nie zasłużyłeś nawet na moje drwiny.
- Więc po co?
- By ostrzec.
- A więc zasłużyłem na ostrzeżenie?

Ren pokręcił głową.

- Nie ty.

Starzec rozejrzał się uważnie po ruinach.

- W takim razie trafiłeś w złe miejsce. Nikogo innego tu nie ma.
- Młodszy Przewodnik zgodził się w duchu. Owszem, trafił w złe miejsce.
- Ta dziewczyna z otoczenia lahetana. Migna.

Spojrzenie Dereka stało się nagle jakby bardziej intensywne.

- Tak? Co z nią?

Ren poczuł nagle, że krew zastyga mu w żyłach, a gardło zamienia się w tarkę. To był człowiek, który skrzywdził Ninę. Skrzywdził jego Widzącą. Jeden z tych, z powodu których Naurya nie była wystarczająco przygotowana do wojny, a jednocześnie mających czelność twierdzić, że walczą z Diogorią. Jeden z tych, którzy w imię obranego celu i jakichś kretyńskich ideałów nie cofnęliby się absolutnie przed niczym.

A Ren miał mu wydać Verę. Powiedzieć, że jest marionetką Jorga.

Ledwie o tym pomyślał, znów poczuł wściekłość i strach.

- Porucznik widzi przez nią na wylot.
- To nietrudne.

Ślepy, stary głupiec. Oto, kim był patron Derek.

- Czy ona jest kimś wyjątkowym, Ren? Twoją Widzącą, być może? Robisz teraz dla Diogorczyków?

- Jak widać – wycedził Przewodnik.

– No, chłopcze. Jestem pewien, że ty też nie masz całego dnia. Mów, co ci leży na sercu... bo nie to, że z dziewczyny czyta się jak z otwartej książki, bo to już sam zdążyłem zauważyć.

„Czytasz to, co każą ci przeczytać, głupcze” – pomyślał Ren.

– Była kiedyś kimś innym – powiedział. – Straciła pamięć, lecz można ją przywrócić.

– W jaki sposób? I czemu sam tego nie zrobisz?

– Zawołaj ją po imieniu.

– To znaczy jak?

Ren przymknął oczy.

Bał się tego słowa – dlatego nie mówił o Widzącej po imieniu, nawet kiedy nie słyszała – a jednocześnie gorąco pragnął je usłyszeć.

A teraz miał je oddać człowiekowi, którego jak niewielu innych na świecie nienawidził. Który miał moc je swobodnie wypowiadać do końca życia.

– Vera.

Słowo spłynęło mu z języka miękko i delikatnie. Smakowało leśnym miodem, mokrą ziemią i korzennymi przyprawami. Towarzyszyło mu przyjemnie pieczenie.

Vera.

Nie powinien był tego mówić. Wiedział, że teraz już zawsze będzie tego żałował i zawsze będzie za nim tęsknił, bo wypowiadać je w wizjach, to nie było to samo.

– Vera – powtórzył starzec. – Niebrzydko. Przysięga?

Ren wzruszył ramionami.

– Przykro mi, chłopcze.

– Zrobisz to? – zapytał oschle Ren.

– W swoim czasie – odparł Derek spokojnie. Ren postąpił krok w jego stronę. Starzec westchnął.

– Ren. Migna, na ile ją poznałem, jest istotą dość prostolinijną. Nie muszę być jej Przewodnikiem, żeby wiedzieć, co stanie się w chwili, gdy odzyska pamięć. Stracimy osobę blisko związaną z lahetanem, do którego nie mamy innego dojścia. Tobie, jak mniemam – zmierzył wymizerowanego mężczyznę wzrokiem – Jorg nie ufa.

– Sądzisz, że jej tak?

– W takim stopniu, w jakim Diogorczyk jest w stanie zaufać postrzelonej wariatce ze Schan, tak. Prawdopodobnie jest zresztą przekonany, że dziewczyna stoi po jego stronie, prawda? Zrobili jej pranie mózgu, musieli zrobić.

Ren nie odpowiedział.

– No właśnie. Dobrze, że chociaż ta nienawiść w niej została. – Derek uśmiechnął się, niemal tklawie. – Dzielną dziewczyną.

– I pozwolisz jej zostać w tym stanie – powiedział Ren obcym, spokojnym głosem, którym czasem odzywał się do Jorga – póki ci będzie wygodnie.

– Obawiam się, że tak musi być. Za dużo od tego zależy.

– Czy ślubowanie, kiedykolwiek cokolwiek dla ciebie znaczyło?

– Znow do tego wracasz? Ren, rozmawialiśmy o tym wielokrotnie. Inaczej...

– Te sprawy nie podlegają interpretacji! Ślubowałeś, wszyscy ślubowaliśmy, chronić Widzące przed zakusami tych, którzy chcieliby im zaszkodzić, wykorzystując ich moc!

– A ty w jaki sposób ją chronisz? – zapytał spokojnie Derek.

Ren nie odpowiedział. Wpatrywał się w starca z niedowierzaniem.

– Mógłbym cię teraz zabić. – Nie wiedział czemu, to był szept. – Naprawdę mógłbym to zrobić.

Derek roześmiał się sucho.

– To znaczy, że czegoś się nauczyłeś przez te kilka lat. Nie bój się, pomogę twojej dziewczynce. W odpowiednim czasie.

– Nie ty decydujesz, jaki czas jest odpowiedni.

– Obawiam się, Ren, że ja. Obawiam się, że nadal o takich rzeczach decyduje człowiek. Co, zgodzę się z tobą, stanowi niesprzyjającą okoliczność.

Ren splunął, po czym odwrócił się i wyszedł, wręcz wystrzelił z ruin klasztoru. Wiedział, że nie powinien, że należałoby opuścić to miejsce przez resztki jakichś drzwi, a nie bez żadnego szacunku i pomysłu wypadać przez niegdysiejszą ścianę, ale wiedział również – i to było w tym momencie dla niego dużo ważniejsze niż jakaś stara magia – że w ten sposób ma szansę nadepnąć Derekowi na odcisk. To było głupie, dziecinne, ale rozsadzała go furia i pogarda i nie mógł nic na to poradzić.

Nie był to pierwszy ani zapewne ostatni raz, kiedy Ren był bezsilny wobec własnych emocji. Kiedy gniew palił go tak, że dziwił się, że świat nie stoi w płomieniach, nie rozpada się od samych jego wściekłych spojrzeń. Kiedy wewnętrzna energia, pożerała go od środka, a świat pozostawał na to obojętny. W takich chwilach rozumiał Mignę, która zwykła krzyczeć, bić, szarpać, kopać i niszczyć, kiedy tylko się zezłościła – która pragnęła, by świat dowiedział się, że jest wściekła, i by nie pozostawał obojętny.

A przecież realnych zmian nie dokonywało się za sprawą wybuchów złości. Rozumieli to Diogorczycy, rozumieli Przewodnicy, Widząca zrozumieć nie miała szans, bo rozumiała tylko płomienie.

„Był tylko jeden początek – przypomniał sobie nagle pierwsze zdanie klasycznej księgi, którą każdy z Przewodników znał praktycznie na pamięć. – Ten, w którym zapłonął czas”.

Jak miałyby zrozumieć cokolwiek innego? Jakakolwiek inna, może. Ale Vera? Vera, której nienawiść można było jedynie przekierować na coś innego, lecz nigdy wypłenić? Vera, która kochała i rozpaczała do utraty sił, a potem jeszcze trochę?

Vera.

Przypomniał sobie smak jej imienia, którego miał pewnie już nigdy nie wypowiedzieć, a potem zastanowił się, czy ona też tak smakuje.

Droga do zamku, pogrążone w mroku przejście w murach, sala na najniższym poziomie wieży, schody, drzwi do jego celi – wszystko przesłonięte było wilgotną, gorącą mgłą, ostatnim schronieniem ludzi bezsilnych.

Kto wie, jak długo by w niej pozostał, gdyby – kilka godzin po jego powrocie – nie pojawiła się Migna. Wtargnęła do celi jak tornado – efekt był tym silniejszy, że zaraz za nią wleciała namia, która zajęła miejsce na gzymsie pod wysoko sklepionym sufitem.

– Okłamałeś mnie! – wysyczała, trzasnąwszy drzwiami.

Ren – nieco wymęczony płaczem, z bolącą głową i pustką w duszy, usiadł na łóżku i popatrzył na Widzącą znużonym wzrokiem.

– Okłamałeś mnie, mówiłeś, że nie masz klucza!

Przewodnik skrzywił się i potarł twarz dłońmi.

– Nigdy czegoś takiego nie powiedziałem.

– Ale oddałeś mi go! Czyli mnie okłamałeś!

Cmoknął zniecierpliwiony.

– Nie powinnaś się cieszyć, że jednak nie jestem śmierdzącym tchórzem?

Ta uwaga zbiła ją z pantałyku, było to widać po tym, jak przygryzła wargę. Ale póki co nie po słowach.

– Ale mnie okłamałeś! – powtórzyła z uporem.

Pod tym uporem Ren usłyszał jeszcze coś – bezradność – i poczuł, że serce mu się kraje. Przecież nie było istotne, czy miał zamiar ją okłamać. Liczyło się tylko to, że ją zawiódł. On, Przewodnik, czyli ktoś, na kim

powinna móc zawsze polegać. Bez względu na to, czy zdawała sobie z tego sprawę, czy tylko przeczuwała.

– Przepraszam, królewno. Nie chciałem wprowadzić cię w błąd.

– Ale to zrobiłeś!

Popatrzył na nią ze znużeniem i rozłożył ręce.

– Mógłbyś chociaż przeprosić!

– Przepraszam – powiedział z autentyczną skruchą. – Po raz drugi.

– A... aha – spieszyła się Migna i zamilkła na chwilę, zestawiając z zydła obok łóżka cynową misę. Jak się okazało, po to żeby na tym zydłu usiąść. Popatrzyła na Rena uważnie.

– Coś ci się stało?

– Spotkałem się z... Pogłosem.

– To niedobrze?

– To bardzo niedobrze – odparł Ren bez wahania. – Pytanie, czy lepiej, czy gorzej, niż gdybym został tutaj. Tak czy inaczej, przyjemne to nie było.

– Dlaczego? Bardzo cię chwalił.

Ren zaśmiał się gorzko.

– Wyobrażam sobie. Mistrz, dobre sobie – rzucił z niesmakiem.

– Nie był twoim mistrzem?

– Owszem, nauczył mnie większości rzeczy, które potrafię. I gdy byliśmy bardzo młodzi, zdarzało nam się nazywać go mistrzem. Ale to było bardzo dawno temu.

– Zanim się pokłóciliście?

– Opowiedział ci?

Migna prychnęła.

– Nie, po prostu nie jestem głupia ani ślepa. Przecież go nienawidzisz.

Pokiwał głową.

– Dlaczego?

Ren postanowił skrócić historię do minimum.

– Zabił moją Widzącą. On i kilku podobnych jemu fanatyków.

Migna wciągnęła gwałtownie powietrze, przykładając dłonie do ust.

– Ja... jak to? Przecież, to Przewodnik, jakich fanatyków? Macie nas chronić, wiem, że macie!

„To ciekawe – pomyślał Ren – zazwyczaj nie wiesz takich rzeczy”.

– Derek powiedziałby ci, że to była kwestia priorytetów. No i – zreflektował się – oczywiście nie zabił jej bezpośrednio. Sam zresztą w ogóle nie uważa, żeby miał coś wspólnego z tą śmiercią. Diogorczyca to

zrobili, zginęła, kiedy zdobyli miasto. Pozostali fanatycy też zresztą rozstali się z życiem.

– A ty w jaki sposób przeżyłeś?

– Nie było mnie w Urcie. Opuściłem Zakon kilka lat wcześniej.

– Jak to? Dlaczego? Zostawiłeś swoją Widzącą?

Wzruszył ramionami. Dawno żaden gest nie wydawał mu się taki trudny.

– Musiałem.

– Ale dlaczego?! – zawołała, gestykulując gwałtownie. Palce miała rozczapierzone, ramiona rozłożone, jakby odprawiała rytuał i oczekiwała odpowiedzi od samych żywiołów.

– Bo ona też była fanatyczką i ktoś ją musiał ratować.

– Nie mogłeś! – zawołała, uderzając zwiniętą pięścią w udo. – Nie robi się takich rzeczy, nie wolno!

Wiedział przecież, o co chodzi. Nie wiedział o kogo, ale czuł coś, na moście, kiedy Migna znalazła swoją małą namię. I później, kiedy nadała jej imię.

– Robi się. Też kogoś zostawiłaś, królewno, też dla jego dobra.

– Nikogo nie zostawiałam! – krzyknęła. – Ty głupi chuju! – dodała, chyba na wypadek, gdyby nie zauważył, że wyprowadził ją z równowagi. – Idziemy! – zawołała do namii.

Tornado czarnych, lśniących loków zawirowało w powietrzu, drzwi trzasnęły, zupełnie jakby nie wykonano ich z grubych dębowych desek i ciężkiego żeliwnego mechanizmu, Ren miał wrażenie, że od tego trzaśnięcia zatrzęsa się podłoga. Został sam.

Znów patrząc w sufit, nie mógł się pozbyć myśli, że Derek miał trochę racji. Że oddanie Verze pamięci zaowocowałoby – zaowocuje – kataklizmem, wybuchem niepowstrzymanego żywiołu.

Ale to nie było jego zmartwienie. Jego zmartwieniem była wyłącznie ona. Wyłącznie jej dobro. Jak zawsze.

Rozdział XII

Pęknięcie

Migna nie wiedziała, co robić.

Nie, nie tak – miała pojęcie. Nie wiedziała tylko, czy aby na pewno chce podjąć ryzyko.

Też nie tak. Wiedziała przecież, że nie chce.

Tylko dlaczego?

Po raz kolejny zerknęła na klucz, który oddał jej Przewodnik. Potem na trzymane na kolanach pudełko.

Pomyślała o tym, co czasem widziała w jego oczach, o tym przekonaniu, że czegokolwiek by nie zrobił, i tak przegra. I że równocześnie nie ma zamiaru odpuszczać. Widywała już takie spojrzenia. Tylko nie mogła sobie przypomnieć gdzie.

Zaraz, to było kiedyś, w odbiciach...

Jęknęła z frustracją i opadła na łóżko.

Głupi Ren. Głupie wszystko. Dwa tygodnie wcześniej w ogóle nie widziałyby problemu – po prostu tłukłaby go, póki nie zaczęłyby współpracować.

Nie, nie zaczęłyby.

Bezmyślnie obserwowała cienie, pełgające w zakamarkach kopulastego sufitu. Północ minęła ładne dwie godziny wcześniej, Przewodnik na pewno już spał, jeśli więc miała to zrobić, to należało zrobić to teraz...

Ha. Ciekawe co on by zrobił na jej miejscu.

No cóż. Na pewno nie spędziłby – ilu już?, trzech, czterech godzin? – zastanawiając się co dalej.

I w gruncie rzeczy, czy nierobienie czegokolwiek leżało w jej naturze? O sobie mogła wiedzieć niewiele – Jorg był wspaniały i sporo jej opowiedział, ale usłyszeć o sobie to nie to samo, co wiedzieć – lecz o swojej naturze miała całkiem niezłe pojęcie.

Otworzyła szkatułkę, niemal przy tym urywając wieczko. Gdy odkręcała flakonik z płynem, przeszło jej przez myśl, że gdyby toj wiedział, z jakim brakiem szacunku będzie odnosić się do jego cacuszka, nie oddałby go nawet za całą sakiewkę trycytu.

Wychodziła z komnaty zła na siebie, bo od początku wiedziała, jak to się skończy.

Pewnie dlatego dopiero po tym, jak zamknęła za sobą drzwi do celi Przewodnika, zorientowała się, że coś jest nie tak. Ren siedział na łóżku z szeroko otwartymi oczami i wpatrywał się z przestachem w ścianę przed sobą. W tę za sobą próbował się chyba schować, wbić plecami.

– Re... Ren? – wyjąkała niepewnie.

– Nie! – zawołał, zaciskając powieki i podkurczając nogi.

– Ren! – powtórzyła ostrzej.

Spojrzał na nią nieprzytomnie, jak obłąkany. Odsunął się gwałtownie.

– N-nie zbliżaj się, nie podchodź – wymamrotał.

Migna, wbrew panicznej prośbie mężczyzny, zbliżyła się o krok.

– Ren, to przecież ja.

Prawie zeskoczył z łóżka.

– Nie podchodź! – krzyknął, obejmując głowę rękami. – Przepraszam, ja wiem, to tylko zwidy, to zaraz minie, ale nie podchodź, nie zbliżaj się, dobrze?

Dawanie posłuchu szaleńcom nigdy nie kończy się dobrze, nawet Migna to wiedziała. Przykucnęła przy łóżku, a Przewodnik znów zacisnął powieki.

Zaczęła do niego przemawiać, tak łagodnie, jak tylko potrafiła, lecz jedynym, co w odpowiedzi dobywało się z jego ust, był nieskładny bełkot i stanowcze, gardłowe „nie”.

Musiała zatem zadziałać w inny sposób. Nie miała wyboru, inaczej by się nie otrząsnął.

Nie była pewna, które z nich było bardziej zdziwione, kiedy oderwała usta od jego ust, była natomiast pewna, że nigdy jeszcze nie widziała tak wybałuszonych oczu jak te Przewodnika, kiedy wypłatywał dłoń z jej włosów.

– Co... – zająknął się. – Co to...

Wstała z uśmiechem, muskając jego policzek. Jakoś tak ją wzięło na dotykanie policzków, zdarza się.

– Nie zastanawiałabym się nad tym na twoim miejscu – powiedziała cichym, ciepłym głosem. Jeszcze takiego u siebie nie słyszała, choć przecież był jej, chrypka na miejscu i w ogóle. Po prostu nie wiedziała, że umie go używać w taki sposób.

– Powinieneś spać.

Wciąż wlepiając w nią zszokowane spojrzenie, kiwnął potulnie głową.

– Powinienem – zgodził się.

– Więc śpij – rzuciła, odwracając się w stronę drzwi. Prawie nie poczuła jego palców na swojej dłoni i zanim zdążyła cofnąć rękę, zacisnął je kurczowo.

– Mogłabyś... zostać przez chwilę? – wydusił.

– Mogłabym – stwierdziła po chwili namysłu.

Nie robili nic szczególnego, nie odzywali się nawet – Ren zamknął oczy i próbował usnąć, Migna go obserwowała, dopóki oddech się nie wyrównał, twarz nie wygładziła, zaciśnięte na jej dłoni palce nie rozluźniły. Uśmiechnęła się wtedy tkliwie i sięgnęła pod jego poduszkę, by wyjąć kopię klucza. Potem zaś wyjęła z sakiewki ten, który potraktowała zafrą, i delikatnie, by nie zbudzić wymęczonego mężczyzny, wsunęła go na miejsce.

Ren zasługiwał na kobietę zdecydowaną i pewną swoich racji. Nie jakąś rozmemłaną histeryczkę.

*

Po bardzo obiecującym początku nadszedł czas zastoju. Gdyby ktoś zapytał Jorga, jak potoczą się wypadki, jako najbardziej prawdopodobny przedstawiłby taki właśnie scenariusz, ale i tak czuł się zawiedziony. Być może dlatego, że nikt nie zapytał.

Widząca zdobyła zaufanie Dereka zaskakująco szybko, specyficzne właściwości miasta powinny działać na jej korzyść, jednak nadal nie przemieściła się w hierarchii buntowników, nie poznała nikogo nowego. Żołnierz z jednej strony rozumiał rebeliantów i czerpał pewną satysfakcję z tego, że wykazują się szcątkowym przynajmniej rozsądkiem, z drugiej jednak był cokolwiek rozczarowany brakiem postępów.

Namiestniczka miała rzecz jasną swoją siatkę informatorów, bardzo sprawną – choć nie na tyle, by przeniknąć w szeregi spiskowców – oni jednak nie potrafili nic powiedzieć o rudowłosej (ani jakiegokolwiek) czarodziejce. Wszystko wskazywało na to, że Nuka miała rację i w mieście nie ma żadnej czarodziejki. Kto więc ukazał się Widzącej?

Były jeszcze rejestry z okresu tuż po podboju – Nuka na szczęście je odnalazła – z których mógłby się czegoś dowiedzieć, jednak przeglądanie ich szło Namiestniczce bardzo powoli. Zajmowała się tym w wolnych chwilach, których, jako rządząca miastem, miała niewiele. Jorg zaś nie mógł jej w tym wyręczyć, bo wyglądałoby to podejrzanie. Musieli się

pilnować. Ostatecznie w zamku był szpieg, Widząca powiedziała o tym jeszcze w Kamieniołomie.

Wytrwale grali swoje role – on zżeranego ambicją, niekompetentnego lahetana, ona twardo broniącej pozycji władczyni. Spotkania związane ze sprawą były więc siłą rzeczy trudne do przeprowadzenia – Jorg sam czuł się jak spiskowiec, gdy w towarzystwie Hornaka zmierzał tajnym przejściem do ukrytego gabinetu namiestniczki. Minął już ponad miesiąc, odkąd zawitali do Urty, i mieli rozmawiać o buncie dopiero po raz trzeci, a po raz pierwszy z inicjatywy Nuki.

Pomieszczenie, do którego ich zaprosiła, było niewielkie, jasne i przejrzyste, skryte za śnieżnobiałym fragmentem witrażu przedstawiającego przelot pierwszej Vilgi nad szczytami Gór Południa. Skromnie umeblowane – okrągły stolik z dopasowaną doń ławą – nie odznaczało się takim przepychem jak reszta wnętrz pałacowych, choć subtelne srebrne żyłki wpuszczone w ściany czyniły je niezaprzeczalnie pięknym.

– Znalazłam Mira’nath – oświadczyła namiestniczka, kiedy mężczyźni zajęli miejsca.

Rozwinęła leżący na stole pergamin.

– Aż dziwne, że tak późno – stwierdziła. – Powinna się przewijać częściej. Brała udział w budowie tego zamku, mało tego, była ochotniczką, prawdziwą. Niewykluczone, że sama podsunęła generałowi pomysł, by do pomocy użyć magów.

Jorg w zamyśleniu potarł podbródek. To nie pasowało do wizerunku przywódczyni ruchu oporu.

– Spisywała się doskonale – ciągnęła Nuka. – Właściwie w dużej mierze zarządzała budową, dawała sobie radę z magami. Okazuje się, że kilka lat po zniknięciu z dworu została mistrzynią w Akademii w Peroli.

Musieli jej nienawidzić, uznał Jorg, i wiedział już, co będzie dalej. Pozwolił jednak Nuce mówić.

– Dość szybko zaczęły się jej przytrafiać nieprzyjemne wypadki – ciągnęła namiestniczka. – Po kilku miesiącach, już przy końcu budowy, jeden z nich okazał się śmiertelny.

Jorg skinął głową.

– Ciało?

– Było, jak najbardziej. Nie do pomylenia, tak wynika z raportu. Spalono je z honorami, generał poinformował nawet... – Jorg uniósł brwi,

namiestniczka zaś uśmiechnęła się, rozbawiona. Nic dziwnego, to, co zrobił generał, było bardzo głupie. – Jego Wysokość. Niedługo potem objęłam władzę w mieście.

Mężczyzna skinął głową po raz drugi, a potem podniósł się płynnym, zaskakująco energicznym ruchem. Tylko to świadczyło o jego złości, lecz tak Nuka, jak i Hornak znali go na tyle dobrze, żeby to rozpoznać.

– Dziękuję. W takim wypadku muszę pilnie porozmawiać z moimi ludźmi, jestem pewien, że rozumiesz.

– Oczywiście, Jorg. – Nuka również się podniosła, by odprowadzić mężczyzn do drzwi.

Było jeszcze wcześniej, słońce stało nisko nad horyzontem, jego światło było ciepłe nawet po przeniknięciu przez kolorowe szybki witraży. Zamek budził się do życia powoli – tu i ówdzie przemykali służący, ale większość korytarzy była opustoszała, cicha ciężką, miękką ciszą ostatnich chwil snu.

Przewodnik również spał. Szalenie twardo, jak się okazało, ponieważ nie obudził go huk otwieranych drzwi. Dopiero brutalne szarpnięcie sprawiło, że otworzył oczy, jak zawsze od razu całkowicie przytomny.

– Co ona widzi? – zapytał Jorg uprzejmie i zimno.

Południowiec pobałdł lekko, starał się jednak nie stracić rezonu.

– Słucham? – zapytał, nieudolnie próbując spokojem i uprzejmością dorównać Diogorczykowi.

To był błąd. Cios, który Jorg zadał mu w odpowiedzi, był krótki, konkretny, niedbały, ale bolesny i nieprzyjemny, bo straszliwie bezosobowy. Tylko Diogorczycy potrafili tak bić – jakby jednocześnie mówili: „Nic dla mnie nie znaczysz”. Zazwyczaj kiedy ktoś posuwa się do przemocy, to dlatego że owszem, ofiara coś znaczy. Lecz nie na północy. Dzieci Rytu były utylitarnie.

– Wiesz, o co pytam.

Przewodnik potarł czerwieniejący policzek.

– Przykro mi, poruczniku, ale nie.

Tym razem dostał w brzuch i przyszło mu do głowy, że chyba jednak załazł czymś Jorgowi za skórę. Była to przyjemna myśl... a raczej byłaby, gdyby wiedział, o co chodzi, i gdyby miał pewność, że to faktycznie jego zasługa.

Nie rozumiał jednak, skąd brała się furia Diogorczyka. Możliwe, że prał go tylko dlatego, że mógł.

– Widzi to, co każecie jej widzieć – powiedział ostro, odzyskawszy dech.

Chlast. Drugi policzek.

– Proponuję, byś zaczął mówić, zanim postanowię się wyręczyć Hornakiem – wycodził Jorg. – W perspektywie mam jeszcze zwrócenie się o pomoc do namiestniczki. Ma nieźle wyposażone lochy.

– Ale ja nie wiem! Nie wiem nawet, o co pytasz, Jorg, miejże... – nie, litość raczej nie, nawet gdyby, to Ren nie chciał o nią prosić – ...miejże rozum!

– Hornak.

Przewodnika zamroczyło. Pierwszym bodźcem, który do niego dotarł, był smak krwi z rozbitej wargi.

– Ta twarz, która pojawia się w jej wizjach – odezwał się Jorg – ta ruda czarodziejka. Jest martwa i pogrzebana od trzech lat, nie ma co do tego wątpliwości. Migna by nas nie oszukała, wiesz o tym przecież, i wiesz, że my to wiemy. Więc właściwie nie przyszedłem zadawać ci pytań.

Hornak poderwał Przewodnika z podłogi i popchnął na ścianę tak silnie, że Renowi zabrakło tchu. Kiedy go odzyskał, leżał z powrotem na podłodze, nie do końca pewien, jak się tam znalazł.

– Przyszedłem... przyszliśmy, dać ci nauczkę. Nie powinienes w ten sposób marnować mojego czasu.

Gdzieś w błysku bólu pojawiło się pytanie o to, czy żebro pękło. Ren miał nadzieję, że nie.

– Co ważniejsze, nie powinienes w ten sposób marnować czasu namiestniczki.

– Robicie strasznie dużo hała... – Dobiegł go czyjś zaspany głos.

– Och, na żywioły, co się stało?!

Kroki. I spokojny głos Jorga:

– Oszukiwał nas, Migna.

– Jak to?

– Nie wiem dokładnie. Ale faktem jest, że nie widziałaś przyszłości.

– Co ty pleciesz? – Zabrzmiało to dość agresywnie.

– Kobieta, którą widziałaś, jest martwa, od lat.

– Nieprawda, to była przyszłość!

Podniosła go. Poznał po dotyku, bo w oczach mu się ćmiło, ale na pewno nie był to dotyk Jorga ani Hornaka.

– Nie mogłaś widzieć w przyszłości martwej kobiety.

...i puściła, jakby zapominając o jego istnieniu. Dobrze, że koło łóżka. Obróciła się gwałtownie do Jorga.

– Najwyraźniej mogłam! Co ty sobie w ogóle wyobrażasz, że co, że on mi coś podrzucił? Nie da się, nie da się patrzeć w nieprawdę, w przyszłości są same prawdy, na wszystkie żywioły, jak można tego nie rozumieć?! One przestają być prawdziwe dopiero potem, ale wtedy już nie można na nie patrzeć, bo nie można widzieć wstecz, nie da się! To była przyszłość, mówiłam wam nawet kiedy!

– Migna...

– Co Migna, co Migna?! Kto to widział w końcu: ja czy ty?

– Myślę – był wściekły, Ren chyba po raz pierwszy słyszał, żeby Jorg był tak wściekły – że powinnaś się opanować. O tym, co to było, porozmawiamy później.

– Ja powinnam?! Bo to ja pobiłam faceta do nieprzytomności? Kto mi teraz zrobi to paskudztwo do picia, co? Jak on mnie ma niby przeprowadzić przez trans?

– Jak wspomniałem, powinnaś się opanować – odparł sucho żołnierz. – Widzimy się na śniadaniu.

Chwilę potem drzwi się zamknęły.

– Wiesz – bąknęła Migna, gdy zostali sami – to nie jego wina, że nie wie nic o widzeniu.

Ren, który odzyskiwał powoli ostrość widzenia, spojrzał sceptycznie na ciemny humanoidalny kształt naprzeciwko.

– Królewno, jeżeli zamierzasz go usprawiedliwiać, to może lepiej wracaj do siebie. Nawet gdyby nic mi nie zrobił, to nadal Diogorczyk. – Uśmiechnął się krzywo. – Będę go winił za wszystko przynajmniej w takim stopniu, w jakim on wini mnie za swoje niepowodzenia. To jedna z nielicznych przyjemności, które mi zostały.

Widząca prychnęła wrogo, chyba głównie przez tę wzmiankę o Diogorczykach.

– Jak chcesz – rzuciła obrażona.

Jej wyjściu towarzyszyło nieodłączne trzaśnięcie drzwiami.

*

Dwie godziny później Jorg zaordynował kolejny trans.

Ren, delikatnie rzecz ujmując, nie był przekonany do tego pomysłu. Jak zawsze zresztą i jak zawsze nikt się tym specjalnie nie przejął. Tym, że jest pobity również nie. W zasadzie nic dziwnego – pamiętali zapewne, że

przeprowadzał Widzącą przez o wiele gorsze transy w o wiele gorszym stanie. To, że niekoniecznie należało to powtarzać, nie bardzo Jorga obchodziło – zwłaszcza takiego Jorga, wściekłego i zawstydzonego. Jeżeli Ren coś wiedział na pewno, to to, że zawstydzienie kogoś, kto ma nad tobą władzę, jest jedną z najgłupszych rzeczy, które można zrobić. Nie protestował więc nad miarę, nie chcąc pogorszyć swej sytuacji. Po prostu wdrapał się za Widzącą po schodach, na miejsce, z którego mogła obserwować świat odbity w czarno-białej, jak zawsze wypolerowanej na błysk posadzce.

Poszło zadziwiająco gładko. Ufała mu i darzyła pewną sympatią – wiedział już że, jej usta smakują prawie tak samo jak jej imię – mimo to był zaskoczony.

Mogłaby być wielka. Gdyby nie ten poszarpany umysł, mogłaby być jedną z najlepszych Widzących, z jakimi Zakon miał do czynienia. Gdyby tylko wypadki potoczyły się inaczej.

Oczywiście mogłaby też w ogóle nie zostać Widzącą. Ale to inna sprawa. Tak czy inaczej, ich twarze w czarnym, kamiennym odbiciu powiększyły się szybko. Potem została tylko ta jej i wrażenie, że trzyma się kogoś za rękę.

Przeobrażenie już znała – jakby coś rozświeciło ją od środka, napełniając ciało blaskiem zupełnie innym od żaru, który płonął w niej na co dzień. Rozżarzone węgle rozjaśniające się w wypełniony słońcem kryształ.

Lustro, patrzyła w lustro, ona też patrzyła w lustro.

Odwróciła się, a gwałtowny ruch sprawił, że płomień świecy zatrzepotał i zgasł.

Coś stuknęło. Coś zaskrzypiało.

To wszystko działo się za pięć godzin, wyryte w przyszłości w niemal niemożliwy do uniknięcia sposób. Była tego pewna tak samo, jak Jorg był pewien tego, że kobieta, której twarz widziała, nie żyła od lat.

Potem płomień zadrżał raz jeszcze, Mira'nath odwróciła się szybko, ale jej trójkątna twarz pozostała spokojna. W zwierciadle za nią majaczyła wysoka, chuda, przygarbiona sylwetka – „Pogłos”, pomyślała Widząca – zaś na twarzy kobiety przez mgnienie oka, nim pomieszczenie znów zalały ciemności, widniała metalowa maska. Potem z metalicznym, zawodzącym brzękiem pękła wzdłuż. Świeca zgasła.

A wraz z nią trans.

Ren znajdował coś niepokojącego w fakcie, że te widzenia są dla niego tak wyczerpujące. Oczywiście mógł to być efekt jego choroby – umysł odmawiał mu przecież posłuszeństwa – ale mężczyzna nie był pewien, czy to kwestia jedynie tego. Być może byłoby mu łatwiej, gdyby coś z tych transów pamiętał, ale niestety, z wizji nie zostawały mu nawet strzępy, wszystko należało do Widzącej. Kiedy jeszcze nie blokował jej dzikich transów, pamiętał Verę, pamiętał pustynię, pamiętał wszystko, co robili, nim właściwe widzenie się zaczęło. Teraz pozostawało mu tylko wrażenie, które w jakiś sposób stapiało się ze wspomnieniami z Kamieniołomu. Skrajny wysiłek, poczucie, jakby cały zmienił się w napięty do granic możliwości, przecierający się rzemień, mający powstrzymać lawinę.

Dlatego w dojściu do pokoju musiała pomagać mu Widząca i dlatego leżał potem przy drzwiach z uchem przy szparze, próbując wyłowić coś z rozmowy Diogorczyków.

Zadanie nie należało do łatwych. Szpara była wąska, drzwi grube, głosy niewyraźne, sam Przewodnik zaś półprzytomny i trudno było mu składać strzępy dźwięków w jakąś sensowną całość.

Zresztą po nieskładnej relacji Migny – słyszał o świecy i masce, przewinął się też ten idiotyczny pseudonim, jaki sobie wybrał Derek – długo panowała cisza. Przerwał ją dopiero czysty, wyraźny głos Jorga. Żołnierz był wyraźnie poirytowany.

– Kryją się. Kryją się przed widzeniem.

Ktoś zamamrotał coś niewyraźnie.

– Oczywiście, że można, Widząca, wystarczy trochę pomyśleć – padło w odpowiedzi.

Ren uśmiechnął się, nagle z jakichś przyczyn pewien, że Diogorczykom, a zwłaszcza Jorgowi, nigdy nie przyszło to do głowy.

Tak naprawdę to nikomu jeszcze nie przyszło do głowy, i Ren poczuł pewien respekt wobec dowództwa buntowników.

Mógł się założyć, że Jorg też. Że obok złości poczuł właśnie ekscytację.

– No ale jak? – zapytała zirytowana dziewczyna.

– Na przykład wszystkie ważne rzeczy, robiąc w ciemności – odparł oschle. – Na przykład rzucając światło tylko na to, co chcą pokazać. Twarz

trupa. Ważnego, podejrzanego trupa, żebyśmy, jeśli na nich trafimy, strawili tygodnie na poszukiwaniu go.

Przez moment panowała cisza. Hornak bąknął coś z powątpiewaniem, Ren nie potrafił rozróżnić słów. Nie potrafił też zrozumieć odpowiedzi Migny.

– Magiczne zwierciadło – stwierdził za to sucho Jorg.

Znów cisza.

– Muszę to wszystko rozważyć. Dziś wieczorem dam ci rozkazy.

Ren przetoczył się z brzucha na plecy i westchnął ciężko, patrząc w wysoko sklepiony sufit.

Też musiał to wszystko rozważyć.

*

Mignie wcale nie podobały się wnioski, do których doszedł Jorg, nawet jeśli były prawdziwe. Jeszcze mniej podobały jej się związane z nimi rozkazy. Nie podobały jej się do tego stopnia, że postanowiła wdać się z Jorgiem w dyskusję. Rozpoczęta w zasadzie dosyć niefortunnie, ale Migna nigdy nie należała do osób dbających o oględny dobór słów.

– Bzdury – stwierdziła, kiedy dowódca wytłumaczył jej, że skoro w grę wchodzi magiczny przedmiot, to musiał zrobić go toj, a skoro tak, to trzeba nawiązać z nim kontakt, czegoś się dowiedzieć, może śledzić. – To nie może być to. Mają tu już jednego ducha, czemu to takie dziwne, że pojawił się drugi?

Spojrzenie mężczyzny stało się o ton zimniejsze, Widząca jednak nie zwróciła na to uwagi.

– Wydałem ci rozkaz – przypomniał. – Jeśli jednak masz potrzebę zrozumieć go lepiej, proszę: Królowa to zabobon, który można wykorzystać na wiele sposobów. Jeden z nich zastosowali właśnie spiskowcy. Chcą, żebyśmy sądzili, że szukamy ducha, trupa, kogoś nieuchwytnego i bardzo groźnego. Czarodziejka, którą widziałas, przed laty działała w Diogorii.

– Ale ta świeca zapaliła się na powrót, i maska, widziałam pękającą maskę!

– To też jest iluzja, którą, o ile się orientuję, może wywołać toj.

Migna gwałtownie potrząsnęła głową.

– Ale ja wiem, że to tak nie było!

Jorg przez moment uważnie jej się przypatrywał.

– Nie – ocenił w końcu. – Wierzysz, że tak nie było.

Uderzyła pięścią o udo.

– Ty myślisz, że ja jestem jakąś idiotką?! Przecież wiem, co widziałam!

– Tak, Migna. Oni na tym właśnie polegają. Na tym, że wiesz, co widziałas, i na micie Królowej.

Zamilkł, patrząc na nią wyczekująco. Nie odezwał się ponownie, póki nie usiadła.

– Odkąd tu przyjechaliśmy, staram się zgłębić kwestię tego ducha. Uważam, że jest kluczowa dla zrozumienia miasta, a zrozumienie miasta, Migna, jest kluczowe dla jego utrzymania. Zrozumienie osoby, z którą walczysz, zawsze jest kluczowe. Często pozwala zresztą uniknąć prawdziwej walki.

Skrzywiła się z pogardą.

– Po co unikać walki?

– Dla oszczędności. I dla bardziej efektywnego, skuteczniejszego osiągnięcia celu – odparł spokojnie. – Ktoś, kto nigdy z tobą nie walczył, będzie cię lepiej i bardziej wytrwale słuchał, niż ktoś kto walczył i przestał. Tak czy inaczej, Migna, nie twierdzę, że to miasto nie jest przesyczone magiczną energią. Nie twierdzę nawet, że nie jest nawiedzone. Ani że to, co się tu dzieje, nie ma nic wspólnego z Królową, która Urtę zbudowała. Niemniej o ile wiemy, i o ile wiedzieli tutejsi uczeni próbujący zgłębić ten fenomen, Królowa nie ma świadomości takiej, jak my ją rozumiemy. Nie ma celów, sympatii i antypatii. Jest raczej żywiołem tego miasta. Rozumiesz?

Migna, naburmuszona, z rękami splecionymi na piersi, niechętnie skinęła głową.

– Mieszkańcy przypisują jej oczywiście różne przymioty, ale to naiwność. Nie są w tym lepsi od ludzi, którzy próbują rozmawiać z żywiołami. Nasi przeciwnicy zdają sobie z tego sprawę. Muszą, inaczej nie stanowiliby zagrożenia, w ogóle byśmy się nimi nie przejmowali. Doskonale wykorzystali tutejsze wierzenia i specyfikę miasta, nie możemy jednak dać się w ten sposób oszukać. Nie możemy sobie na to pozwolić. Ty nie możesz, bo od ciebie zależy, czy powstrzymamy to powstanie, czy nie.

Jorg zdawał sobie sprawę, że Migna lubi czuć się ważna i doceniona, była też niewiarygodnie łaśna na komplementy. Jeśli się o tym wiedziało, łatwo było sobie z nią poradzić.

– No to mógłbyś mi zaufać – powiedziała, wciąż nieco naburmuszona.

– Ależ ja ci ufam, Migna. Mam za to wrażenie – żołnierz pozwolił, by w jego głosie zabrzmiała przykrość, której wcale nie czuł, bo ani trochę nie zależało mu na opinii tej niezrównoważonej idiotki – że ty nie ufasz mnie.

Niezrównoważona idiotka otworzyła szerzej oczy.

– Ja-ja... Nieprawda, ufam! Ufam każdemu twojemu słowu, nigdy mnie nie okłamiesz, nigdy mnie nie skrzywdzisz, kocham cię jak rodzzonego ojca, jak możesz...

– Skoro ufasz, to zrób, o co proszę – odparł spokojnie. – Zachowujesz się trochę jak Południowcy. Oni też nie rozumieją, czym jest zaufanie ani jakie relacje powinny panować między dowódcą i podwładnym. Albo – uśmiechnął się; wiedział jak korzystać z uśmiechu, jak sprawić, żeby traktowała go jak drogocenny klejnot – między ojcem i córką.

Zagryzła wargi.

– Przepraszam – wymamrotała.

– Nie szkodzi, Migna. Masz dostęp do wiedzy, jakiej nikt z nas nie ma, często masz wyjątkowo trafne przeczucia, twój dar sprawia, że rzadko masz wątpliwości. – Właściwie to sprawiał to jej przekłety charakter. – Rzadko również się mylisz. Ale tym razem muszę nalegać, żebyś postąpiła zgodnie z moją oceną. Zrobisz to?

Skinęła głową.

– Zrobię, Jorg – uśmiechnęła się. – Dziękuję.

– Ja dziękuję – odparł mężczyzna.

Widząca się podniosła.

– To ja idę do miasta – stwierdziła.

Żołnierz skinął tylko głową.

Przyjęła to z ulgą. Nie wytrzymałaby, gdyby musiała z nim rozmawiać choćby minutę dłużej.

Miał rację, prawie na pewno miał rację, ale nie mogła przecież iść do toja! Pamiętał ją, pamiętałby, nawet gdyby w Urcie roіło się od Schanianek, bo zapłaciła mu prawdziwą fortunę. O ile się orientowała, mógłby dzięki niej zamknąć zakład, kupić ziemię gdzieś w Peroli i żyć dostatnio do końca swych dni.

Czego prawdopodobnie nie zrobił dlatego, że był jednym z buntowników.

Miała właściwie dużo szczęścia, że jeszcze się nie zorientowali, że ona to ona. Że jeszcze nie zapytali, kogo właściwie chciała szpiegować za pomocą

zafry. Mogłaby rzecz jasna powiedzieć, że to był zakup dla Jorga, ale wtedy rzecz zrobiłaby się podejrzana, bo mógł ją śledzić i...

Mogła też powiedzieć Jorgowi o kluczu. On by coś wymyślił.

Ale byłby wściekły, taki strasznie wściekły i byłoby mu przykro, no a poza tym nie wiadomo, jak by się to skończyło dla Rena.

Oczywiście mogła zrobić użytek z zafry, sprawdzić, z kim Przewodnik się spotyka, i twierdzić, że ma te informacje dzięki kontaktowi z tojem. Tylko że...

...okłamywałaby Jorga. A bardzo nie chciała okłamywać Jorga.

Kopnęła z furią jakiś kamień, który akurat zaplątał się jej pod nogi.

Trzeba będzie coś wykombinować. Trzeba będzie, a jeżeli Migna czegoś nienawidziła, to zmyślania właśnie.

Właściwie w jaki sposób została tym szpiegiem?

Rozdział XIII

Bohaterstwo

Zakład toja nie był dobrym miejscem dla żebraka. Obracano tam przecież ogromnymi pieniędzmi, więc na żebraków nie patrzono przychylnie. Mogli, zrządzeniem Królowej, znaleźć się w okolicy, ale nigdy nie próbowali przekroczyć progu.

Chyba że nie byli żebrakami.

Ren nie podszedł od frontu, nie był głupi, no i miał szczęście, bo trafił na tylne wyjście. Zbliżył się do drzwi zakołatał. Powstały w efekcie odgłos był dość osobliwy – gdy tylko ciężki metal stuknął o drewno, gdzieś wewnątrz rozległy się delikatne, odległe dźwięki jakby poruszania napiętych strun albo dzwoneczków. Przewodnik usłyszał też kroki, ale ktokolwiek chodził po pomieszczeniu, nie zbliżył się do drzwi. Brzmiało to tak, jakby podszedł do czegoś i zawrócił.

Mężczyzna się skrzywił. Toj zapewne wyposażył swój zakład w mechanizm mówiący, kto stoi pod drzwiami. I zapewne nie zamierzał otwierać obszarpancom. Jeśli w zakładzie wciąż pracował ten sam toj co parę lat temu, było to więcej niż pewne.

Ren oparł się o ścianę i zamyślił. Kilka dni wcześniej odkrył, że najlepiej myśli mu się poza celą, i wcale mu się to nie podobało. Cóż, kiedy w wieży osiągał raczej szczyty bezsilnej wściekłości niż pomysłowości. W związku z tym coraz więcej czasu spędzał poza zamkiem. To z kolei było tak niebezpieczne, że wołał nawet o tym nie myśleć, bo prędzej czy później dostawał mdłości.

Tak czy inaczej, skoro Derek zawiódł, Ren musiał na własną rękę poszukać kogoś zaufanego, kto mógłby uwolnić Widzącą. Trudno mu było powiedzieć, co niby miałoby się wydarzyć dalej, ale nauczył się już, że skomplikowane, wielostopniowe plany istnieją po to, by w spektakularny sposób obracać się w ruinę. Nie miał więc planu, miał tylko cel. Wiedział, że następny się znajdzie i że szukanie go zamiast prób zrealizowania obecnego było oddawaniem się marzeniom, a na to nie mógł sobie pozwolić. Nie bardziej niż na bezsilną wściekłość.

Kiedy podsłuchał rozmowę Jorga i Migny, postanowił skorzystać z pomysłu diogorskiego żołnierza. Pomysł z tojem wydawał się bardzo prawdopodobny, no i stanowił przynajmniej jakiś trop.

Byłby jednak zdecydowanie bardziej obiecujący, gdyby z mężczyzną dało się porozmawiać.

Przewodnik westchnął, odepchnął się od ściany i ruszył przed siebie wąską uliczką. Szybko dotarł do jednej z licznych opuszczonych kamienic. Znalezienie tam ułamanej deski i kawałka węgla z wygasłego ogniska nie stanowiło problemu.

„Mam Widzącą”, nie było hasłem, obok którego ktokolwiek na świecie przeszedłby obojętnie, bez względu na to, jak wyglądał ten, kto je głosił.

– Wiem – odezwał się niechętnie Afrad, bo tak miał na imię toj, otworzywszy drzwi. Pospiesznie rozejrzał się w lewo i w prawo, po czym odsunął się, by pozwolić Przewodnikowi wejść do środka. – Pospiesz się, nie chcę, żeby nas widziano.

Ren posłusznie wślizgnął się do wnętrza.

Sień była długa, wąska i ciemna, gdzieś dalej w korytarzu mężczyzna dostrzegł wprawdzie błękitnawy poblask, ale nie zdążył się mu przyjrzeć, toj błyskawicznie wprowadził go do jakiegoś zagraconego pomieszczenia.

– Ani mi się waż – syknął, kiedy Ren spróbował przysiąść na jednej ze skrzyń. – Co ci strzeliło do głowy?! Daj to. – Wziął od Rena przegniłą deskę i złamał na kolanie. – Wiemy, że masz Widzącą, to że powiedziałeś jednemu z nas, wystarczy. Nie musisz od razu dekonspirować całego ruchu. Poza tym skąd, na wszystkie żywioły, o mnie wiesz?

– Jorg się domyślił. Rzadko się myli, uznałem więc, że przynajmniej raz wykorzystam to na swoją korzyść.

– A o naszej korzyści pomyślałeś? – zapytał toj. Nie był człowiekiem skłonny do przesadnej ekspresji: bijąca od niego niechęć do świata utrzymywała się na mniej więcej stałym, wysokim poziomie. Nie krzyczał więc, tylko cedził słowa, nawet nie zaciskając specjalnie zębów, po prostu ledwie otwierając usta. – Gdybyś trafił na... kogoś innego, byłbyś martwy.

– Ciekawa polityka – odparł Ren chłodno.

– Skuteczna.

– Za to mało efektywna, jeśli zależy wam na jakim takim zasięgu. A mimo wszystko powinno.

– Na razie zależy nam na tym, by nas nie wykryto. Jak wiesz, nie jest to łatwe.

– Pozwalacie swoim przeciwnikom trzymać Widzącą – więc można sądzić, że nie zależy.

– Już niedługo.

Ren zeszytniał, serce zabiło mu szybciej.

– Co?

– Już niedługo. Podejrzewam, że przyszedłeś do mnie w tej samej sprawie, w której zawitałeś do swojego mistrza. Pozwól więc, że cię uspokoję. Niebawem wrócimy jej pamięć.

– Kiedy? – zapytał natychmiast Przewodnik, zapominając nawet wspomnieć, że Derek nie jest jego mistrzem.

Afrad patrzył na niego beznamietnie. Zieleń jego oczu kojarzyła się z bagienną roślinnością.

– Pojutrze – odparł wreszcie.

Dwa uczucia ogarnęły Rena z taką siłą, że niemal zwały go z nóg: ulga i złość.

Postanowił dać wyraz temu drugiemu:

– A zamierzaliście może jakoś mnie o tym poinformować?

– Jak? – zapytał Afrad spokojnie – Nie mamy z tobą kontaktu.

– Choćby przez nią! – zawołał Ren.

To byłoby bardzo głupie i mogłoby mieć fatalne skutki, ale na żywioły, przecież jej ufali, wiedzieli, że Ren jest jej Przewodnikiem. Twierdzenie, że nie ma z nim kontaktu, było tak absurdalne, że nie mieściło mu się w głowie.

– Ciszej, jeśli łaska – mruknął Afrad.

– To czemu nie chcieliście mi powiedzieć?

– Nie była to moja decyzja. Gdybym jednak miał zgadywać, powiedziałbym, że wydało się to nam ryzykowne. Jak widać, nie należysz do osób szczególnie predysponowanych do dyskrecji.

– A nie pomyśleliście, że powinna mieć wtedy przy sobie Przewodnika? – spytał jadowicie. – Czy wy w ogóle sobie wyobrażacie, co będzie wtedy przeżywać?

Nie wyobrażali sobie, nie znali jej, nie znali Very, no i nie wiedzieli, do jakiego stopnia ma wyprany mózg. Ale mogliby chociaż spróbować!

– Pomyśleliśmy, że wszyscy powinniśmy być w stanie przeżyć tę operację. Masz więc, masz sposób na wydostawanie się z zamku, znalazłbyś ją. Poisz ją odpowiednimi ziołami, więc nie wpadnie w trans w wyniku szoku.

Ren potrząsnął głową, zaciskając usta.

– No dobrze, a teraz, skoro już wiem, możesz mi łaskawie podać jakieś szczegóły?

Afrad przez chwilę rozważał to pytanie.

– Tak, sądzę, że tak – stwierdził w końcu. – Za dwa dni, po południu, w mojej piwnicy. Porucznik z namiestniczką będą wtedy wizytować garnizon, Migna nie ma tam wstępu, więc będzie wolna. Derek ją wtedy tu przyprowadzi.

Ren odetchnął z ulgą, przysiadając na skrzyni. Toj skrzywił się, ale ostatecznie tego nie skomentował. Przewodnik zresztą zreflektował się po chwili i wstał.

– Przepraszam – powiedział. – To po prostu... trwało bardzo długo.

Afrad skinął głową.

– Rozumiem.

Ren podszedł do toja i ujął jego dłoń w obie swoje.

– Dziękuję – powiedział. – Będę tu.

– Jeśli Królowa pozwoli – odparł Afrad. – Do zobaczenia, mam nadzieję – dodał, otwierając drzwi.

*

Pogłos zachowywał się tego dnia bardzo podejrzanie. Migna oczywiście nie przyznawała się przed sobą do strachu, choć ruchy wychudłego, przygarbionego starca, jego rozgorączkowane odrobinę spojrzenie i tajemnicze uśmiechy w ogóle się jej nie podobały. Do tego poruszał się jakoś chaotycznie, nieustannie przebierając długimi, kościstymi palcami. To ostatnie było co prawda było dla niego dość typowe, ale dziś wyjątkowo działało Mignie na nerwy. W ogóle miała zły dzień, a to, że mężczyzna nie chciał się nawet zająknąć na temat tego, dokąd idą, wcale nie poprawiało sytuacji.

Zresztą dokądkolwiek szli, Migna wcale nie chciała tam być. Wolałaby obejrzeć garnizon, zwłaszcza diogorskie maszyny bojowe, a nie szlajać się po mieście z tym bezużytecznym starcem. A w każdym razie takie miała nastawienie, nim wprowadził ją tylnym wejściem do jakiegoś zaniedbanego budynku.

– Mamy dzisiaj specjalną okazję – zachrypiał. Migna przewróciła oczami. Powtórzył to chyba piąty raz, odkąd się spotkali. – Chciałbym przedstawić cię kilku osobom.

No, to już było ciekawsze.

Przewodnik tymczasem przeszedł szybko korytarzem i przyklęknął przy klapie w podłodze.

– Zapraszam, młoda damo – powiedział, szerokim gestem wskazując zejście. Cień jego kościstej dłoni na ścianie wyglądał jak ogromny, utkany z ciemności pajak. Migna wzdrygnęła się, gdy mężczyzna odruchowo poruszył palcami, mimo to posłusznie zbliżyła się do klapy. Czuła, jakby z każdym krokiem stawiała się mniej sobą z krwi i kości, a bardziej biciem własnego serca.

Pomieszczenie, do którego schodziła po wąskich, najpewniej przegniłych schodach, było chłodne, wilgotne i pogrążone w mroku. Gdy zestawiała stopę z ostatniego stopnia, przystanęła, niepewna, co dalej. Wzdrygnęła się, gdy poczuła na ramieniu pająkowatą dłoń Dereka. Zrobiła krok do przodu, potem drugi.

– Witaj, Migna.

Widzając aż westchnęła. Nigdy w życiu nie słyszała tak pięknego głosu. Nigdy.

– Musisz nam wybaczyć tę ciemność. Jak się pewnie domyślasz, nie możemy sobie pozwolić na to, by nas widziano.

Migna skinęła głową i zaraz zorientowała się, że czarodziejka – to musiała być czarodziejka – nie miała szans tego dostrzec.

– Rozumiem.

– Doskonale. Zdecydowałam się na spotkanie z tobą dlatego, że życie w Urcie zmieni się dziś w znaczący sposób. Razem z nim w znaczący sposób zmieni się twoje życie, dlatego powinniśmy porozmawiać.

– Zmieni? Jak?

– Derek? – powiedziała tajemnicza kobieta.

– Jeszcze chwila.

Nie, to było nie do zniesienia.

– Chwila na co?!

– Zobaczysz. Niektórzy twierdzą, że mam zamiłowanie do teatralności. Ja twierdzę, że to pragmatyzm. Nie zdradzam moich planów, nim nie będę absolutnie pewna, że zdołam je zrealizować. Zwykle nie zdradzam ich więc wcale, ponieważ zbyt wiele może pójść nie tak. Nawet w takiej sytuacji jak teraz.

– To po co tu jestem? Żebyś mogła się pochwalić, że o niczym mi nie powiesz?

– Nie – zaprzeczyła spokojnie kobieta. – Jesteś po prostu częścią innego planu.

Ktoś westchnął. Nie czarodziejka ani nie Derek, i tego było już dla Migna za wiele.

– Daj tu jakieś światło i mów, o co chodzi, albo stąd wyjdę – stwierdziła stanowczo.

– Nie byłabym tego taka pewna.

– Ja jestem. No, już.

Przez moment panowała cisza i Migna już miała się obrócić ku schodom, gdy w pomieszczeniu zapłonęła świeca. Widząca zamrugła zaskoczona, a kiedy jej wzrok przyzwyczaił się do światła, wciągnęła gwałtownie powietrze. Przed sobą widziała bowiem własną twarz, własne ciało.

Odbicie uśmiechało się.

A gdy zajaśniało, Migna wiedziała już, co zobaczy – znała przecież te świetliste oczy, włosy jakby objęte płomieniem, jasną skórę, piegi. I to już nie było odbicie. Czarodziejka stała przed nią w ciele, Migna mogłaby po prostu podejść i skrócić jej kark. Nie rozumiała, jak to się stało, ale kiedy zaczynała działać magia, takie pytania nie miały sensu.

– Derek? – zapytała czarodziejka.

– Już.

– Dobrze. – Przeniosła wzrok na Widzącą. – Nasze źródło w zamku doniosło nam, że Jorg i namiestniczka, wbrew swoim wcześniejszym planom, nie będą dziś rozmawiać z dowódcą straży miejskiej. Zamiast tego porucznik będzie wizytował garnizon. Tak się składa, że w garnizonie też mamy swoich ludzi.

– No i? – spytała Migna ostrożnie.

– Jeśli wierzyć wyczuciu czasu Dereka, a jak zapewne wiesz, Przewodnicy mają doskonałe wyczucie czasu, możemy z dużą dozą pewności stwierdzić, że namiestniczka nie żyje. Wiąże się z tym...

Świeca zgasła.

Czarodziejka miała później wrażenie, że widziała przedtem ruch, że Widząca coś zrobiła. Musiała przecież. Płomień nie mógł zniknąć sam z siebie, świeca ot tak nie wypadła z jej dłoni. Wtedy jednak, oszołomiona i wściekła, nie rozumiała, co zaszło. Ot, świeca zgasła i zaraz potem rozległy się szybkie kroki na schodach, kłapa otworzyła się z hukiem, kroki znów zadudniły, tym razem na korytarzu.

Czarodziejka zaśpiewała cicho, jedną krótką czystą nutę. Nad jej głową zawisł magiczny ognek.

Migny nie było.

Młodszy z Przewodników nie zaszczycił dowódczyni ruchu oporu nawet jednym spojrzeniem. Wypadł z pomieszczenia, zdecydowanie wolniej i mniej niespodziewanie niż Widząca, ale nikt nie próbował go zatrzymywać. Nie było sensu.

*

Z tym, co było dla Nuki niedostępne – mimo piastowanego stanowiska i władzy – wiązał się rodzaj bólu, który przyjmowała z rozkoszą, bo przenikał ją całą i poruszał ją do głębi, a niewiele już było takich rzeczy.

Grała z nim, niecierpliwie oczekując przegranej, ale nie poddając się ani na moment – poddawanie się absolutnie nie leżało w jej naturze, zresztą gdyby to zrobiła, gra okazałaby się fałszywa. A fałszywa gra nie potęgowałaby bólu, nie odbierałaby Nuce tchu, nie powodowała zawrotów głowy, nie zostawiała jej ze smakiem tęsknoty i niespełnienia na języku. Więc jaki byłby w niej sens?

Tego dnia jednak miała wyjątkowo wiele sensu. Może dlatego że Nuka odnosiła wrażenie, jakby wszyscy troje przemieścili się w czasie. To było inne wojsko, inne miasto, nieco inna wojna, ale coś sprawiało, że czuła się na miejscu, w domu, zwłaszcza w towarzystwie Jorga i Hornaka.

Ten drugi – prężący się dumnie i wciąż zerkający na namiestniczkę, by sprawdzić, czy go zauważa, czy podziwia imponującą muskulaturę – stanowił ich jedyną eskortę. Idąc do garnizonu, Nuka tylko raz wzięła ze sobą swoją straż przyboczną. Przez całą wizytację – i kilka tygodni po niej – czuła trudny do sprecyzowania niesmak. Kiedyś była przecież żołnierką, jedną z najlepszych w Diogorii, i wchodząc do diogorskiej bazy wojskowej, nie potrzebowała ochrony. Poza tym byłby to sygnał, że nie ufa nowym podwładnym. Nie ufała, w większości byli Południowcami i nie powinni w ogóle nosić diogorskich barw, ale nie sądziła, by mądrze było okazywać nieufność. Albo strach.

Tylko raz – kilka miesięcy wcześniej, kiedy siedziała w gabinecie z listem obwieszczającym przybycie Jorga na stoliku i winem w dłoni – przyznała się sobie, że nie chce być namiestniczką. Nie tam. Wszędzie tylko nie tam, nie w domu. To też była część gry.

Starła się więc nią nie być, nie brała ochrony i zamiast jednej ze swych budzących podziw sukien nosiła lekką zbroję. Jeśli zakryła przy tym włosy i nie zrobiła makijażu, zdarzało się, że – choć wizytacja była zapowiadzana – brano ją za zwykłego żołnierza i dowiadywała się wtedy naprawdę interesujących rzeczy o funkcjonowaniu diogorskiego garnizonu.

Tego dnia jednak wszyscy zdawali sobie sprawę z jej tożsamości, a także, w takim stopniu, w jakim zostały im ujawnione, z tożsamości Jorga i Hornaka. O ile była w stanie się zorientować, wszystko było tak, jak być powinno. Jorg, który poświęcał o wiele mniej uwagi temu, że są w trójkę w garnizonie, a o wiele więcej samemu garnizonowi i rozmowom z częścią dowódców, również wydawał się usatysfakcjonowany.

Hornak... cóż, Hornak jak zwykle nie do końca rozumiał, co się wokół działo, i skupiał się głównie na tym, żeby imponować Nuce. Za każdym razem, kiedy na niego spoglądała, smak tęsknoty stawał się wyraźniejszy, a świeże, wiosenne powietrze stawało się w jej płucach niczym sól.

Nie zmieniała jednak wyrazu twarzy, niemal nie mrugała, starając się utrzymać w sobie ten stan, zamknąć i zatrzymać jak w kryształach. Wreszcie poczuła lekki zawrót głowy, podobny do tego, który dopadał człowieka po zbyt dużej ilości wina, ale o ileż czystszy i prawdziwszy.

Nagle zamigotało jej w oczach. Nie zwróciłaby na to uwagi, słońce odbijało się od wielu przedmiotów, zwłaszcza w diogorskich garnizonach, ale była kiedyś jedną z najlepszych żołnerek w Diogorii. Więc zwróciła uwagę, jakimś szóstym zmysłem.

Hornak też, on wcześniej. W pewnych rzeczach zawsze był lepszy. A może zauważyli to w tym samym momencie, tylko on wcześniej zrozumiał, albo może zrozumieli oboje, ale zareagowali inaczej, bo ona była sparaliżowana i może nawet chciała, może czekała?

Hornak ryknął.

Nie słyszała go nigdy w ten sposób, nigdy nie chciała i na szczęście nie musiała, aż do wtedy. Była Diogorką, nie mógł wyrzucić jej krzywdy, ale dźwięk, który dobył się z jego gardła, był obrzydliwy w swojej potędze.

Poczuła uderzenie. Hornak naparł na nią swym wielkim, silnym ciałem, posyłając ją na ziemię. Jorg krzyknął, rugając Hornaka. Stary ślepiec, zawsze nim był.

Nie uderzyła o bruk – jej ciało zamortyzowało upadek, przetoczyło się i podniosło. Dalej działała już ona, choć wciąż bez udziału myśli. Kierowały nią jedynie uczucia, których nie chciała i nie potrafiła nazwać,

których nie chciała więcej czuć. To one, nienawiść i gniew, płynęły w jej żyłach, kiedy sięgała po kuszę, to one naciągnęły cięciwę, to one dały jej jasność, jakiej nie miała nigdy wcześniej, choć mawiano, że należy do najlepszych strzelców w Diogorii. To one celowały. Nie umysł i oczy – głupcami byli ci, którzy celowali, używając umysłu i oczu: celowało się ciałem, biodrami ramionami, jednym doskonałym ułożeniem, które sprawiało, że w jakiś dziwny sposób było się tuż obok celu, tego śmiecia, szubrawca, tej gnidy, która miesiącami będzie gnić w lochu. Gniew, wierność królowi, miłość – to były najlepsze strzały.

Wypuściła bełt.

Mogłaby je czuć z całą mocą. Mogłaby pozwolić dojść do głosu wściekłości i nienawiści, gdyby nie były podszyte przerażeniem, które nie pozwalało jej spuścić wzroku i spojrzeć na Hornaka.

Lecz była Diogorką i przerażenie nie miało nad nią kontroli. Wszystkie uczucia były jej podległe, ale czasem walczyły tak zaciekle jak ci przekłęci Południowcy. Toteż nawet kiedy bełt trafił napastnika – wiedziała, że trafił i wiedziała, że przebił nogę, skruszył kość w niezwykle bolesny sposób, albo chciała, żeby tak było, chciała wiedzieć – nie spojrzała w dół. Zamiast tego skierowała wzrok na grupkę zdeorientowanych, przerażonych żołnierzy.

– PRZYNIEŚĆ MI TO ŚCIERWO! – zawołała, wskazując miejsce, gdzie leżał zamachowiec.

Dopiero wtedy popatrzyła na ziemię.

Bełt był taki niepozorny. Taki mały w porównaniu z Hornakiem, nie mógł mu przecież zrobić krzywdy, a jednak mężczyzna leżał błyśnięty i nieprzytomny. Lśniące srebrne pióra na cienkim trzpieniu wystawały mu z piersi jak dziwaczny order, z kącika ust wypływała strużka krwi.

Był przepiękny. Zawsze był. Opadła na kolana i chciała sięgnąć do rany, ale Jorg – on, zawsze on – chwycił ją za nadgarstek. Zdusiła pragnienie, by mu się wyrwać, po prostu na niego popatrzyła.

– Czekaj – powiedział cicho, niemal łagodnie. – Przypatrz się, to sokół.

Nuka poczuła, jak krew ścina się w jej żyłach, i zawołała o medyka, tak głośno i wściekle, że gardło bolało ją potem przez kilka dni.

Cóż mógł jednak medyk wobec jednego z najbardziej śmiertelnych wynalazków Diogorii? Opatrzył Hornaka, owszem. Wyciągnął część strzały, tę, która nie rozpadła się na ostre odłamki rozrywające ciało od środka.

Wydłużył agonię i odesłał do zamku – ostatecznie były tam najlepsze warunki w mieście, na pewno lepsze niż w lazarecie.

W każdym razie najlepsze do umierania.

Nuka pamiętała, że kiedy wrócili, Widząca była w wieży. Kiedy ich zobaczyła, rzuciła się do noszy, raz po raz powtarzając imię Hornaka i mówiąc coś na przemian po diogorsku i schañsku.

Pamiętała też, że dość długo siedzieli we trójkę w komnacie mężczyzny, nie wiedząc, co zrobić, i chyba nie rozumiejąc całej sytuacji. Ona nie rozumiała. Wiedziała, co się dzieje, to było logiczne i okrutnie prawdziwe, ale nie rozumiała, bo Hornak, wielki, silny Hornak, leżał na łóżku i był absolutnie, absurdalnie bezbronny, a przecież wystarczyło rzucić okiem na jego mocarne ciało, by wiedzieć, że to niemożliwe.

On chyba też tak uważał. W którymś momencie otworzył oczy – serce Nuki załomotało tak, że prawie nie usłyszała, jak krzyknął z bólu – i chciał się poderwać z posłania. Wtedy i ona krzyknęła.

– Leż!

Położyła mu rękę na piersi. Jej dłoń wyglądała śmiesznie, taka drobna i blada, a jednak zatrzymała go, spojrzał na nią i posłuchał.

– Musisz leżeć. Nie wolno ci się ruszać – powiedziała cicho.

Gdzieś obok szurnęło krzesło, trzasnęły drzwi. Początkowo Nuka nie zwróciła na to uwagi, ale chwilę później zorientowała się, że Migna wyszła.

Mała, niewdzięczna gnida z Południa. Cóż, może i lepiej. Nuka tak czy inaczej nie przepadała za jej obecnością.

Rozdział XIV

Przyjaźń

Ren nie dogonił Widzącej, po tym jak wypadła z piwnicy toja. Nie miał ani kondycji do gonitw, ani pojęcia gdzie się udała. Podejrzewał, że do garnizonu albo zamku – bo gdzie indziej – ale mogła równie dobrze puścić się biegiem przed siebie.

Prześcignął ją – co było bardzo zaskakujące i bardzo naturalne zarazem. Czy w mieście królowej mógł się dziwić, że wypadłszy zza pierwszego rogu, za który zdecydował się skręcić, trafił na mur z tajnym wejściem do wieży?

Nie mógł.

Mógł się zdenerwować – co też zrobił – mógł też spróbować się zbuntować, co także zrobił, choć miał świadomość, że po pierwsze: ryzyko jest duże, a po drugie: jeśli miasto się uparło, to równie dobrze mogłoby buntować się przeciwko następstwu pór roku.

Natknąwszy się więc na ten sam fragment muru po raz czwarty, po prostu wszedł do wieży.

Rychło w czas, bo gdy tylko znalazł się w swojej celi, usłyszał szybkie kroki na żeliwnych schodach i zgrzyt klucza w zamku, a chwilę potem do pomieszczenia wpadła Widząca z furią w oczach. Furia bardzo szybko zmieniła się w zaskoczenie – dziewczyna najwyraźniej nie spodziewała się zastać Przewodnika na miejscu.

– Dobry wieczór, kró... – zaczął spokojnie, ale nie słuchała go. Obróciła się, trzasnęła drzwiami i przekręciła klucz, zostawiając go samego na łądnych kilka godzin.

Dobiegły go odgłosy zamieszania. Słyszał Widzącą powtarzającą imię Hornaka, domyślił się więc, że mężczyzna został ranny w czasie zamachu. Zastanawiał, się co z namiestniczką, ale tak naprawdę nie zajmowało go to jakoś szczególnie, być może dlatego że ta kwestia nie bardzo go dotyczyła. Oczywiście spiskowiec miałby teraz twardy orzech do zgryzienia, ale Ren nie był spiskowcem. Był Przewodnikiem Widzącej, która nadal nie odzyskała imienia, więc jego miejsce było przy niej, w zamku Królowej. To, czy Hornak uratował tę diogorską kurwę, czy też nie, było niezbyt

istotne. Chociaż Ren miał nadzieję, że nie uratował. I że sam zejdzie w wyniku odniesionych ran, jakie by nie były.

No cóż. Powinien się już nauczyć, że nadzieja to suka.

Wreszcie drzwi do celi znów się otworzyły. Widząca jak zwykle wtargnęła do pomieszczenia jak tornado.

– Hornak umiera!

Ren, który właśnie stał przy oknie, odwrócił się i popatrzył na nią spokojnie. Domyślał się, dokąd to zmierza, ale miał zamiar zgrywać idiotę tak długo, jak długo będzie mógł. Czasem był to nad wyraz skuteczny oręż, choć po prawdzie Przewodnik wątpił, czy tym razem zadziała.

– Przykro mi, królewno. Ale czy nie powinnaś w takim razie być przy nim, a nie tu? Chyba się lubicie.

Widząca zamrugła, nieco chyba zdziwiona niedomyślnością Rena.

– Musisz mu pomóc!

Mężczyzna przez chwilę wyglądał, jakby się zastanawiał. Chociaż oczywiście nie robił tego, odpowiedź miał gotową, kiedy tylko usłyszał zgrzyt klucza w zamku.

– Nie.

– Co?!

– Nie muszę – powtórzył. – Królewno, ile razy będziemy to powtarzać? Przeprowadzam cię przez transy. I to jest wszystko, co robię dla Diogorii.

Widząca zanurzyła dłonie we włosach i z impetem potrząsnęła głową.

– To nasz przyjaciel!

Ren nie potrafił się powstrzymać i zachichotał histerycznie.

– Nie – powiedział, opanowawszy się, a ton miał upiornie wręcz poważny.

Zacisnęła usta.

– Dobrze: mój przyjaciel!

– Nieprawda.

Kobieta na moment zapomniała o rosnącym gniewie i spojrzała na Przewodnika z zaskoczeniem.

– Nie jest twoim przyjacielem – wyjaśnił. – Bez względu na to, jaką sympatią go darzysz. Co do mnie, miałem powody, by darzyć go szczególną nienawiścią, jeszcze zanim zostałaś Widzącą. Każdy, kto przepracował w kamieniołomie chociaż tydzień, miał po temu powody.

Migna spojrzała na niego z niedowierzaniem i Przewodnik łudził się – ostatecznie był w tym naprawdę dobry – że coś do niej dotarło. Na próżno.

– I mam się tym przejąć – stwierdziła.

– Tak, tego bym oczekiwał.

Widząca poruszała się niezwykle szybko. Wynikało z tego wiele rzeczy, między innymi umiejętność stawania tuż przed rozmówcą nagle i niespodziewanie.

Chwyciła Rena za kark.

– Mój przyjaciel umiera – wysyczała, patrząc mu prosto w oczy. – A ty jesteś Przewodnikiem. Myślisz, że cię nie zmuszę? Myślisz, że interesuje mnie, co sądzisz na jego temat? Pomyśl jeszcze raz.

To rzekłszy, po prostu wyciągnęła go siłą z celi i zawlokła na górę. Zatkąła mu też usta dłonią, więc nie mógł protestować, póki nie wepchnęła go do komnaty Hornaka.

– Chcesz oddać rannego w ręce kogoś, kto go nienawidzi – przypomniał, łapiąc równowagę i kompletnie ignorując Jorga z namiestniczką. Jedno i drugie wymagało sporego wysiłku.

Przez moment w komnacie panowała ciężka, gęsta, pełna wątpliwości cisza i Ren pomyślał nawet, że jednak go odeśłą.

– Jeśli on umrze... – zaczęła w końcu Widząca.

– ...ty umrzesz w moim lochu – dokończyła za nią namiestniczka. Głos miała zimny, zbyt spokojny i zbyt opanowany, nawet jak na Diogorkę. – Za kilka bolesnych lat.

Powiedziała to tak, że faktycznie uwierzył, odwrócił się więc do rannego.

Na żywioły, jego życie w jego rękach! I nic nie mógł zrobić.

Zabrał się do zdejmowania opatrunku.

– Co to było? – zapytał rzeczowo.

– Sokół – odparł sucho Jorg, odzywając się po raz pierwszy, odkąd Ren pojawił się w komnacie. Przewodnik z sykiem wciągnął powietrze.

– Dawno?

– O zachodzie słońca.

– Trzy godziny – mruknął Ren. – Ufam, że skoro lata spędzone w twoim lochu, pani, mogą być długie i bolesne, jesteście w posiadaniu ostrych i precyzyjnych narzędzi. Będę potrzebował wszystkich.

Czasem uważał za zabawne, że narzędzia mistrzów tortur są zazwyczaj lepiej utrzymane i mają lepszą jakość niż te używane przez większość medyków.

Czasem zaś doprowadzało go to do mdłości.

– Będę też potrzebował laboratorium. I wielu składników. Najlepiej, jeśli ktoś to spisze – dodał, nie podnosząc głowy znad rany. – Mocny alkohol i ciepłą wodę jesteście, jak mniemam, w stanie zorganizować natychmiast, reszty potrzebuję jak najszybciej. Możecie też sprowadzić kogoś do pomocy. Tylko błagam, nie partacza.

– Sugestie? – zapytał Jorg. Ren nabierał już powietrza, żeby odpowiedzieć, ale uprzytomnił sobie w porę, o co i dlaczego pyta żołnierz.

Oczywiście powodowała nim w jakimś stopniu troska o Hornaka. Ale kontakty Rena w mieście były dla niego o wiele cenniejsze.

– Żadnych, panie. Ci, których znałem, najpewniej nie żyją.

– Postaramy się kogoś znaleźć – rzekł Jorg, wstając.

Niedługo później Ren został sam z Hornakiem, narzędziami tortur i własną, niemogącą znaleźć ujścia nienawiścią.

Po mniej więcej godzinie sprowadzili mu pomocnika.

Ren szybko doszedł do wniosku, że to jakiś nierozgarnięty idiota. Zajęty ustalaniem położenia odłamków sokoła pod skórą na piersi Hornaka nie musiał nawet na niego spoglądać – odkąd zamknęły się drzwi, mężczyzna nawet się nie poruszył, i to wystarczyło do wyrobienia sobie opinii. Przynajmniej do chwili, w której przybyły nie uznał za stosowne się odezwać:

– Cześć, Ren.

Przewodnik na moment skamieniał, a potem bardzo powoli podniósł wzrok i długo wpatrywał się w przystojnego, ciemnowłosego mężczyznę. Ośłupienie niespiesznie przechodziło w szczerą radość.

Prawie zapomniał przy tym o pacjencie, ale na szczęście udało mu się utrzymać dłonie na jego skórze.

– Żyjesz – wykrztusił wreszcie.

Kart, jego najbliższy przyjaciel, człowiek, którego nie wahał się nazywać bratem, uśmiechnął się szeroko i skinął głową.

– Niezmiennie – odparł, podchodząc wreszcie do łóżka Hornaka. Rzucił okiem na pacjenta, a potem na Przewodnika. – Ty, jak widzę, nadal usiłujesz się swojego życia pozbyć?

– Powiedziałbym, że próbuję je ocalić w niesprzyjających warunkach – odparł Ren. – Niezmiennie.

Kart pokiwał głową i zamilkł. Zrobiło się niezręcznie.

Nie widzieli się od lat, przekonani nawzajem o własnej śmierci – tak było łatwiej, niż łudzić się nadzieją – zdążyli się nawet wzajemnie opłakać. Ren

dobrze pamiętał towarzyszące mu przez długi czas poczucie straty i widział w oczach Karta, że on również już się z nim kiedyś pożegnał. Teraz najchętniej padliby sobie w ramiona, ale stan Hornaka nie pozwalał na to, by mogli poświęcić czas i energię na cokolwiek poza ratowaniem mu życia.

– No dobrze – odezwał się wreszcie medyk. – To zajmijmy się tym gigantem. Sokół, tak?

– Sokół – potwierdził Ren. – Dziś o zachodzie słońca, prosto w bebechy. – Kart uniósł brwi, Ren wołał jednak chwilowo nie roztrząsać, jak to możliwe, że Hornak jeszcze żyje. – Namierzyłem już większość, ale nie...

– ...nie zabrałeś się nawet do warzenia listru, widzę – dokończył za niego Kart, podchodząc do żeliwnego stołu i stawiając na nim swoją torbę lekarską. – Zajmę się tym, Przewodniku, ty go jeszcze obmacaj – rzucił nieco kpiącym tonem.

Zwykł bezlitośnie drwić z Przewodników i ich poczucia wyższości, i miał do tego pełne prawo – nie został Przewodnikiem z własnej woli, a nie dlatego że zabrakło mu wytrwałości albo talentu – ale Rena kiedyś strasznie to irytowało. Potem zrozumiał, że podejście Karta nie było zupełnie nieuzasadnione.

Minęło kilka godzin, nim mogli sobie wreszcie pozwolić na zostawienie pacjenta i zajęcie się sobą. W milczeniu padli sobie w ramiona – uścisk był krótki, ale silny. Później usiedli przy stole, zbyt zmęczeni, żeby obmywać się z Hornakowej krwi. Kart zerknął na nieprzytomnego Diogorczyka.

– Jakim cudem to się udało? Nie powinien dożyć do mojego przyjścia.

– Przysięgałem na jego krew – odparł niechętnie. – Mirvelus miał rację, to pomaga. Nie na bardzo dużą skalę – dodał – cudów nie ma, prawo to prawo, a ciało to ciało, ale... po prostu lepiej go wyczuwam, precyzja się zwiększa. To tak... To jakbyś robił wszystko w najlepszym momencie w najlepszy możliwy sposób.

Była to mała medyczna sensacja – dzieło Mistrza Mirvelusa. Żywioł krwi, rytuały i leczenie było szeroko dyskutowane od chwili swego powstania sto lat wcześniej, nikt jednak nie sprawdził go jeszcze w praktyce, z tej przyczyny, że z żywiołami lepiej było nie igrać, a już na pewno nie z przysięgami krwi.

Medyczna sensacja niewiele jednak obchodziła Karta, w każdym razie w obliczu drugiej rewelacji Rena. Medyk zmierzył przyjaciela spojrzeniem.

– Przysięgałeś – powtórzył. – Na jego krew. – Spojrzał na Rena poważnie. – Co, jeśli można wiedzieć?

Przewodnik nerwowo zabębnił palcami o blat.

– Że nie przeszkodzę im w niszczeniu życia mojej Widzącej. Mniej więcej.

– Widzącej – mruknął Kart z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Nie znosił Widzących z całego serca. – No dobrze. Opowiadaj.

Ren nie odezwał się od razu. Najpierw się wahał, potem nie wiedział, jak zacząć, Kart czekał jednak cierpliwie. Wreszcie zaczął mówić, od samego początku, od Kamieniołomu. Nie była to dobra opowieść – krótkie, urywane, nienaturalnie suche zdania i przedłużające się chwile milczenia.

– No dobrze – odezwał się Kart, kiedy Ren skończył. – Ale pozwolisz, że zrobię to tak, żeby cała nasza trójka przeżyła, dobrze? Bo jeśli zginę w takiej chwili, to siostra nigdy w życiu nie zapali mi świeczki w Este Vierde.

Ren popatrzył na niego w osłupieniu. Nie zająknął się nawet o tym, że potrzebuje pomocy, że chciałby, żeby Kart przywrócił Widzącej pamięć – wiedział, że powinien, ale za bardzo bał się odmowy i tego, co by zniszczyła, jak zatrułaby jego radość ze spotkania z przyjacielem... zupełnie jakby ten lęk jej nie zatruwał. Wiedział przecież, jak Kart nie znosi Widzących, poza tym nie zniósłby gdyby ktoś znowu zamordował jego nadzieję.

To znaczy pewnie by zniósł, ale naprawdę nie miał na to ochoty.

– Co?

– Pozwolisz – powtórzył cierpliwie Kart – że przywrócę twojej wiedźmie pamięć w warunkach, które nie zabiją nas w ciągu kwadransa od tego wydarzenia. To znaczy nie w pałacu, bo bez względu na to, jak dobrą jest wojowniczką... – urwał, widząc że Przewodnik raptownie pobladł. – Dobrze się czujesz?

Ren spojrzał mu prosto w oczy i nareszcie było to spojrzenie, które Kart znał: przenikliwe i sięgające w przyszłość.

– Bardzo dobrze – odparł Przewodnik. Wyraźnie mu ulżyło. – Dziękuję. Nie wiesz...

– Wiem – przerwał mu Kart. – Widzę. – Zerknął na drzwi i podniósł się z krzesła. Radość radością, obietnice obietnicami, nadzieja nadzieją, ale obaj potrzebowali odpocząć, zwłaszcza że leczenie Hornaka tak naprawdę dopiero się zaczęło.

– Będziesz jeszcze potrzebował pomocnika.

– Oczywiście.

Kart uśmiechnął się pod nosem.

– Byle nie za często. Mam dwie kobiety na głowie, a Diogorczycy, wyobraź sobie, nie płacą.

Ren uniósł brew.

– Tylko dwie?

Medyk prychnął.

– Siostry. Kochanki utrzymują się same, innych nie biorę, Kamra nie pozwala.

Ren potrząsnął głową i uśmiechnął się krzywo. Kamra była siostrą Karta, osobą o dość... stanowczym usposobieniu.

– Ale z tą zapłatą to spróbuj się dogadać. Spójrz na mnie: wikt, opierunek, prywatna komnata na zamku. To się da zrobić.

Kart zaśmiał się krótko.

– Pozwolisz, że podziękuję. Do zobaczenia.

– Do zobaczenia.

Uściskali się jeszcze raz i Kart wyszedł.

*

Głupi chuj. Skurwiel. Zdradziecka gnida bez serca. Przegniły, obmierzły padalec.

A ona go całowała. Na wszystkie żywioły, całowała! Martwiła się o niego! Współczuła mu! Dała mu klucz!

– Kurwa mać – powiedziała Migna, robiąc setne chyba kółko wokół komnaty. Komnata była zresztą zdemolowana, bo kiedy Widząca myślała o wszystkich wydarzeniach tego dnia, miała ochotę coś rozwalić. Więc rozwalala, nie reagując na pukanie i nawoływania służby i Jorga. Dopiero kiedy usłyszała zza drzwi zmęczony głos Przewodnika, informujący, że jeśli nie przestanie się tłuc, to on nadal nie będzie mógł się skupić i operacja skończy się niepowodzeniem, nieco się uspokoiła. Zresztą właściwie nie było już ani mebli do przewracania, ani przedmiotów, którymi mogłaby rzucać.

Poza tym kiedy go usłyszała, wściekłość stała się tak wielka, że Widząca na moment straciła zdolność do ruchu. Stała więc pośrodku stworzonego przez siebie chaosu i powtarzała w myślach obelgi, nie mogąc rozewrzeć zaciśniętych szczęk. Głupi chuj. Skurwiel. Gnida.

„Nasze źródła w pałacu”, kurwa mać. Już ona wiedziała, jakie to źródła. Bo nie o nią chodziło, o nie.

Ciekawe, jak on by się czuł, gdyby któremuś z jego przyjaciół, o ile miał jakichś przyjaciół, coś się stało. Przez nią.

W zasadzie...

Och, na wszystkie żywioły! Jak teraz to znaleźć w tym bajzlu?

Migna westchnęła. To był pierwszy dźwięk, jaki wydała, odkąd Ren ją zatrzymał, i pierwszy moment, gdy jako tako się rozluźniła. Jak to zwykle bywa, dopiero wtedy zorientowała się, jak była spięta.

Poszukiwania trochę trwały, ale wreszcie, pomiędzy wysokimi skórzanymi butami a wywróconym żeliwnym stolikiem, Migna znalazła pudełeczko, za które zapłaciła majątek. Kiedy zajrzała do środka, okazało się, że zawartość na szczęście nie uległa zniszczeniu, kiedy w furii rzuciła przedmiotem o ścianę.

Usiadła na leżącej na podłodze i do połowy wywleczonej z poszewki pierzynie, podwijając nogi pod siebie. Po chwili namysłu podniosła się, wzięła ze świecznika przy drzwiach jedną ze świec i postawiła ją na niewielkim stoliku, który zresztą też musiała wcześniej postawić. Dopiero wtedy, usiadłszy na powrót w tej samej pozycji, wzięła w dłonie flakonik.

Zamknęła oczy. Odetchnęła. Potrzebowała się skupić, uspokoić. To nie mogło być trudne.

Tylko zawsze do tej pory wyciszał ją Przewodnik, do kurwy nędzy. Skurwiel, głupi chuj, gnida.

Spojrzała na płomień świecy. Ren czasem kazał jej patrzeć w ogień, ale na samą myśl o tym krew ją zalewała. Podniosła się i spróbowała wyrzucić przez okno, lecz wystarczył jej rzut oka na to głupie, butne miasto, które prawie zabiło jej przyjaciela, żeby wiedzieć, że w taki sposób się nie uspokoi. Wróciła na kołdrę, wbiła spojrzenie w ścianę, zacisnęła usta.

Pomyślała o Przewodniku. Tym gnoju, który pozbawił ją pamięci, który nie chciał mówić do niej po imieniu, który z niej kpił i który miał ją chyba za idiotkę, skoro sądził, że nie domyśli się, że ma kopię klucza. Pomyślała o mężczyźnie, którego pocałowała i który mógł uratować Hornaka, a nie chciał tego zrobić, póki nie zagrożono mu torturami.

I potem już była spokojna. Znalazła się po drugiej stronie gniewu, gdzie wszystko było czyste, jasne i ostre jak nóż.

Ciche.

Przerwała tę ciszę, nakręcając mechanizm.

Melodia popłynęła pośród powywracanych mebli i pierza, wypełniając przestrzeń jak drobny ornament. Widząca zrozumiała ją od razu i niemal natychmiast wyśpiewała pierwszy, potem drugi, trzeci i dziesiąty moment, który chciała zobaczyć.

Świeca nie dawała wiele światła, było go jednak wystarczająco dużo, by miękko kłaść się na ciełe odzianej w jasną koszulę Widzącej, siedzącej na pierzynie z podwiniętymi nogami. Wystarczająco dużo, by igrać po powierzchni półprzejrzystych sfer, w których pojawiały się twarze i sylwetki rozmówców Przewodnika, a także miejsca, w których było można ich spotkać. Wystarczająco dużo, by płomień rodził się wciąż na nowo w każdej z magicznych kul i by w każdej tańczył sam ze sobą miriadami powtórzeń w takt wygrywanej przez zafrę melodii i cicho wyśpiewywanych przez Mignę słów.

A jednocześnie wystarczająco niewiele, by zamknąć się każdym ze swych odbić tak w ciemnych, uważnych, gniewnych oczach Widzącej, jak i w granatowych oczach jej namii, która swoim zwyczajem usiadła na oknie.

Mogło to trwać i wieczność. Istniały takie momenty, które wymykały się ramom czasowym, które w jakiś sposób trwały zawsze. Migna czuła, że to jeden z nich. Że siedziała wśród unoszących się wokół obrazów, w mnożącym się w każdym z nich świetle świecy, wtedy, kiedy opuszczali kamieniołom, i wtedy, gdy wjeżdżali do Urty, gdy pluła Renowi w twarz, gdy go całowała i gdy ciągnęła do komnaty Hornaka.

Ot, moment, w którym używała zafry, trwał zawsze. Cóż bardziej naturalnego?

Sfery rozmyły się w powietrzu, gdy zamknęła za sobą drzwi, wychodząc z komnaty. Tara zagruchała z żalem, tego jednak wbiegająca po schodach do komnaty Jorga Widząca, nie mogła słyszeć.

Dowódca, tak jak się spodziewała, nie spał. Minęła co prawda chwila, nim jej otworzył – pewnie musiał się przebrać, bo stanął przed nią w cywilnym ubraniu. Westchnęła zniecierpliwiona – sama przybiegła do niego odziana jedynie w jasną, szytą na południową modłę koszulę, w której sypiała. Przecież sprawa była pilna! A nawet gdyby nie była, Migna nie widziała powodu, by się przebierać w celu pokonania kilku schodów.

– Poznałam masę spiskowców – powiedziała bez ogródek, kiedy tylko mężczyzna zamknął za nią drzwi. – Chyba ze dwudziestu. Wiem, gdzie ich

spotkać w mieście.

Jorg popatrzył na nią uważnie i beznamytnie. W milczeniu wskazał krzesło.

– Skąd wiesz? – zapytał, gdy zajęła miejsce, a sam usiadł naprzeciw niej.

– Pogłos mnie do nich zabrał.

Jorg skinął głową.

– Planowali coś większego po zamachu, prawda? To dlatego?

Dziewczyna przygryzła wargę.

– Nie wiem. Myślę... myślę że tak, ale jak mi powiedzieli... – urwała niepewnie.

– Co zrobiłaś? – zapytał cierpliwie Jorg po chwili milczenia.

– Uciekłam.

Mężczyzna nie odpowiedział. Wpatrywał się w nią oczami bez wyrazu i milczał, a Migna z każdą chwilą coraz intensywniej myślała o tym, że nie tak miało to wyglądać.

– Ale znam ich! Pamiętam! – wykrzyknęła.

– Zdajesz sobie sprawę, że straciłaś ich zaufanie?

– Taak, ale...

– Ich dowódca, jestem tego pewien, nie jest tak naiwny, jak Pogłos. Nie wystarczy mu, że pojawisz się w odpowiednim miejscu o odpowiednim czasie. Wycofałaś się w momencie dla nich kluczowym. – W głosie Jorga nie było wyrzutu, więc Migna czuła się jeszcze bardziej paskudnie, niż gdyby ten wyrzut jednak usłyszała. – Udało ci się przynajmniej ustalić tożsamość dowódcy?

– To czarodziejka, Jorg – powiedziała natychmiast. – Wyglądała jak w wizji, to znaczy najpierw widziałam siebie, potem tę, co mówisz, że nie żyje, ale głosu nie przekłamię, to czarodziejka. Może tylko nie ta, która mi się pokazuje.

Mężczyzna pokiwał głową w zamyśleniu.

– I mówisz, że znasz tożsamość wielu spiskowców. Choć najpewniej jesteś już u nich skreślona. Dobrze. Postarasz się więc na powrót nawiązać kontakt z Pogłosem. To pewne, twoją ucieczkę można usprawiedliwić tym, że uznałaś, że zamach na namiestniczkę to trochę za dużo... Albo że pomyślałaś, że dowiem się, że nie było cię w pałacu, kiedy do niego doszło, i wzbudzi to moje podejrzenia. Nie sądzę jednak, by udało ci się dowiedzieć jeszcze czegoś znaczącego. Będziemy musieli bazować na informacjach, które zdobyłaś do tej pory.

– W jaki sposób?

– Muszę to przemyśleć. Rano opowiesz mi, kogo widziałaś. Teraz radzę iść spać.

– Nie zasnę.

Jorg spojrzał na nią ze zniecierpliwieniem.

– Ja natomiast się postaram – odparł cierpko.

Skrzywiła się i wstała.

– Myślisz, że on...

– Nie wiem, Migna. Idź spać.

Poszła więc. I zgodnie ze swoimi przewidywaniami nie zasnęła.

Posprzątała pokój, całkiem dokładnie – wszystko poustawiała, oblekła pościel, zafrę schowała w kufrze, pierze wrzuciła do kominka; przez chwilę trochę śmierdziało. Nakarmiła Tarę, gawędząc z nią cicho o rzeczach, od których Jorgowi włosy stanęłyby dęba. Renowi pewnie też.

Hornakowi stanęłyby dęba przez to, że z nią rozmawiała, nie mógł się do tego przyzwyczaić, choć minęły już ładne trzy miesiące.

Pogasiła świece i położyła się do łóżka, ale sen, jak na złość, nie przychodził. Zwykle nań nie czekała – śniła męczące koszmary, których nie pamiętała – lecz tej nocy powitałaby go z zadowoleniem. Jednak nic z tego. Wreszcie uznała, że i tak nie zmruży oka, postanowiła więc sprawdzić, czy Ren już skończył.

Jego cela była pusta, więc pewnie wciąż był u Hornaka. Do komnaty żołnierza nie chciała zaglądać, bo pewnie by przeszkadzała, usiadła zatem na schodach.

Oczywiście nie wysiedziała długo – wstała i zaczęła chodzić po nich w tę i we w tę, przeszła się po salonie, pooglądała ornamenty. Diogorskie wnętrza na szczęście miały to do siebie, że można było gapić się na nie godzinami. Nie, że Migna mogła się szczególnie skupić na wystroju – ale przynajmniej było to coś, co odrobinę odciągało jej myśli od umierającego mężczyzny i jego uzdrowiciela, który nienawidził go z całego serca.

Gdy za którymś razem znów przysiadła na stopniu, musiała przysnąć. Bo oto, kiedy w którymś momencie podniosła głowę, dostrzegła, że na schodach, w szarym świetle świtu, stoi Ren, przecierając twarz. Poderwała się i zbiegła w jego stronę.

– Co z nim?! I co ci... – urwała. Przewodnik wyglądał źle i był zakrwawiony, ale co ją obchodziło, co mu się stało. Tej gnidzie. – Co z nim?

Mężczyzna wzdrygnął się, słysząc jej głos.

– Wyżyje – wymamrotał. – Daj mu miesiąc i będzie jak no...

Nie dane mu było dokończyć – trudno kończyć zdanie kiedy jesteś zmęczony dniem i nocą nerwów i ciężkiej pracy, oszołomiony spotkaniem z przyjacielem i jego konsekwencjami, ledwie trzymasz się na nogach, a na szyję rzuca ci się piękna, prawie naga kobieta.

– Wiedziałam, wiedziałam, że mu pomożesz, wiedziałam!

Ren milczał, otumaniony, trzymając ją w ramionach. Wreszcie wydusił:

– To cudownie, królewno, ale jeśli mnie nie puścisz, to spadniemy ze schodów i nie będzie nas miał kto składać, bo będę połamany... Dziękuję. – To ostatnie powiedział już uwolniony od ciężaru dziewczyny. – Nie myśl, że nie doceniam twojej wdzięczności. – Uśmiechnął się lekko, nieco kpiąco, ale ciepło; Migna lubiła ten uśmiech. – Nawet jeśli nie do końca ją pojmuję. W każdym razie możesz mi mówić cu... – zachwiał się, uniósł dłoń do skroni, oparł o ścianę. – ...cu-cudotwórco.

Widząca spojrzała na niego z niepokojem.

– Dobrze się czujesz?

– Bywało gorzej – odparł, głosem nagle zupełnie beznamietnym i ponurym, patrząc gdzieś w przestrzeń ponad jej ramieniem. – Ale lepiej też bywało.

Widząca obejrzała się za siebie, ale nic tam nie dostrzegła. Westchnęła cicho.

– Zwidy? Znowu? – szepnęła.

Ren zamknął oczy i wzruszył ramionami.

– Najwyraźniej – mruknął.

Kobieta skrzywiła się, zupełnie zapominając o tym, że jeszcze przed chwilą życzyła Przewodnikowi jak najgorzej.

– Chodź, zamknę cię – powiedziała cicho, biorąc go pod ramię.

Pozwolił się prowadzić, nawet uśmiechnął się do niej niewyraźnie.

– To nie powinno brzmieć w moich uszach tak dobrze jak brzmi, nie?

– Nie – odparła rzeczowo. – Ale jesteś wariatem, więc nie dziwota.

Zaśmiał się cicho.

– No racja. Nie dziwota – mruknął i oparł się o ścianę, czekając, aż Widząca otworzy celę.

Jorg, który od dłuższej chwili obserwował ich z góry, nieświadomie przygryzł wąsa.

„Nie – zdecydował. – Jeszcze nie”.

Prawdopodobnie była to zła decyzja. W obliczu późniejszych wypadków stało się jasne, że sprawy zaszły za daleko i że powinien był wtedy zabić Widzącą. Tyle że Jorg miał plan, plan rzadkiej urody, w którym Migna grała główną rolę. Zawsze miał słabość do planów.

Do śmierci pamiętał tę chwilę i tę decyzję. Rozkoszował się nią nawet, bo przynosiła mu jedyne w swoim rodzaju uczucie gorzkiej satysfakcji. Bez względu na to, jak się wszystko potoczyło, nikt nie mógł powiedzieć, że plan nie zadziałał doskonale.

Rozdział XV

Zjawy

Wiatr wygrywał na Urcie najdziwniejsze melodie. Czasem, kiedy hulał w wąskich uliczkach, można było usłyszeć w nim słodki śpiew, prawie rozróżnić słowa. Czasem łkał, bardzo wyraźnie i smutno. Królowa tęskni, mawiano wtedy.

Najczęściej wył, potępieńczym, niekończącym się wyciem rannego. Tak było tej nocy, w ostatnią wiosenną pełnię księżyca. Srebrzysty blask sprawiał, że powietrze było bardziej przejrzyste niż zazwyczaj. Pachniało wolnością i wyło z bólu.

Pusto było nocą w Urcie, pusto i ponuro. Kiedy wiatr nie wył, było zaś tak cicho, że dało się słyszeć sunące uliczkami cienie.

Gdyby być w odpowiednim miejscu, dałoby się je również dostrzec – trzy miejsca, w których mrok zgęstniał, przybierając niemal materialną formę. A chciały, by ktoś – ktoś konkretny – je dostrzegł. Tylko po to istniały.

Spanie na ulicach Urty zawsze wiązało się z ryzykiem, jeśli jednak nie zginęło się pierwszej nocy, wiązało się również ze specjalnymi względami królowej. Bezdomni i żebracy stolicy czuli się więc dosyć bezpiecznie, cieszyli się też pewnym niechętnym szacunkiem, bo wyczuwali puls miasta o wiele lepiej niż inni.

Zapewne ze względu na to wyczucie Iter, czterdziestolatek, który wyglądał na lat sześćdziesiąt, a na ulicy spędził ich trzydzieści, gdy tylko się obudził, od razu wiedział, że coś jest nie tak, choć cień stał nad nim w zupełnym milczeniu i bezruchu. Jedyne wpatrywał się weń intensywnie.

Mężczyzna usiadł odruchowo. Zjawa nie drgnęła.

Przełknął ślinę.

– C-co się stało? – powiedział.

Cisza.

Poderwał się z ziemi, by zaraz potem uklęknąć.

– Pani...?

Zjawa zaśmiała się, cicho i ochryple, śmiechem zdecydowanie męskim. Podmuch wiatru odrzucił skołtunione włosy z twarzy Itera, zawył

w opuszczonym zaułku i zdawało się, że porwał ten upiorny śmiech i teraz obijał go o kamienie, sprawiając, że z każdą chwilą zdawał się bardziej dudniący i głębszy, jakby dochodził z samych trzewi miasta.

Iter już nie klęczał. Cofnął się o krok i wtedy zjawia się uśmiechnęła. Nie mógł tego wiedzieć – nie widział twarzy – lecz był przekonany, że tak właśnie się stało.

Odwrócił się i co sił w nogach popędził przed siebie. Wiatr zawył raz jeszcze, a potem zamilkł zupełnie, tak że mężczyzna słyszał tylko własne kroki, własne dyszenie, dudnienie własnego serca.

A potem powietrze rozdarł nieludzki skrzek, który ścigał go jeszcze długo, nawet w snach.

*

Krzyk grał jej jeszcze w gardle, kiedy zorientowała się, że siedzi na łóżku, jeszcze czuła go w ustach, mieszał się ze łzami i wodą. Smakował nocnym powietrzem, potem, krwią, strachem. I zaraz raptownie zniknął, zastąpiony przez wyczerpanie i rezygnację. Zwiesiła głowę, obejmując ją rękami.

– Przestraszyłaś mnie trochę, królowno – odezwał się ktoś obok łagodnie. – Myślałem, że cię nie dobudzę.

Westchnęła i popatrzyła na niego spode łba.

– Nie myśl, że mam ci za złe – ciągnął Ren niezrażony – ale to miało działać w drugą stronę. Ty miałaś obudzić mnie.

– Przecież jesteś obudzony – wymamrotała.

– Hm. No tak – zmieszał się Przewodnik. – I nawet, praktycznie rzecz biorąc, przez ciebie.

Przez moment milczeli oboje.

– Są coraz gorsze, prawda?

– Nie wiem, Ren... Nie pamiętam. A myślałby kto – prychnęła – że akurat tego to mi już starczy!

Opadła z powrotem na poduszki i wbiła wzrok w sufit.

– Może lepiej – powiedział cicho – nie pamiętać takich rzeczy.

Odwróciła się gwałtownie w jego stronę.

– Nie – oznajmiła stanowczo.

Wyciągnął rękę, chyba żeby dotknąć jej ramienia, lecz zaraz ją cofnął.

– Pewnie wiesz, co mówisz – przyznał. – Ale mimo to, gdybym miał wybór, wolałbym nie pamiętać pewnych rzeczy. Nie móc do nich wrócić.

Znów prychnęła.

– Idiota! To nie jest tak, że one znikną, jeśli o nich zapomnisz. Zawsze tam będą. Przeszłość istnieje, nieważne, czy ją pamiętasz, i zawsze... A jak nie pamiętasz, to patrzysz na siebie i nie wiesz, skąd to wszystko. Wszystko w tobie wie, oprócz ciebie, jakbyś był za ścianą albo nie wiem, szybą, cholernym witrażem, jakbyś patrzył w zafre, widział, ale nie sięgał, nie słyszał, nie mógł dotknąć! – Odwróciła głowę i zapatrzyła się w okno. Spodziewała się dostrzec tam Tarę, ale namia chyba spała na dachu. – Czegokolwiek myślisz, że wolałbyś nie pamiętać, nie wolałbyś nie pamiętać, niż pamiętać – mruknęła.

Ren poświęcił chwilę na rozszyfrowanie ostatniego zdania.

– Muszę ci wierzyć na słowo – stwierdził w końcu, chyba nieprzekonany.

– Głupi – mruknęła, znów opadając na poduszkę. – I musisz iść do Hornaka. A potem z powrotem spać – dodała, przyglądając mu się krytycznie. Wyglądał wyjątkowo niezdrowo.

– Przyganiał kocioł... – mruknął Ren. – Na pewno nie chcesz, żeby z tobą zostać? Hornakowi nic nie będzie, jeśli przyjdę chwilę później. A twoje towarzystwo jest przyjemniejsze.

Uśmiechnęła się wbrew sobie – przecież wiedziała, że ten głupi Przewodnik pewnie chce zaszkodzić jej przyjacielowi.

– Idź sobie – powiedziała i nie zabrzmiało to tak ostro, jak chciała. – Możesz mi w wolnej chwili zrobić coś na niemanie koszmarów.

Roześmiał się sucho.

– Tak, wolnej... – Zawahał się. – Królewno, czy ja ci dałem wczoraj twoje ziółka?

Zagryzła wargę. A tak się cieszyła, że zapomniał – nie znosiła paskudztwa.

– Nie pamiętam – skłamała.

– Jasne – wymamrotał Przewodnik. – No nic, postaraj się nie wpaść w trans. Na żywioły, ja jednak jestem idiotą – mruknął pod nosem. – A co do tych na brak koszmarów, twoich leków nie wolno łączyć z uspokajaczami.

Przewróciła oczami.

– Bez sensu. Trudno, idź już.

Przewodnik odwrócił się z zamiarem opuszczenia komnaty, lecz w tym właśnie momencie drzwi się otworzyły i stanął w nich Jorg.

Ren miał okazję obcować z diogorską modą, z reguły zresztą zachwycającą. Miał nawet okazję widzieć ichnie stroje do spania. Toteż srebrzysta, zapinana na rząd ażurowych, kościanych guzików, wyposażona w koronkowe mankiety i obrębiona na dole czarną koronkową falbaną szata, którą mężczyzna miał na sobie, nie powinna na nim zrobić wrażenia.

I nie zrobiła. Prawie. W każdym razie gdyby chodziło tylko o nią, Przewodnik zdołałby zachować kamienną twarz.

Jednak widok pasiastej, czarno-srebrnej szlafmicy z wielkim grafitowym pomponem, który dyndał dostojnie tuż nad lewym ramieniem żołnierza sprawił, że Ren wybuchł niepowstrzymanym śmiechem. Nie był w nim zresztą osamotniony.

Jorg nie drgnął ani się nie odezwał, kiedy Przewodnik i Widząca rechotali. Począł, aż się uspokoją, a kiedy wreszcie zamilkli, odezwał się tak lodowato, że jego ton od razu starł uśmiech z twarzy Rena:

– Jak się tu znalazłeś? Słucham.

– Przyszedłem, poruczniku – odparł sucho Południowiec. – Na nogach.

Żołnierz podszedł energicznym krokiem i strzelił go na odlew w twarz.

– Jest środek nocy, a ty z niewyjaśnionych przyczyn jesteś poza celą i miejscem pracy. Nie mam nastroju na błazenadę. Ty zresztą też nie powinienesz mieć.

Ren skrzywił się, pocierając policzek.

– Namiestniczka zapomniała zamknąć drzwi do mojej celi, kiedy mnie odprowadzała, nasza królowa zaś nie zdołała mnie obudzić o czasie. Obudziłem się sam i przyszedłem jej pomóc.

Jorg nieznacznie uniósł brew.

– Pomóc?

Przewodnik skinął głową.

– Śnił jej się koszmar.

Żołnierz skrzywił się z niesmakiem.

– Co noc śnią jej się koszmary. Odkąd wyjechaliśmy z kamieniołomu.

– Wiem.

– I uznałeś to za okoliczność, która zwalnia cię z obowiązku czuwania nad pacjentem.

Być może powinien się wstrzymać, ale był naprawdę wściekły, toteż znów uderzył. Tym razem Ren nie zdołał utrzymać równowagi – wylądował na podłodze, a kiedy podniósł się mozolnie do siadu, oparł plecy o łóżko Widzącej. Ta, chyba nieświadomie, położyła mu rękę na ramieniu.

On, równie nieświadomie, przykrył jej dłoń swoją i w związku z tym cała sytuacja zaczęła nie podobać się Diogorczykowi jeszcze bardziej.

– Jorg, czy ty nie przesa... – zaczęła Migna, ale przerwał jej szorstko.

– Milczeć, szeregowo. Rozmówimy się później.

Podszedł do Przewodnika, pochylił się nad nim i spojrzał mu w oczy.

– Nie jesteś bezkarny – powiedział cicho i spokojnie. – A jeśli to nie robi na tobie wrażenia, pamiętaj, że ona również.

Ren wytrzymał spojrzenie. W jego oczach nie było już śladu wcześniejszego rozbawienia – była za to zimna, bezsilna wściekłość.

– Te sny docierają do mnie poprzez więź, poruczniku – odparł zimno. – Nie mógłbym się skupić na pracy, gdybym tu nie przyszedł.

– Teraz jednak jest po wszystkim i możesz wrócić do Hornaka – odparł Jorg, prostując się. Szarpnął przy tym Rena za wolne ramię, podnosząc go do pionu. – Zapraszam.

– Ależ dziękuję – odparł Przewodnik ze złością. – Tylko miejmy nadzieję, że kiedy następnym razem ktoś zapomni mnie obudzić, drzwi znowu będą otwarte.

– Nie musimy – uciął żołnierz. – Zmieniasz kwaterę: nie opuścisz komnaty Hornaka, póki ten nie wyzdrowieje.

„Cholera jasna” – pomyślała Migna, co było trochę dziwne, bo czuła ulgę.

To by było na tyle, jeśli chodziło o korzystanie z klucza i zafrę. Co prawda leczenie Hornaka zajmowało większość czasu Przewodnika, pozostałą część zabierał sen, ale mimo wszystko...

No cóż. Pozostawało pracować na tym, co miała – i tak było tego wiele. Opadła z powrotem na posłanie. Koszmary czy nie, potrzebowała sił. Była ostatnio dość zajęta.

*

To było jak sen. Iter czuł nieodparty przymus powtarzania tych samych rzeczy. Miał swoje powody. Mógł się pomylić. Tym razem to mogła być królowa, a obrażenie królowej było zazwyczaj ostatnią rzeczą, jaką robiło się w Urcie. Zwłaszcza jeśli było się jednym z dzieci miasta.

Znów więc uklęknął i zapytał, czy to ona, czy to pani, i znów usłyszał śmiech. Poderwał się tak jak poprzednio, ale wtedy coś się zmieniło. Zjawa uniosła rękę, a od dachu pobliskiej kamienicy oderwał się strzęp ciemności

gęstszej niż ciemność nocy. Zawirował w powietrzu, wylądował obok zjawy i rozprostował się w drugą, bliźniaczą.

Iter zaczął biec. Wiatr zawył.

Tym razem podążyła za nim. Ta druga. Poruszała się zwinnie jak kot, w sposób zupełnie niemożliwy dla człowieka. Bawiła się z nim, przeskakiwała z dachu na dach, z jednej strony ulicy na drugą, czasem lądowała na bruku tuż przed nim, żeby zawrócić i skręcić gdzieś indziej.

I furkotała. Furkotała w powietrzu jak strzęp materiału, więc Iter wiedział, że może go skrzywdzić. Że ciemność, z której została utkana, jest naprawdę gęsta.

Biegł więc jeszcze szybciej, aż późnowiosenne powietrze zaczęło rozrywać mu płuca, aż przestał słyszeć cokolwiek poza wołaniem własnego ciała o wytchnienie, aż potknął się, przewrócił i pojął, że jest tylko on, noc i księżyc w pełni.

Długo leżał tak z mocno bijącym sercem, wpatrując się w wąski pasek nieba pomiędzy fasadami kamienic. Tak długo, że pasek najpierw zgranatował, potem zbladł i wreszcie zniebieśniał. Wtedy dopiero Iter się podniósł i ruszył w miasto szukać kogoś, kto by mu uwierzył. Albo chociaż go wysłuchał.

*

Nya'diel rzadko opuszczała kuźnię – to mogło ściągnąć jej na głowę kłopoty, a jeśli Nya miała jakiś priorytet w życiu, to był nim brak kłopotów. Potrafiła poświęcić dla niego naprawdę wiele. Nawet kiedy miała wszystkiego dość, kiedy miała wrażenie, że jeśli gdzieś nie pójdzie, to zwyczajnie się udusi, potrafiła zostać na miejscu. A jeśli już wychodziła, to zawsze w przebraniu. Wcale nie potrzebowała do tego magicznych sztuczek, i dobrze, bo istnieli ludzie, którzy potrafili przejrzeć je zaskakująco łatwo. Tymczasem wystarczyło zakutać się w stare szmaty, przygarbić i mówić drżącym głosem. Bardzo młoda twarz stanowiła pewne ryzyko, ale nikt nie przyglądał się wnikliwie starym babom. Za to wielu dawało im darmową wyżerkę, a przynajmniej kubek żuru. Nie, że Nya nie było stać na wyżerkę albo kubek żuru – ale skoro nie musiała za nie płacić, to z tego korzystała. Znajdowała w tym wszystkim nawet pewną przyjemność. Czasami przemykało jej przez głowę, że mogłaby tak wychodzić częściej, ale szybko przeganiała tę myśl.

Niemniej jednak, tym razem miała powód, żeby wyjść i pokręcić się po karczmach. Powód bardzo poważny. Do tej pory królowa zniknęła z fresków tylko raz, kilka lat wcześniej, przed zwycięstwem Diogorii. Nya'diel miała nadzieję, że teraz nie zwiastuje to nieszczęścia o podobnej skali, lecz doskonale wiedziała, że nadzieja jest matką głupich.

Nawet zresztą gdyby się jeszcze nie nauczyła, dzisiejsze wyjście byłoby cennym krokiem w stronę przyswojenia tej ważnej życiowej lekcji.

Pierwsza rzecz, jakiej się dowiedziała, to to, że było ich trzy i że pokazywały się trzykrotnie – najpierw jedna, potem dwie i na koniec wszystkie.

I kiedy pokazywały się wszystkie, przynosiły śmierć.

Skąd w takim razie ktokolwiek wiedział o tej trzeciej, nie było wiadomo, ale nikt nie poddawał jej istnienia w wątpliwość. Trzy, bez wątpienia. Trzy zjawy z Diogorii. Trzy duchy, które spętały Królową, a teraz mordowały najbliższe jej dzieci.

Pierwszy był stary Iter, tak mówiono, choć Nya'diel nie miała pojęcia, kim był. Już mu się we łbie mąciło, więc nikt mu nie wierzył, dopóki w trzecią noc pełni nie znaleziono go w zaułku rozprutego od góry do dołu.

I nadgryzionego, tylko że – tak mówiono – nic na świecie nie ma tak ostrych zębów, żeby tak gryźć.

Zjawy żywiły się ludzkim mięsem. Tak mówiono.

Mówiono wiele rzeczy, ale o jednej nikt się nawet nie zająknął: żeby coś z tym wszystkim zrobić. To właśnie przeraziło Nya'diel najbardziej.

Wracając do domu, wiedziała, że długo, naprawdę długo nie wyjdzie teraz z kuźni.

*

Sala audiencyjna znajdowała się w wyszczerbionej wieży królowny i namiestniczka z jakichś przyczyn nie chciała tego zmieniać. Niewiele też zmieniła w wyglądzie samej wieży i komnaty. Podobały jej się, jedna i druga.

Wieża na pewno nie zawsze była z ciemnych kamieni, Nuka była o tym przekonana. Śniła czasem o trwającej setki lat przemianie ciemnej, chropawej szarości w aksamitną czerń węgla drzewnego. Czasem miała wrażenie, że kamienie skrzypią podobnie jak on, choć wieża była jedną z najsolidniejszych budowli, jakie dane było Nuce oglądać.

Nie zmieniała wyglądu sali audiencyjnej również dlatego, że w przedziwny sposób kojarzył jej się ze starą diogorską architekturą. Wysokie, tonące w mroku sklepienie, budowa ścian, która podkreślała strzelistość komnaty – to wszystko było bliskie jej sercu.

Jedynym akcentem, który dodała od siebie, był tron ze stylizowanymi na koła zębate podłokietnikami i wysokim, zdobionym pięcioma rubinami oparciem. Wbrew temu, co sądzono w stolicy, zwierciadła nie były jej pomysłem.

Cztery olbrzymie lustra, dwa na wschodniej ścianie, jedno na zachodniej i jedno w drzwiach naprzeciwko tronu, sięgały sufitu i były wprawione bezpośrednio w kamień, na którego powierzchni z czasem – miesiąc po przejęciu rządów przez Nukę – pojawiły się czerwone kryształy. Namiestniczka nie dementowała plotek, jakoby powstały na jej zamówienie. Po prostu je obserwowała.

Zwierciadła działały w niezwykle sposób – zdawały się odbijać tylko człowieka, bez otoczenia. Jakby pokazywały jedynie wydarte ze świata dusze.

Zbijało to interesantów z pantałyku, było więc niezwykle przydatne. Nuka zaś lubiła patrzeć na wprost, na kobietę, którą się stała, na czarno-czerwoną ikonę zasiadającą pod pięcioma szkarłatnymi gwiazdami. Oddalało ją to od siebie samej, potrzebowała tego.

Drzwi uchyliły się nieznacznie i do środka wślizgnął się, zaanonsowany uprzednio, kapitan straży. Uklęknął, poczekał na pozwolenie, by wstać, i podszedł do tronu. Dwoje gwardzystów namiestniczki przyglądało mu się w milczeniu.

Kapitan był Południowcem, rodowitym urtyjczykiem. W tym mieście było to konieczne – straż chyba po prostu przestałaby działać, gdyby nie zarządzało nią któreś z tak zwanych dzieci Królowej. Nie chodziło nawet o to, że nikt poza nimi nie rozumiał stolicy, bo zrozumienie nie było potrzebne do skutecznego rządzenia. Zwyczajnie brakłoby zaufania. Nuka wiedziała, że nadejdzie dzień, gdy w Urcie narodzą się ludzie z diogorskiej krwi, i że wtedy wszystko będzie wreszcie tak, jak być powinno. Na razie jednak trzeba było znosić Południowca na wysokim stanowisku.

– Przychodzę z niepomysłnymi wieściami, pani – odezwał się mężczyzna, zatrzymawszy się w stosownej odległości od tronu. – Mieliśmy... morderstwa, kilka morderstw. Najpewniej... – zawahał się.

– Mówcie, kapitanie.

– Sądzymy, że to klątwa, pani. Duchy czy upiory. Królowa zniknęła z fresków...

– To o niczym nie świadczy.

– Z całym szacunkiem, pani, o czymś świadczy na pewno. Lud to łączy z tymi śmierciami. Same śmierci zaś... Ofiary wcześniej widzą duchy, czarne sylwetki o ludzkim kształcie, a ciała... Nasz specjalista, uczony medyk, mówi, że to wygląda na robotę drapieżnika, pani. Namii najpewniej, ale one są stadne, nie występują w tych okolicach i nie da się ich oswoić.

Nuka w skupieniu skinęła głową.

– Kim są ofiary?

– To biedota, pani. Żebracy, bezdomni. Najbliżsi Królowej. Mówi się... – Zamilkł na moment, znów się wahając.

– Nie przepadam za zdaniem urwanymi w połowie, kapitanie.

– Mówi się o nich, o tych duchach, „zjawy z Diogorii”.

– Rozumiem.

Namiestniczka splotła dłonie, oparła na nich brodę i zapatrzyła się we własne odbicie. Nie różniła się tak bardzo od Królowej – Rona była podobna, tylko włosy miała kruczoczarne, i obywatła się bez makijażu. Subtelne zmiany, niemal niezauważalne. No i maska, z pękniętą maską nie rozstawiała się nigdy.

Tron też miała inny, prostszy i drewniany, ale utrzymany w podobnej estetyce, zresztą słabo się odbijał. Twarz bez wyrazu, zupełnie jak ta Nuki, i może dlatego namiestniczka potrafiła w niej dostrzec bezbrzeżną, wyjąca rozpacz.

Królowa w odbiciu opuściła głowę, by spojrzeć na trzymaną w dłoniach pękniętą maskę. Uniosła jedną jej połowę do twarzy, spojrzała Nuce w oczy.

Ze zwierciadłami w tym zamku działały się czasem takie rzeczy.

– Postaram się sprowadzić ceremonialistów – odparła. – Co do was, kapitanie, jeśli dowiecie się o kims, kto widział te postacie, macie obowiązek wziąć go pod ochronę. Odpowiednie rytuały są wam znane?

– Są podobno zbyt słabe, pani. Jedna z ofiar próbowała się bronić za pomocą rytuału.

– Postarajcie się, żeby były silniejsze. W tej kwestii nie jestem w stanie wam pomóc, macie jednak obowiązek chronić mieszkańców tego miasta,

więc wywiążcie się z niego jak najsumiennie. W przeciwnym razie wyciągnę konsekwencje. Czy to wszystko?

– Tak, pani.

– Możesz zatem odejść.

Kapitan odszedł, namiestniczka zaś ogłosiła koniec przyjęć.

Odkąd Hornak został ranny, o wiele mniej czasu poświęcała swoim obowiązkom – właściwie balansowała na granicy zaniedbywania ich, za to często pomagała Przewodnikowi w pielęgnowaniu rannego. Lecz tym razem to nie Hornak był powodem, dla którego tak wcześnie opuściła salę audiencyjną.

– Lizo – powiedziała, dotarłszy do swych komnat. Wysoka pokojówka o szlachetnych rysach pojawiła się niemal natychmiast. – Poinformuj porucznika, że oczekuję go w swoim gabinecie. Najszybciej jak to... Natychmiast – zdecydowała.

Jorg faktycznie pojawił się niemal od razu.

– Chciałaś mnie widzieć.

Nuka skinęła głową.

– Czy mordujesz mieszkańców mojego miasta?

Jorg nie odpowiedział od razu. Był to rzecz jasna jedyny przejaw tego, że słowa namiestniczki zrobiły na nim wrażenie.

– Tylko spiskowców.

– Żebraków, z tego co słyszę.

– W pewnej mierze te grupy się pokrywają.

– Wiesz, co o was mówią? – zapytała spokojnie. Jako Diogorce nie wypadało jej nadmiernie okazywać emocji, czego czasem żałowała.

– Nie interesowałem się tym jeszcze.

– „Zjawy z Diogorii” – powiedziała beznamiętnie.

Jorg uśmiechnął się lekko.

– Cieszy cię to?

– Tak. Oznacza, że wszystko idzie zgodnie z planem.

– Zgodnie z planem – powtórzyła. – Czy twoim planem jest utrata miasta?

– Przeciwnie, Nuka. Zamierzam je zdobyć na dobre.

– I dlatego budujesz w ludziach przekonanie, że diogorskie duchy mordują tutejszą biedotę? Jak mamy nimi rządzić, kiedy przypisują nam bezsensowne morderstwa?

Jorg westchnął. Nuka nigdy nie miała wyczucia, kiedy przychodziło do tego rodzaju subtelności.

– Patrzysz w złe miejsce. Jesteśmy w Urcie, w mieście Królowej. Nieważne, jak sprawną będziesz władczynią, dla nich zawsze będziesz nią z jej przyzwolenia. To nie jest podbite miasto. To miasto, które pozwoliło się wypożyczyć i będzie takim, dopóki będą wierzyli w swojego ducha. To ona daje im powód do buntu. To dlatego masz tu, wbrew wszelkiej logice, prężnie działający, niemal niemożliwy do wykrycia ruch oporu. I dlatego trzeba walczyć nie faktami, tylko wierzeniami. To jest przyczyna, dla której pozbywamy się spiskowców w taki sposób i dla której cieszę się, że nazywają nas zjawami z Diogorii.

Namiestniczka spojrzała mu w oczy.

– Słyszałam już kiedyś coś podobnego.

– Słyszałaś to wielokrotnie – odparł Jorg. – Często pracuję w ten sposób, wiesz o tym.

– Wiem – zgodziła się. – Z tym że ostatnim razem słyszałam to w Schan. I, zabawna rzecz, dotyczyło naszej obecnej Widzącej.

– Sądziś, że nie uczę się na błędach?

– Sądzę, że czasem, kiedy coś zrozumiesz, zapominasz, że igrasz z ogniem, Jorg. Z żywą materią, a nie mechanizmem. I że ta dziewczyna powinna ci przypominać o tym, że legendy żyją własnym życiem, że nie zawsze możesz założyć im wędzidło.

– Ta dziewczyna przypomina mi tylko, co muszę naprawić.

Namiestniczka zacisnęła usta. W jej oczach zapłonął gniew.

– Sądziś, że możesz cokolwiek naprawić?!

Mężczyzna opuścił głowę.

– Naprawdę sądziś, że to było niedopatrzenie, usterka w dobrym planie, a nie, że plan był zły?

– Tak – powiedział po chwili. – Tak sądzę. Gdyby mój sposób działania był błędny, byłby błędny zawsze. Tymczasem okazał się nieskuteczny jeden jedyny raz. Stało się tak, ponieważ przyjąłem mylne założenia.

Mierzyli się wzrokiem w milczeniu.

– Jego Wysokość ci ufa – powiedziała w końcu namiestniczka. – Moim obowiązkiem jest pójść w jego ślady.

Jorg popatrzył na nią smutno.

– Chcę, żeby to miasto było twoje, Nuka. Naprawdę twoje. Choć tyle mogę spróbować ci dać.

Zmusiła się do uśmiechu. Niepojęte, naprawdę wierzył, że każdą rzecz można naprawić albo chociaż odkupić każde wyrządzone zło.

Jeśli istniały w świecie piękne błędy, to ten był najpiękniejszy z nich. I jak wszystkie najpiękniejsze rzeczy – najbardziej bolesny.

– Dziękuję, Jorg.

*

Zabijała wrogów.

Byli słabi, przerażeni żalośnią, walka zaś nie była walką, jaką powinna być – nie była walką w ogóle – ale ona zabijała wrogów.

Zabijała wrogów, z każdym dniem nienawidząc ich coraz bardziej. Jak takie słabe, żalosne stworzenia mogły chcieć obalić Diogorię? Jak mogły, te obdarte szkielety, planować zabicie namiestniczki, Jorga, jej samej?

Zabijała wrogów z każdym dniem nienawidząc ich coraz bardziej, żeby nie musieć nienawidzić samej siebie, bo to nie było zabijanie, które знаła wcześniej – to był mord. Zresztą najczęściej to nie ona pozbawiała życia. Najczęściej robiła to Tara i z jakichś przyczyn wydawało jej się to jeszcze gorsze.

Ale przecież byli wrogami – jej wrogami, wrogami Diogorii – i odnosiła wrażenie, że nie ma w niej bardziej pierwotnego instynktu niż ten, który mówił, że zasłużyli na śmierć. Czasami miała w głowie tylko to jedno zdanie: kto sprzeciwia się Diogorii, zasłużył na śmierć.

To zdanie, ciężkie powieki i żywiczny posmak w ustach.

Poza tym jednak czuła się dobrze – najlepiej, odkąd pamiętała. Upijała się, upajała nocą i miała czasem wrażenie, że ciemne, przejrzyste powietrze zastąpiło w jej żyłach krew. Kiedy skakała z dachu na dach, kiedy wiatr smagał ją po twarzy, kiedy w głowie miała pustkę, a w sercu wolność, było jej dobrze. Złościła się tylko, gdy docierał do niej z dołu okrzyk ofiary.

Kto sprzeciwia się Diogorii, zasłużył na śmierć.

Chłopiec na szczęście uciekał cicho. Cicho i szybko – wiedział, co robi, i choć był przerażony, nie tracił głowy. Mignie zrobiło się go prawie żal. Prawie. Bo był spiskowcem, rozmawiał przecież z Renem, widziała to w zafrze.

Kto sprzeciwia się Diogorii, zasłużył na śmierć.

Takie proste zdanie, czemu go nie rozumieli?

*

Milek biegł, ile sił w nogach, bez nadziei na ocalenie, ale też bez najmniejszego zamiaru, żeby się poddać. Gdyby się poddawał za każdym razem, kiedy nie miał nadziei, nie uciekałby teraz, bo od dawna by nie żył.

Milek jednak miał dziesięć lat i masę życia do stracenia, i może to właśnie pchało go do przodu, kiedy wiedział, że teraz to już na pewno, na pewno umrze.

Zazwyczaj nie płakał w takich sytuacjach – płacz bardzo utrudniał przeżycie, pogarszał wzrok i robił złe rzeczy z gardłem, właściwie z całym ciałem.

Zazwyczaj jednak bał się mniej.

Zazwyczaj nie czuł się taki zupełnie sam i przynajmniej czasem widział światło w jakimś oknie – znak, że wokół są ludzie.

Tym razem było inaczej.

Czerń napierała na niego ze wszystkich stron, niebo było gęsto zasnuwane chmurami, tak że nie było widać księżyca ani gwiazd. A jednak budynki, między którymi pędził, zdawały się jeszcze czarniejsze niż ono, najczarniejsze zaś były sylwetki, które czasem przemykały w powietrzu, przeskakując z dachu na dach. I czuł się tak, jakby nie był już w Urcie, którą znał, jakby skręcił w któryś z zaułków królowej, jeden z tych, w których znikano się na zawsze.

Tylko że to wszystko było prawdziwe. Najprawdziwszy kamienny świat, przez który pędził – osierocone dziecko, najbardziej samotna istota na świecie. Wiedział, że to nie szkodzi, że go nie będzie, to nic nie zmienia.

Dlatego płakał i biegł na oślep. Nie ze strachu.

Dostrzegł światło – w ostatniej chwili – i gwałtownie skręcił w jego stronę, w idiotycznym odruchu, bo przecież kto by go wpuścił do domu, skoro uciekał przed zjawą.

– Nya! Nya! – wykrztusił zdyszany, gdy tylko wpadł do kuźni.

Dziewczyna – zupełnie nieprzebrana – odwróciła się zaskoczona, podczas gdy on przypadł do niej gwałtownie.

– Schowaj mnie, proszę, schowaj... – błagał, nie mogąc powstrzymać szlochu.

Odsunęła się od niego.

– Milek, jeśli to straż albo gwardia, to sama cię im oddam, wiesz o tym, i to za darmo.

– To nie straż! – zawołał rozpaczliwie. – To zjawy, Nya, Schowaj mnie proszę, proszę, przecież to rozumiesz, schowaj mnie...

Nya'diel westchnęła cicho. Nie mogła odmówić, nie jemu. Trzymali się razem, odkąd Milek przed dwoma laty odkrył, że ona też jest dzieckiem. Teraz już nie była dzieckiem, ale więź pozostała.

– Na górę, już – powiedziała. – Pozamykam wszystko.

Milek uściskał ją i to chyba zmroziło dziewczynę bardziej niż cała ta sytuacja. Rzadko posuwał się do takich gestów.

Jej ojciec zamontował w drzwiach siedem zamków, w tym trzy ukryte. Nya'diel po raz pierwszy w życiu użyła wszystkich. Potem stanęła przed drzwiami i zaczęła się zastanawiać.

Milek nie był głupi ani naiwny.

Przymknęła oczy, starając się przywołać w pamięci melodię zaklęcia. Nie należała do łatwych.

Odchrząknęła.

– Aaa... – zaczęła i zaraz urwała, słysząc dźwięk, od którego ją zemdliło.

Skrzek namii. Słyszała go do tej pory tylko raz w życiu i niewiele było rzeczy bardziej przerażających.

Nikt z żywych nie mógł mieć namii. Nie było tych stworzeń w Nauryi, nie dało ich się schwytać, zniewolić ani hodować.

Może dlatego zaklęcie nagle objawiło się w jej pamięci w całej swej okazałości.

*

Jorg spojrzał na Tarę uczepioną pleców Migny.

– Co jej się... – zaczął szorstko i urwał, gwałtownie odwracając głowę w stronę niepozornego budynku, w którym schronił się chłopiec.

Nie wydawało mu się – kuźnia na moment rozjarzyła się sinym, upiornym światłem. Jorg widział w życiu wystarczająco wiele zaklęć, by wiedzieć, co to było.

– Ona tam jest – wydusiła Widząca, podnosząc się.

– Stój – powiedział żołnierz spokojnie. Położyłby jej rękę na ramieniu, ale w obecności Tary groziło to utratą dłoni.

– Ale Jorg, ona tam jest, przecież widziałeś, to było zaklęcie! – szeptała gorączkowo dziewczyna.

– Owszem – odparł i pozwolił sobie przy tym nawet na uśmiech. – To oznacza, że osiągnęliśmy cel. Po pierwsze: wierzy w zjawy, po drugie: wiemy, gdzie się ukrywa.

– I możemy się jej pozbyć! – Z trudem powstrzymywała się od krzyku. – Teraz!

Pokręcił głową.

– Nie bez Hornaka.

– Co?

– Nie bez Hornaka, Widząca. Zaufaj mi, nie chcesz walczyć z czarodziejką bez Hornaka.

– Ale to jeszcze...

– Wiele czasu, tak. Poczekamy.

Rozdział XVI

Vera

Ren przez miesiąc zajmował się wyłącznie leczeniem Hornaka i był to jeden z najgorszych miesięcy w jego życiu. Gdyby miał możliwość, chyba zamieniłby czas, w którym osiłą jego życia był potężny Diogorczyk, na rok w Kamieniołomie. Sytuację trochę poprawiała obecność Karta, ale tak naprawdę nie mieli wiele czasu na rozmowy, a Ren pod nawałem pracy szybko zapomniał o nadziei, którą poczuł podczas pierwszego spotkania.

Z ranami zadanyymi przez sokoły nie było żartów, więc po usunięciu większość płytek – już pierwszej nocy – wszystkie siły skupili na odtruwaniu i wzmacnianiu organizmu, zmienianiu opatrunków i przyrządzaniu coraz to nowych maści i ziół. Nawet gdy Ren służył jako lekarz na froncie, nie czuł się tak przepracowany – może dlatego że ofiary sokołów, nawet jeśli przeżyły, zazwyczaj skreślano, bo nie można było sobie pozwolić na to, by jeden wysoko wykwalifikowany medyk czuwał nad kimś przez pięć tygodni bez przerwy. Fakt, że nigdy żadnego ze swych pacjentów nie darzył tak serdeczną, szczerą i całkowicie bezsilną nienawiścią jak Hornaka, również nie pomagał.

Mógłby go zabić. Nie powinien, bo był lekarzem, zaszkodzenie komuś, kogo oddano pod jego opiekę, stanowiło jeden z najgorszych możliwych do popełnienia czynów, ale nienawidził Hornaka tak szczerze, że mógłby popełnić każde skurwysyństwo. Nienawidził również Jorga, a wiedział, że utrata tego idioty byłaby dla żołnierza z jakichś przyczyn niezwykle bolesna, więc zaszkodziłby mu bez wahania – tyle że Jorg nadal miał jego Widzącą.

Ren warzył więc zioła, ucierał maści, zmieniał opatrunki, spał po trzy godziny na dobę, pod koniec leczenia znosił również obelgi i ciosy odzyskującego przytomność Hornaka i wrzał z wściekłości. Przez miesiąc.

Potem oświadczył Jorgowi, że pacjent potrzebuje jeszcze jakiegoś tygodnia odpoczynku, w czasie którego nie może się zbyt wiele ruszać, pozwolił się odprowadzić do celi, padł na łóżko i spał przez trzy dni bez przerwy. Dopiero potem sprawdził, czy klucz nadal tkwi w szparze między deskami.

Tkwiał.

Ren był rozczarowany. I trochę przerażony, kiedy sobie to rozczarowanie uświadomił.

Miał nadzieję, że go zabrała. Miał nadzieję, że nie będzie musiał już nic robić, że będzie mógł po prostu poddać się biegowi wydarzeń, skoro nie ma nań żadnego wpływu i skoro wszystko, czego się podejmuje, kończy się fiaskiem. Że ktoś inny będzie działał za niego. Że teraz może się, na przykład, po prostu zdać na Karta. Niemal marzył, żeby być nikim więcej niż tylko bezwolnym więźniem Diogorii.

Tymczasem klucz tkwił w szparze jak zobowiązanie, jak wyzwanie i wyrzut. Trzeba było coś zrobić. Trzeba było znów próbować. I znów przegrać, bo jeżeli Kart do tej pory nie zdołał przywrócić Widzącej pamięci, to pewnie tak naprawdę nie miał zamiaru im pomagać – przecież nienawidził Widzących. Tak więc Ren znów był zdany tylko na siebie i Królową.

Wysunął dłoń ze szczeliny i obrócił się twarzą do okna. Musiał coś zrobić, tak. Ale nie dziś. Nie wiedział nawet, czym zajmują się teraz Jorg i Migna, a nie bez tych informacji nie zdołałby podjąć żadnego konkretnego działania.

Teraz był czas na bezczynność i odpoczynek.

Przez kolejne trzy dni leżał w łóżku, najczęściej obserwując misternie zdobione sklepienie i promienie słońca przesuwające się po pokoju. Kiedy się budził, myślał o rzeczach, które tego dnia robi – składało się na nie leżenie pod drzwiami z uchem przytkniętym do szpary i, jeśli nasłuchiwanie okazałoby się być efektywne, wyjście. Potem pochłaniał strawę, którą przynosiła mu zazwyczaj Widząca, i wymyślał powód, dla którego ona i żołnierze wciąż jeszcze nie rozmawiają o niczym istotnym, więc nie ma sensu dźwigać się z łóżka i podsłuchiwać. Powodów tych przybywało, aż wreszcie Ren orientował się, że jest już za późno, żeby usłyszeć cokolwiek istotnego.

Czuł wtedy, jakby coś, co napinało się w nim od samego rana, pękało. Ogarniała go ulga. Potem mógł już swobodnie obserwować sklepienie i delektować się upływem czasu, który płynął bez względu na to, czy Ren coś robił, czy nie. I kiedy nic nie robił, nic się nie działo. Nie nadchodziły żadne poważne konsekwencje.

I pewnie nie nadeszłyby jeszcze przez jakiś czas, gdyby Przewodnik nie był szczepiony z pewnym niewielkim huraganem.

Kiedy przychodziła, zazwyczaj udawał, że śpi. Wówczas stała nad nim przez moment, zastanawiając się chyba, czy go nie obudzić, i zazwyczaj odchodziła, nie próbując.

Ale cierpliwość Widzącej miała swoje granice, więc kiedy trzeciego ranka zatrzymała się nad jego łóżkiem, nie odwróciła się i nie odeszła.

– Przecież wiem, że nie śpisz.

Słowa były na tyle ciche, że nie zdołałyby go obudzić, gdyby spał. Pobrmiewała w nich bezradność i Renowi przemknęło przez głowę, że powinien otworzyć oczy, ale kiedy pomyślał o wysiłku związanym z rozmową, szybko porzucił tę myśl. I tak nic dobrego nie mogło z niej wyniknąć; lepiej dla nich obojga, by dalej udawał śpiącego.

– To przez to, co robimy? Dlatego nie chcesz mnie widzieć?

„O co jej chodzi, na żywioły?”

– Przecież zawsze wiedziałeś, po co tu jesteśmy – ciągnęła. Mówiła coraz głośniej, teraz z wyraźną irytacją. – I jakoś do tej pory ci to nie przeszkadzało. Co, rzeczywistość cię przerosła?! Twoi kumple zamordowali Hornaka, jeśli nie zauważyłeś!

Otworzył oczy.

– Królewno – powiedział stanowczo. – Jeśli jestem czegoś, kurwa, pewien na tym świecie, to tego, że Hornak żyje.

Zmieszała się nieco, ale szybko odzyskała rezon.

– Ale chcieli go zamordować!

– Z tego, co mi wiadomo, to chcieli zamordować namiestniczkę.

– Jeszcze gorzej! – zdenerwowała się. – I co, jak oni robią takie rzeczy, to dobrze, ale do mnie to już się nie odzywasz?! Namiestniczka też była bezbronna!

Ren poświęcił chwilę, żeby przetrwać te słowa. Usiadł, powoli przekrzywił głowę i spojrzał uważnie na Widzącą.

– „Też”? – zapytał.

Kobieta uniosła dłoń do ust.

– Och, na żywioły – wymamrotała. – Nie wiedziałeś.

Obróciła się i wypadła z pokoju, zapominając nawet o zamknięciu go na klucz. Jorg zaraz kazał jej zawrócić.

Następne kilka godzin Ren spędził, leżąc pod drzwiami i nasłuchując.

Nie wyłapał wiele. Nie dowiedział się – nie wtedy – co miała na myśli Widząca.

Ale to, co usłyszał, w zupełności mu wystarczyło.

Wiedział o dokładnie jednej kuźni, w której ukrywała się jakaś czarodziejka.

I być może dobrze by było, gdyby ją złapali, bo była naprawdę, naprawdę niebezpieczna – jak każda niewyszkolona czarodziejka poza Akademią. Ale Ren bardzo ją lubił.

Miał nadzieję, że królowa również, bo bez niej to nie mogło się udać.

Tej nocy spotkał się z Kartem i powiedział mu, dokąd następnego dnia uda się Widząca, Jorg i Hornak.

Nazajutrz zaś, kiedy już wyszli, z tłukącym się w piersiach sercem udał się za nimi.

*

Przez te kilka tygodni, które upłynęły, odkąd zlokalizowali kryjówkę przywódczyni ruchu oporu, Jorg bez przerwy musiał przywoływać się do porządku – taki czuł entuzjazm. Kontynuowali z Migną nocne wyprawy, ale nie dostarczały mu już one tej satysfakcji co wcześniej – były tylko wypełnianiem czasu w oczekiwaniu na wielki finał. Nadal sumiennie wykonywał swoje obowiązki, lecz nie wkładał w to serca. Myślami był już w kuźni. W sercu walki.

Starał się hamować, bo takie podejście niosło ze sobą spore niebezpieczeństwo, na niektóre rzeczy nie mógł jednak wiele poradzić. Pozostawało kierować się rozsądkiem, który pozostawał niezależny od emocji i uniesień. To rozsądek sprawił, że żołnierz, nim zdecydował się przeprowadzić akcję, odczekał tydzień po zakończeniu leczenia Hornaka, tak jak przykazał Przewodnik. Rozsądek sprawił, że rozkazał jemu i Widzącej przeprowadzić walkę ćwiczebną, i dopiero kiedy się upewnił, że olbrzym wrócił do pełni sił, uznał, że są gotowi.

Rozsądek wreszcie sprawił, że zmierzając z Widzącą i Hornakiem do kuźni, czuł się spokojny, choć był to specyficzny spokój, kojarzący się z bezruchem strzały na napiętej cięciwie.

Wszystko zdawało się im sprzyjać. Nawet pogoda była wspaniała, a gdy niedługo po opuszczeniu zamku weszli pomiędzy budynki z czerwonej cegły, pomiędzy którymi prowadziła niewybrukowana, piaszczysta droga, wszystko wokół podmalowane było purpurą ostatnich słonecznych promieni. Jorg, jak większość Diogorczyków wrażliwy na piękno, aż się zatrzymał. Odetchnął głęboko i poczuł, że oto jego spokój zaczyna sięgać dalej, że nieruchoma koncentracja napiętych przed walką mięśni

przekształca się w pewność drapieżnika, który zawsze osiąga wyznaczony cel.

Zapamiętał to uczucie do końca życia. Najpiękniejsze kłamstwo, jakie kiedykolwiek opowiedział mu świat. Najpiękniejsze, w jakie uwierzył.

I tak jak wszystkie najpiękniejsze rzeczy – najbardziej bolesne.

W uderzenie serca później zza rogu, zza zachwycającego purpurowego rogu budynku z czerwonej cegły wyszedł wymizierowany żebrak. Jorg nie zwróciłby na niego uwagi, ale Widząca aż sapnęła, zaskoczona i przerażona – mężczyzna zaś równie gwałtownie zawrócił. Wtedy Jorg go rozpoznał.

Hornak również, i to on właśnie go dopadł, złapał za ramię, popchnął tak, że Południowiec wylądował w kurzu pomiędzy nim a Jorgiem. Z następnymi ciosami olbrzym się wstrzymał, patrząc pytająco na dowódcę.

Te kilka chwil pozwoliło Jorgowi się opanować – nie na tyle, by nie czuć wściekłości i zaskoczenia, ale na tyle, by mówić, nie krzyczeć.

– Nie mogę uwierzyć – powiedział więc zimno i powoli – że ktokolwiek może być tak głupi.

Zrobił dwa kroki w stronę mężczyzny i przykucnął przy nim.

– Wyłumaczysz mi to, Ren? Bo muszę przyznać, że jest niezwykle fascynujące.

Przewodnik łypnął na niego wrogo – ale to były tylko pozory, pod wrogością kryła się beznadzieja. Jorg spędził lata jako strażnik w Kamieniołomie, znał tego rodzaju spojrzenia. Południowiec nabrał powietrza, by odpowiedzieć, najpewniej kwaśno, bez szacunku i wedle własnego mniemania dowcipnie, co musiało zaowocować wymierzeniem mu ciosu. Wtedy rozległ się krzyk.

Nawet niezbyt głośny, wręcz niepozorny. Jorg nigdy nie mógł zrozumieć jak coś, co brzmiało tak zwyczajnie, zdołało wywołać takie skutki. A z drugiej strony rozumiał doskonale – czuł przecież, jak krew w jego żyłach zaśpiewała z całą mocą.

Jedno słowo. Młody, męski głos.

– Vera!

Obrócił się gwałtownie i rozejrzał, ale dostrzegł tylko odzianą w czerń postać o zakrytej twarzy, znikającą szybko za załomem. Nie mógł się nią teraz zająć, skoro właśnie stało się to, co się stało.

Poza tym pamiętał właściwie głównie sekwencję dźwięków, to piękne różowe światło i otwierające się szeroko oczy Rena, jego twarz pękającą

w szyderczym uśmiechu.

Rozległ się potępieńczy, niepowstrzymany chichot. A zaraz potem odgłos ciała upadającego na kolana.

I rozpaczliwe, dobiegające z czeluści, jakich istnienia nawet nie podejrzewał, wycie.

Następnym, co usłyszał, był szczeł własnego, wyciąganego z pochwy miecza.

Stało się więc tak, że znaleźli się wszyscy czworo w purpurowym, ciemniejącym szybko zaułku. Przewodnik, którego opętańczy rechot urwał się nie wiadomo kiedy, który twarz miał teraz bladą, starą i skupioną, jak wykutą z kamienia. Za nim klęcząca na bruku, zgięta wpół, obejmująca głowę dłońmi Widząca. Przed nim Jorg z obnażonym mieczem. Obok Jorga Hornak.

– Nie dotkniesz jej – powiedział spokojnie Ren.

– Nie muszę.

– Nie dotkniesz jej – powtórzył Przewodnik – ani ręką, ani mieczem.

Widząca zamilkła na chwilę, jakby zdziwiona słowami mężczyzny. Jorg zerknął na nią kontrolnie, Ren ani drgnął.

Wrzasnęła rozdzierająco.

– Zejdź mi z drogi, więźniu – rozkazał żołnierz.

– Co ja zrobiłam, co ja zrobiłam, co ja zrobiłam...

– Nie ma mowy – odparł twardo Ren. – Ty natomiast możesz zejść z drogi mnie. Wolisz to zrobić, możesz mi wierzyć.

Jorg długo spoglądał mu w oczy. Nim wreszcie odpowiedział, słowa Widzącej przeszły w wycie, potem w szloch, potem znów w krzyk i wróciły do tej pierwotnej, obłąkańczej mantry.

– Co ja zrobiłam, co ja zrobiłam...

– Blefujesz.

– Sprawdź mnie.

Jorg sprawdził więc, bo przecież nie miał wyboru. Postąpił krok do przodu i po prostu odsunął więźnia na bok, w chwili jednak, gdy uniósł miecz poczuł, że ktoś z niezwykłą siłą chwyta go, blokuje ruchy i ciągnie do tyłu.

– Nie możemy jej skrzywdzić, Jorg – powiedział Hornak spokojnie. – To nasza przyjaciółka.

Jorg zmartwiał. Przewodnik blefował, wiedział o tym teraz, bo na jego twarzy odmalowało się najpierw przerażenie, a potem gdy Hornak chwycił

swego dowódcę, niewysłowiona ulga. Więc Jorg mógł ją zabić. Zabić dziewczynę, zapakować Przewodnika do lochu i zająć się czarodziejką – mógłby, gdyby nie przeklęty, naiwny, wypalony umysł Hornaka.

– Zabiję, zabiję, zabiję...

Ren pobladł, zatoczył się na ścianę.

– Hornak – wycodził Jorg – puść mnie. To nie jest przyjaciółka.

– Przecie to Migna.

– Już n... – Jorg urwał, bo Przewodnikowi udało się wreszcie zogniskować na nich wzrok. Żołnierz nigdy jeszcze nie widział takiego spojrzenia, obłąkanego i przytomnego zarazem.

Ren przyklęknął przy Widzącej, wyciągając dłoń w jej stronę. Nie odrywał wzroku od Diogorczyków.

– Od tygodni nie dostała ziół, nie byłem w stanie ich przygotowywać, kiedy go – wskazał brodą Hornaka – składałem. Jest na granicy transu, Jorg, wystarczy, że lekko go sprowokuję. Dzikiego transu. Na otwartej przestrzeni. Spróbuj ją zabić. Wystarczy jeden ruch, nie bój się. Gwarantuję ci, że nie przeżyje. Ona, ja, ty, Hornak i pół tego przeklętego miasta.

– Zabijęęę...

– Puść mnie, Hornak – wychrypiał Jorg.

– Nie zrobisz jej krzywdy – powiedział olbrzym i trudno było określić, czy próbował się upewnić, czy też po prostu informował Jorga o tym, jak się sprawy mają.

Migna – dlaczego tak o niej pomyślał? Przecież kłamstwo pękło – znów zawyla i żołnierzowi przemknęło nagle przez głowę, że może mniejszą krzywdę wyrządziłby, właśnie ją zabijając, niż pozostawiając przy życiu. Ale przecież nie to Hornak miał na myśli.

– Dobrze, nie zrobię jej krzywdy – zapewnił więc. – Puścić mnie, szeregowy. Mamy zadanie, pamiętacie?

Zaraz potem się rozstali. Diogorczycy zniknęli za załomem, słońce zaszło, purpurowy zaulek pogrążył się w szarości. Ren, wyczerpany tym, co więz od dobrych kilku chwil robiła z jego umysłem, osunął się na piach.

Widząca odwróciła głowę w jego stronę i z trudem przegramoliła się do niego.

– Przepraszam – wykrztusiła. – Przepraszam, przepraszam, przepraszam... – mamrotała, usiłując unieść dłonie do jego twarzy. Nie dawała rady, trzęsły się jak w delirium. Ren ujął je w swoje, oparł o nie czoło.

– Nie przepraszaaj – szepnął.

Spojrzał jej w oczy – po raz pierwszy jej, nie temu, co stworzyli Diogorczycy, i nie temu, co było uwięzione pomiędzy czasami.

Głęboko w studniach źrenic zapłonęła pomarańczowa iskra. A zaraz potem buchnął płomień.

– No i tyle z rozmowy – powiedział Kart, wychodząc zza załomu. – Zbieraj się, chyba że nadal planujesz zamordować pół miasta.

Ren, oszołomiony, pokiwał głową.

– Nie tak to miało wyglądać – mruknął.

Kart rozłożył ręce.

– Pretensje do Królowej. Najwyraźniej bardzo chciała nas tu mieć w takiej konfiguracji.

– Mogłeś poczekać – wymamrotał Ren. – Nie poszliby do młodej.

Medyk westchnął i przykucnął przy przyjacielu.

– Poszliby. A ciebie trzymaliby o wiele pilniej pod kluczem niż do tej pory.

– Ale Nya...

Kart westchnął, zniecierpliwiony.

– Zajmę się tym – obiecał. – Ren, Widząca. Twoja Widząca. Trans. Dziki. Pamiętasz? Zbierz ją z tego piachu i chodźmy stąd. Pomogę ci, ale przecież jej za ciebie nie wezmę.

Przewodnik pokiwał powoli głową, przyklęknął i wziął Verę na ręce.

Kart podtrzymał, go kiedy się zachwiał, i poprowadził w dół ulicy. Zamierzał zabrać przyjaciela do domu, ale Królowa miała inne plany.

A może miała właśnie takie, może po prostu lepiej wiedziała, gdzie jest dom.

Tak czy inaczej okazało się, że ruiny urtyjskiej siedziby Zakonu Przewodników są tuż za rogiem.

– Nie – wymamrotał Ren.

Medyk popatrzył na niego z niepokojem.

– Ren, to jest dobre miejsce. Królowa wie, co robi.

Przewodnik prychnął.

– Królowa jest szalona, przypominam – odparł w nagłym przebłysku przytomności. – Tu nie ma ścian ani sufitu, jest za to Derek.

– Magia nadal działa, osłoni was. A Derekiem też się zajmę. Zabierz się do tego transu, co? Zanim, no wiesz, zabije was oboje.

Ren pokiwał głową i ostrożnie ułożył Verę na posadzce.

– Tylko poczekaj, aż wyjdę – przypomniał Kart.

Kiedy się oddalił, Ren oparł się o jakąś resztkę ściany, położył sobie głowę Widzącej na kolanach i zanurzył się w trans.

Derek byłby oburzony, gdyby znał jego przebieg. Gdyby wiedział, jak brutalnie i pragmatycznie podeszli do niego Vera i Ren. Starał się zawsze przekazać przyszłym Przewodnikom poczucie, że ich zajęcie jest sztuką, że szybowanie na wiatrach przyszłości, balansowanie na wzburzonych falach transu wymaga niezwyklej wirtuozerii. Że na świecie nie ma nic piękniejszego i ważniejszego od widzenia, że ono właśnie jest kwintesencją życia.

Vera i Ren nie mieli czasu na wirtuozerię. Oboje zdawali sobie sprawę, że Przewodnik nie powinien przeprowadzać jej przez dzikie transy i że ona nie powinna w nie wpadać, toteż gdy tylko się odnaleźli, Widząca zanurzyła się w kipiel wizji, którą chciał pokazać jej los. Wizja zaś posłusznie rozjarzyła się jej przed oczami równym, zdecydowanie zbyt mocnym płomieniem.

Nya zazwyczaj nie potrzebowała żywego ognia, a dobrze nagrzanego żaru – ale teraz się tym nie przejmowała. Właśnie skończyła pracę, więc ogień mógł płonąć, jak sobie tylko chciał.

A ktokolwiek stał przy drzwiach i w nie łomotał, mógł poczekać do jutra. Była zmęczona.

– Otwierać w imieniu króla!

Dziewczyna zamarła na moment. Umiała rozpoznać wściekłość w głosie, nawet dobrze skrywaną, właściwą tylko Diogorczykom.

„Spokojnie – pomyślała. – Nic nie zrobiłaś”.

Coś huknęło w drzwi. Skuliła się odruchowo i stłumiła pisk, przyciskając dłonie do ust. Odchrząknęła.

– Idę, idę przecie! – zawołała. Głos drżał jej nie tylko dlatego, że udawała starowinkę. Zakutała się w szmatę i podeszła do drzwi.

Mężczyźni wdarli się do środka, gdy tylko je uchyliła, dość brutalnie odsuwając ją na bok. Było ich dwóch – jeden starszy, siwy i żylasty, o szarych, zimnych oczach, i drugi: przystojny, ciemnowłosy i wielki. Robił wrażenie, jakby składał się tylko z mięśni. Ten starszy, wszedłszy, odwrócił się i odszukał ją wzrokiem.

– Czarodziejka – powiedział beznamiętnie.

Nya zmartwiała.

Znaleźli ją. Znaleźli.

Na wszystkie żywiły, znaleźli, postawią teraz przed trybunałem i...

– No? Słucham, babuleńko. Gdzie ona jest?

Ulga prawie zbiła ją z nóg. Nie znaleźli. Nie do końca.

– C-co? – udało jej się wydusić.

Mężczyzna westchnął, starając się maskować wściekłość.

– Hornak, krzesło – polecił. – Tam postaw, naprzeciw stołu. – Machnął ręką, wskazując wyznaczone miejsce, po czym odwrócił się do Nya'diel. – Zapraszam – rzekł, chwytając ją mocno za łokieć.

– P-panie... – zaprotestowała słabo, ale rzecz jasna na nic się to nie zdało. Popchnięto ją brutalnie na krzesło i już w chwilę później ten wielki związał jej ręce za oparciem. Zacisnął sznur mocno, bolało.

Ten starszy, najwyraźniej dowódca, usiadł naprzeciwko niej, na stole. Pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach, i spróbował zajrzeć jej w oczy – było to nieco utrudnione, bo głowę miała opuszczoną. Wyciągnął dłoń i chwycił ją pod brodę.

Przez moment spoglądali na siebie – ona ze strachem, on ze spokojem i zainteresowaniem.

– Ciekawe – powiedział, wyciągając drugą dłoń do jej chusty. Ściągnął ją niemal pieszczotliwym ruchem. Złote włosy rozsypały się na ramiona dziewczyny, kilka kosmyków opadło jej na twarz. Odgarnął je delikatnie.

– Co jest? – zdziwił się ten drugi. Od samego brzmienia jego niskiego głosu bolała ją głowa. – Gdzie ta babcia?

– Nie było żadnej babci – odparł oschle Jorg, wciąż patrząc Nyi w oczy. Puścił jej brodę i cofnął się, po czym znów oparł łokcie na kolanach. – Lubicie przebieranki, prawda? – powiedział, niemal łagodnie. – Opowiadaj.

– P-panie, proszę... Ja nie wiem, co... Ja jestem sierota tylko, sama na tym świecie, proszę... – Bezskutecznie starała się powstrzymać szloch.

– Sierota – powtórzył żołnierz. – Przykro mi. Wojenna?

– Nie, panie! – zaprzeczyła gorliwie. Ostatnie, czego potrzebowała, to to, żeby wiedział, że to oni zabili tatę. – Mama to jeszcze w połogu, a tata pięć lat temu na gorączkę!

– Przykro mi – powtórzył. – A po co ta maskarada?

– No bo... – To był dobry moment, żeby się zawstydić, Nya'diel spuściła więc wzrok i pociągnęła nosem. – Już w takim wieku jestem, że... I... nie chciałam, żeby ktoś się interesował.

– Rozumiem – odparł mężczyzna w udawanej zadumie. Pozornie bezwiednie oparł jedną stopę na siedzeniu krzesła, obok jej uda. – A to

miejsce? Należy do ciebie, jak rozumiem?

– Tak, panie. Zostało po tacie...

Pokiwał głową.

– Trudny fach, kowalstwo – rzekł w zamyśleniu. – Zwłaszcza dla takiej wątłej istoty.

– Nie, panie, jak się zna technikę...

– O, nie wątpię. Młot jednak trzeba unieść, żar rozdmuchać, czasem przełożyć sztaby... No i taki majątek w rękach sieroty, nawet podającej się za starą kobietę – urwał.

Krzesło pod jego stopą wychyliło się lekko do tyłu, a żołądek Nyi skurczył się do rozmiarów ziarnka grochu, gdy oczekiwała na nieuchronny bolesny upadek.

– Wybacz – powiedział żołnierz z fałszywym uśmiechem, gdy przednie nogi krzesła z łoskotem wylądowały z powrotem na podłodze. – Zapominam się czasem w chwilach skupienia. – Podniósł się ze stołu, splótł ręce za plecami i zaczął powoli przechadzać się po kuźni. – Byłaś w bardzo trudnej sytuacji... – urwał, zerknął na nią pytająco, chcąc najwyraźniej zakończyć zdanie jej imieniem.

– Nya. Nya'diel.

– Byłaś w bardzo trudnej sytuacji, Nya'diel. Nie ma nic dziwnego w tym, że skorzystałaś z pomocy, kiedy ci ją zaoferowano.

Zatrzymał się na moment przy kowadle, sięgnął po młot. Nya wstrzymała oddech.

Mężczyzna przyglądał się narzędziu z zainteresowaniem, po czym podrzucił je tak, że zawirowało w powietrzu, i złapał jedną ręką.

– Tak – mruknął. – Zwłaszcza takiej pomocy.

Nya drżała.

– Musisz jednak zrozumieć, że kiedy już wiemy, kogo tutaj ukrywasz, bronienie ich... bronienie jej, może ci tylko zaszkodzić.

Usta dziewczyny wygięły się w podkówkę. Nie mogła nic na to poradzić.

– Ale ja nic nie wiem! Naprawdę, nic nie wiem, prooszę! – zaszlochała.

Żołnierz pokiwał głową.

– Podziwu godna lojalność – rzekł, wracając do stołu. – Hornak, zacznij szukać.

Coś załomotało za plecami Nyi, ale nie zdążyła poświęcić temu dźwiękowi więcej uwagi, bo zaraz potem świat rozbłysnął bólem.

Rozdział XVII

Łzy

Ren zazwyczaj kończył trans spokojnie i delikatnie, powoli wprowadzając Widzącą w jej własne ciało, w czas, miejsce i rzeczywistość, ale tym razem było inaczej. Tym razem Vera dyszała ciężko z zamkniętymi oczami, drżąc i próbując na powrót coś poczuć.

Ruiny Zakonu. Mądrze. Nawet gdyby pojawił się ktoś postronny, magia zamknięta w tym miejscu – miejscu, na szczęście, w ziemi, a nie w murach, których już nie było – ocalałaby im życie.

Nikt się jednak nie pojawił. Byli sami.

Właściwie to „była sama”. Przewodnik co prawda leżał obok, zwinięty pod ścianą, ale nieprzytomny, a jednocześnie cały zeszywniały z bólu. Zgrabiałymi dłońmi obejmował głowę i trząsł się jak w gorączce.

– Na żywioły...

Zdjęła pelerynę i przykryła mężczyznę. Wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła jego włosów. Były mokre od potu.

– Przepraszam – szepnęła. – Przepraszam.

A potem zamarła tak, z dłonią na jego czole.

Ta dziewczynka. Jorg i Hornak. Ruch oporu, ruch, który miał się zaraz posypać, przez nią. Miała może pół godziny, żeby coś zrobić, dotrzeć do kuźni, ostrzec dziewczynkę, zamordować Jorga i Hornaka – poradziłaby sobie z nimi, wiedziała o tym.

Tylko że obok leżał Ren. I cały się trząsł.

Mąż Very powiedział jej kiedyś, że kiedy człowiek naprawdę nie wie, co zrobić, wcale nie bije się z myślami. Po prostu zamiera i wpatruje się w pustkę. W rozdarcie we własnej duszy.

„Kiedyś je słyszałem” – powiedział też. Nie powiedział, kiedy to było, ale ona przecież wiedziała, wiedziała dokładnie.

„Brzmi jak darte płótno”.

Miał rację. Na wszystkie żywioły, miał rację.

Vera klęczała więc przy swoim Przewodniku, patrzyła w pustkę i słuchała odgłosu darcia płótna.

Wszyscy byli potem przekonani, że podjęła złą decyzję. Że wybrała pozostanie z Renem zamiast ratowania buntowników. Nikt jej za to nie winił, ludzie zdawali sobie sprawę – a właściwie wydawało im się, że zdają sobie sprawę – z natury więzi między Widzącą a Przewodnikiem, ale też nikt jej za bardzo nie ufał.

Ale Vera wiedziała. Nie było żadnej decyzji. Była tylko ciemność i rozdarcie, idealnie równoważące się szalki wagi.

Ona była tą wagą, co niby miała zrobić?!

A potem zorientowała się, że te pół godziny chyba już minęło. Że to już się dzieje. Jorg musiał właśnie otwierać drzwi.

– Sore – szepnęła. – Och, Sore.

Zabrała dłoń z włosów Przewodnika, usiadła pod resztką ściany, opierając się o nią plecami, i pozwoliła sobie wreszcie zrozumieć, co naprawdę się stało w ciągu ostatniego roku.

Nigdy nikomu nie mówiła o tej nocy i nawet Przewodnik nie miał do niej dostępu. Są rzeczy nie do pokazania i nie do zrozumienia, które zawsze należą tylko do jednego człowieka i do żywiołów, bez względu na wszystkie magiczne więzi.

Są po prostu rodzaje cierpienia, których żadnym sposobem nie da się wytłumaczyć.

*

– Miałaś swoją szansę – wysyczał Jorg, przyklękając przy przywiązanej do przewróconego krzesła Nyi, i w jego głosie dziewczyna usłyszała, że nie, nigdy jej nie miała. Przyszedł z wściekłością, z nienawiścią w sercu i chciał robić krzywdę... komukolwiek, w jakikolwiek sposób, byleby bolało. – Mogłaś z tego wyjść bez szwanku, a teraz nic nie wyjdzie bez szwanku: ani czarodziejka, bo ją znajdziemy ani twoja magiczna kuźnia, bo ją zniszczymy, ani ty, bo zamkniemy cię w lochu, wyciągniemy wszystko, co jest do wyciągnięcia, i stracimy za spiskowanie przeciwko królowi. Ale zanim dojdzie do tego ostatniego, zatęsknisz za takimi prostymi, prawie bezbolesnymi metodami, jak na przykład... – Podniósł się i zamierzył, a potem Nya zobaczyła niebo pełne gwiazd, jak czasem na szlaku.

– ...kopniak. – Dosłyszała jeszcze.

To był błąd z jego strony. Może gdyby tego wszystkiego nie powiedział, wypadki potoczyłyby się inaczej, Nya bowiem bardzo ceniła sobie święty spokój i bezpieczeństwo. Do tego stopnia, że była gotowa pozwolić

przywiązać się do krzesła we własnym domu, pozwolić się przesłuchać i pokazać diogorskim żołnierzom własne łyzy, których zazwyczaj nie pokazywała nikomu. Pozwoliłaby się bić, pozwoliłaby nawet zdemolować kuźnię. Pozwoliłaby na to wszystko, gdyby oznaczało to, że wreszcie pójdą sobie i dadzą jej spokój.

Ale skoro zamierzali i tak zabrać ją do lochu, torturować i zgładzić, sprawa wyglądała zupełnie inaczej.

Nya zabębniła palcami w oparcie krzesła zanuciła pod nosem trzy cichutkie dźwięki, luzując więzy, a wagę mebla zmniejszając tak, że odtoczenie się w celu uniknięcia kolejnego kopniaka stało się banalnie łatwe. Poderwała się na równe nogi, a zaraz potem lekko wskoczyła na stół.

– Jedyną czarodziejką – zaczęła śpiewnie – jaka kiedykolwiek postawiła tu stopę, jestem ja.

Porozrzucane w kuźni podkowy, gwoździe i obcęgi, posłuszne jej głosowi i magii, którą władała, zaczęły, podzwaniając, unosić się w powietrze.

Nya spojrzała prosto w szare oczy starszego żołnierza.

– Możecie teraz wyjść. Albo zostać i umrzeć.

Przeraził się. I dobrze. Była najbardziej niebezpieczną istotą w tym mieście, powinien się bać.

Uśmiechnęła się drapieżnie. I bardzo szybko przestała się uśmiechać, bo na twarzy Diogorczyka pojawiła się zła, mściwa satysfakcja.

– Doskonale. Hornak!

Nya zbladła, cofnęła się o krok, w nagłym rozbłysku uświadamiając sobie, co teraz nastąpi, co musi nastąpić, skoro Diogorczyk postanowili z nią walczyć.

„Och na żywioły, nie, proszę nie”.

Drugi z żołnierzy popatrzył tymczasem na dowódcę. Na nią. Na unoszące się sprzęty.

Wtedy właśnie postanowiła rzucić się do drzwi, ale nie zdążyła.

Krzyk.

Wszystko stało się płaskie.

Wszystko się rozdarło.

Wszystko przestało brzmieć, a podkowy, gwoździe, grabie i klucze, obręcze do kół, motyki i obcęgi, wszystko to opadło na ziemię.

Magia była muzyką, tworzeniem w świecie nowych harmonii, naginaniem ich do własnej woli. Wrzask Diogorczyka nie miał z tym nic

wspólnego, rozwarstwiał świat i przesuwiał jego warstwy, tak że wszystko było nie tak, nie tak, nie tak, nie...

Ktoś zabrał jej stół spod nóg. Upadła na ziemię, brzuch zabolął, głowa – twarz, dostała w twarz, to ten stary ją bił, ten młody krzyczał.

– I gdzie twoja potęga, smarkulo? Co?

Gdyby Nya była jedynie czarodziejką. Gdyby, legalnie rzecz biorąc, w ogóle była czarodziejką, a nie uciekinierem, to byłby koniec.

Nie była jednak i przywykła do polegania na wszystkim prócz własnej mocy, sięgnęła więc do kieszeni fartucha, zacisnęła palce na przebijaku i z całej siły wbiła go mężczyźnie w dłoń. A był ostry. Tata nauczył ją dbać o narzędzia.

Staruch zawył, kiedy ją puszczał i aż zakręciło jej się w głowie od tej kombinacji dźwięków – jego głosu i głosu krzykacza. Wiedziała przecież, że mają krzykaczy – przyszli po czarodziejkę. Jak mogła być taka głupia!

Nie, nie czas na to teraz.

Palenisko.

Prawie do niego dopadła, ale stary zdołał ją złapać za ramię i szarpnąć w swoją stronę. Błysnął nóż, wywinęła się, ale żebra zapłonęły.

Wtedy jednak krzykacz urwał, by złapać oddech.

Nya zaśpiewała – wysoki, rozpaczliwy rejestr, niemożliwy do usłyszenia dla zwykłych śmiertelników, objawiający się im jako zgniłozielony blask – a trzymający ją żołnierz nagle zachwiał się i przypadł do ziemi pod ciężarem własnej zbroi. Zmiażdżyłaby go, gdyby zaklęcie potrwało jeszcze chwilę. Wtedy ten drugi znowu zaczął krzyczeć i Nya była pewna, że zwymiotuje. Może właśnie powinna narzygać staruchowi w twarz – przynajmniej wiedziałby, co o nim sądzi.

Palenisko.

Tym razem jej się udało. Zacisnęła dłoń na stylisku szufli, wyszarpnęła ją z żaru, odwróciła się i cisnęła gorące węgle prosto w twarz żołnierza.

Wrzasnął – na żywioły, jak on wrzasnął! Zamroczyło ją, a i gdy odzyskała świadomość, siedziała na podłodze z obolałym tyłkiem, a tamten próbował wytrzepać żar z włosów, wąsów i brwi.

Krzykacz wciąż się darł, a ona chciała tylko, żeby przestał – niczego innego. Żeby się zamknął, bo to bolało, strasznie bolało, bardziej niż brzuch, pocięte żebra i obita twarz.

Młot.

Nadal był lekki, choć nie tak jak zazwyczaj. Ale dobrze go zaczarowała, więc zaklęcie się jeszcze trzymało.

Chciała, żeby był cicho. Tylko tego, naprawdę.

Hornak nawet nie poczułby uderzenia nienaturalnie lekkim młotem, zaczarowanym tak, żeby Nya'diel była w stanie się nim posługiwać.

On jednak wydawał z siebie dźwięk, który rozkładał magię, rozrywał ją i niszczył. I jakkolwiek silne nie było zaklęcie nałożone na narzędzie, krzyk Hornaka był silniejszy.

I nawet gdy Nya zadała cios, wydawało jej się, że żołnierz nadal krzyczy i że to przez ten krzyk przed oczami wciąż wirują jej czerwone plamy.

Ale nie, to nie było to.

Bezgłowe ciało gibnęło się do tyłu, potem do przodu. Nya myślała, że trup robi krok, i wrzasnęła tak straszliwie, tak że znowu pociemniało jej w oczach. Nie widziała przewracających się zwłok, usłyszała jedynie huk i brzęk zbroi. Ale przecież była czarodziejką, a dla czarodziejki słyszeć znaczy więcej, niż widzieć.

Uświadomiła sobie, że gdy trafiła żołnierza, to też słyszała – ten mokry, mlaszczący, chrupiący dźwięk.

W ogóle nie brzmiał, jakby zabiła człowieka, lecz jakby trafiła w jakąś rzecz. Dlaczego?

Odwróciła się powoli w stronę starego żołnierza. Twarz miał poparzoną, wąsy wciąż mu się tliły, ale mężczyzna zdawał się nie zwracać na to uwagi. Patrzył na ciało i czerwień wokół niego. Potem przeniósł wzrok na Nya'diel. Aż się cofnęła, gdy zobaczyła jego oczy.

– Nie poradzisz sobie ze mną – wydusiła. – Nie bez niego. Idź sobie. Proszę, idź.

Może by sobie poradził. Płacząca czarodziejka to słaba czarodziejka, płacz źle robi na emisję.

– Chciałbym cię zabić – powiedział zamiast tego. – Ale to nie mój przywilej. Nie moje prawo. Szkoda. Naprawdę wielka szkoda.

Potem wyszedł. Drzwi zamknął za sobą starannie i cicho. Nya patrzyła na nie w milczeniu, z kamienną twarzą.

Potem zaś jej usta wykrzywiły się w podkówkę, a oczy napęłniły łzami. Dziewczyna ze szlochem osunęła się na ziemię.

Nie wiedziała, ile tak płakała, ale chyba niezbyt długo. Wiedziała tyle, że usłyszała otwierające się drzwi, i było jej wszystko jedno, kto wejdzie do

środka. I że potem usłyszała głos, wypowiadający jedyne słowa, jakie można było wypowiedzieć, ujrawszy wewnątrz kuźni.

– O kurwa.

Spróbowała się wtedy uspokoić, chociaż trochę, ale nie dała rady. Ktoś podszedł do niej szybkim krokiem i przyklęknął obok.

– Hej... Nya? Nya'diel, tak?

Zdołała pokiwać głową.

– Dobrze. To ty go tak załatwiłaś?

To nie było dobre pytanie, bo rozsłochała się jeszcze bardziej, nie mogła nic na to poradzić.

Mężczyzna westchnął cicho.

– Ktoś będzie mi się z tego gęsto tłumaczył – mruknął. Nya spazmatycznie nabrała powietrza, dodał więc szybko: – Ale nie ty, ślicznotko, nie ty. Słuchaj, musimy się stąd zbierać, dobrze?

Naprawdę bardzo chciała mu odpowiedzieć. Że to dobry pomysł i w ogóle. Tylko że ciągle płakała i nie mogła przestać.

– No dobrze. Pomogę ci wstać, co?

Podniósł ją z trudem; kolana ugiwały się pod nią, jakby zamiast kości miała żdzibłą trawę.

To wtedy gdzieś obok tej rozdzierającej rozpaczyny pojawiła się ulga. Mogła się na kimś oprzeć. Mogła nie próbować nawet utrzymać się na nogach, a ktoś podtrzymywał ją i prowadził.

Nie wiedziała, kiedy zaczęła płakać, nie z rozpaczyny, że już nic nie wróci, bo rozwalila człowiekowi głowę, a z tej ulgi właśnie, i z żalu nad sobą, że tak długo nikogo takiego nie miała, tak długo była sama. I jeszcze z tęsknoty za opieką – z tęsknoty, której, odkąd powiesili tatę, nie pozwalała sobie odczuwać.

Mężczyzna zauważył chyba tę zmianę – zatrzymał się, mamrocząc coś, co brzmiało jak: „Radź sobie z tym, Królowo” – i przez chwilę kołysał ją w ramionach.

– No już – mruknął. – Już dobrze, tak? Zajmiemy się wszystkim i się poukłada, zobaczysz. Obiecuję. Ale teraz chodź. Dobrze?

Uspokoilo ją to trochę – przestała tak rozpaczliwie szlochać, potem nawet spróbowała sama iść. Tylko że to bolało. Jęknęła, zachwiała się, obcy podtrzymał ją, zerknął na własną dłoń i koszulę, dopiero teraz orientując się, że są poplamione lepką cieczą.

– Pięknie. Pokaż... Albo nie, nie pokazuj, ciemno jest przecież, i tak nic nie zobaczę. Zaraz będziemy w domu, jeśli Królowa pozwoli, to ci to opatrę.

Królowa pozwoliła – nie uszli nawet pięćdziesięciu kroków, nim mężczyzna otworzył drzwi. Poprosił, żeby była cicho, a potem zaprowadził ją gdzieś po schodach w dół. W którymś momencie pojawiło się światło – pewnie zapalił coś, kiedy schodzili – i Nya zobaczyła jego twarz: młodą, smagłą, o wydatnych kościach policzkowych, przenikliwych ciemnych oczach i pełnych ustach.

Coś mówił. Kart, miał na imię Kart, przysłał go Ren. Nie, tak nie powinno być, miał o niej zapomnieć, obiecał, Ren wiedział, nie powinien...

Nim zdążyła zareagować czy nawet na dobre się zaniepokoić, osunęła się w miękką, ciepłą ciemność.

*

Urta miała swoją pamięć. Wydarzenia odciskały swoje piętno w przestrzeni, przenikając czas. Dlatego widywano tam różne rzeczy, których tak naprawdę jeszcze – bądź już – nie było. Piękne, straszne rzeczy, a wśród nich czarno-czerwony powóz mknący przez ulice, sześć lśniących w płomieniach koni krzeszących iskry kopytami.

Był środek nocy, kiedy karoca namiestniczki wypadła z bramy pałacu. Sześć stalowych koni gnało ulicami, śląc w górę snopy iskier, płomienie pochodni chygotały się od pędu, odbijały w lakierowanym na czarno i czerwono drewnie. Ulica kładła się przed nimi prosto, jak strzeł, szeroka jak rzadko w Urcie. Nieprzyjemny, metaliczny tętent rozlegał się w całym mieście niczym bicie dzwonów.

Nuka siedziała w środku, nieruchoma jak posąg.

Może tylko jedna z nich mogła się poruszać – kobieta albo karetka, nigdy obie naraz. Przecież do karety pędziła jak na złamanie karku, ta zaś ruszyła w obłądnym tempie, kiedy tylko Nuka zamarła. I odwrotnie – kiedy pojazd stanął, namiestniczka zerwała się natychmiast, jakby nigdy nie przestała się ruszać, wyskoczyła z powozu, chwyciła pochodnię i wpadła do kuźni.

Kuźnia jednak była śmiercią wszystkiego, także ruchu. Wszystkiego, poczynając od serca namiestniczki, a kończąc na jej woli.

Obróciła się, chociaż nie chciała się obracać.

Podeszła, chociaż nie chciała podchodzić.

Opadła na kolana, odłożyła pochodnię na bok.

Nigdy nie chciała niczego z tego, co się stało, ale to nie miało znaczenia.

Niewiele było widać, świat okazał się miłosierny choć w tym względzie. Niewiele było widać. Świat i w tym względzie okazał się bezlitosny, bo kiedy błdziła smukłymi dłońmi po jego ciele – kochał jej dłonie, wieki temu mówił, że są jak ptaki – mogła go sobie tylko wyobrażać. Zapewne gdyby podniosła pochodnię, nie byłoby już miejsca dla domysłów, ale nie chciała.

Nieruchomy tors. Zwiotczące, zimne ramiona mięśnie. Szorstkie palce. Wiedzioną instynktem uniosła je do ust i ucałowała. Też były zimne, złe i słone; nie powinna tego robić.

Nie, słone były jej łzy.

Tors, ramiona, palce, nawet nogi, stopy... nie chciała, ale jak mogła nie spojrzeć. Zimna, poszarpana szyja. Mięso.

Nuka zawyla, kiedy jej palce trafiły na pustkę tam, gdzie powinna znajdować się głowa. Rzuciła się na ten leżący przed nią kawał mięsa i wyła długo.

Zanurzyła dłonie w tym, co zostało z jego głowy, choć nie chciała. Zacisnęła pięści na własnych włosach, szarpnęła raz i drugi, przeciągnęła rękami po twarzy, orząc ją paznokciami i przez moment pragnęła wydrapać sobie oczy.

Ostry odłamek kości rozorał jej policzek.

Chwyciła pochodnię – upaprany krwią upiór z niehumanoidalną twarzą – i się poderwała. Musiała coś zrobić, wiedziała, że musi. Nie z ciałem, to ciało było martwe – martwe! – a jej nienawiść była żywa jak nic innego. Jak same żywioły.

Do żywiołów więc się uciekła.

Nuka była Diogorką. Zabrała się do sprawy porządnie i metodycznie.

Beczulkę z oliwą znalazła bez większego trudu – kto by próbował ukryć beczulkę z oliwą! – nietrudno było ją też otworzyć. Tylko rozlać należało z rozmysłem, jeśli chciała mieć pewność, że kuźnia spłonie. Poradziła sobie jednak i z tym.

Uspokoila się... uspokoila przynajmniej swoje ciało, tak że kiedy pojawiło się światło, jej twarz znów przypominała maskę, nieruchomy biało-czerwony twór z czeluściami oczodołów. Stała nad zwłokami, beznamietnie spoglądała w dół, prosto w breję z mózgu, zębów, odłamków czaszki. Schyliła się, wygrzebała z niej fragment kości. Przez moment

przyglądała mu się z chłodnym zainteresowaniem, a potem płynnym, pewnym ruchem, rozcięła wewnątrz dłoni. Rana była głęboka poszarpana.

– Zniszczę to miejsce – powiedziała spokojnie. – Pomszczę cię i zniszczę każdego, kto cię skrzywdził, Hornak. Zniszczę tę krainę, zniszczę tę wojnę, tak jak ona zniszczyła ciebie. To ci przysięgam.

Odwróciła się, by zobaczyć, że płomienie obejmują już stół. Nie drgnął żaden mięsień na jej twarzy, kiedy wkładała w nie rozciętą dłoń i przyciskała ją do rozżarzonego drewna.

– Przysięgam – powtórzyła – na krew moją i twoją, ogień biorąc za świadka.

Jej głos niósł się dźwięcznie, splatał z trzaskiem płomieni i dymem, przenikał ściany i bruk przed kuźnią, całe miasto.

Jej rozpacz zaś splatała się wreszcie z inną, zadawnioną rozpaczą.

Czekały na to. Czekały na to obie.

Gdy w kilka chwil później wyszła z płonącej kuźni, niosąc dwa razy od siebie większe i trzy razy cięższe ciało, w jej oczach nie odbijały się ani ogień, ani ulica. A kiedy spojrzała w lakierowaną powierzchnię karocy, twarz kobiety, którą zobaczyła, przesłonięta była pękniętą żelazną maską.

KSIAŻKI FANTASTYCZNE

TYLKO OD WYDAWNICTWA SQN



www.WSQN.pl

imaginatio.wsqn.pl
[instagram.com/bardzofantastyczni](https://www.instagram.com/bardzofantastyczni)
[facebook.com/sqnfantastyka](https://www.facebook.com/sqnfantastyka)

SQN
imaginatio